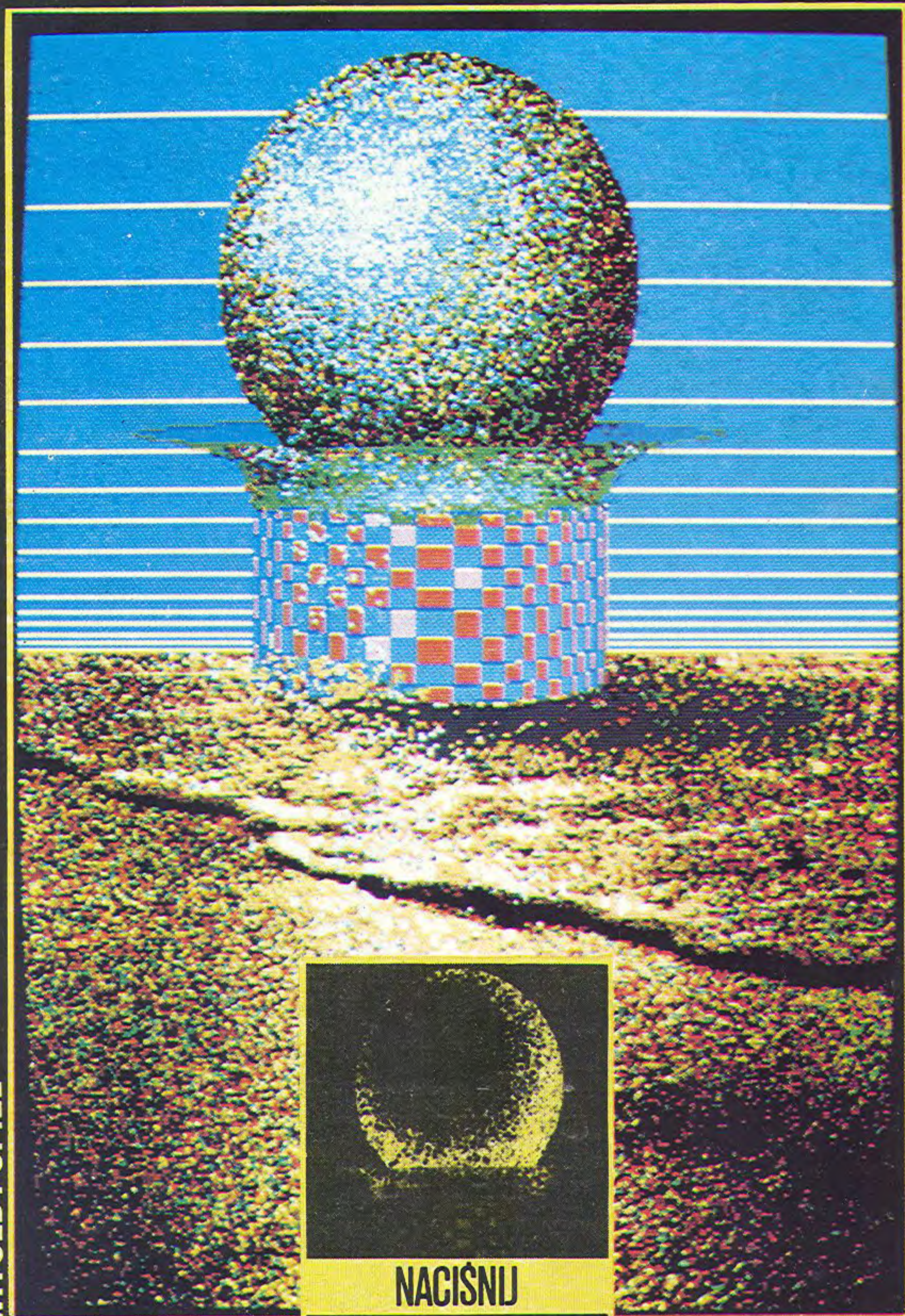
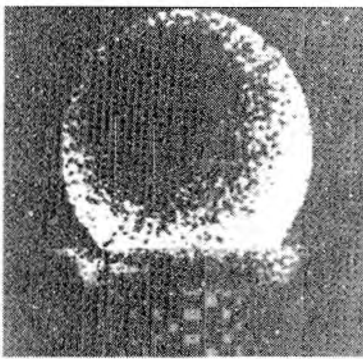
MIESIĘCZNIK
10 (73) PAŹDZIERNIK 1988 CENA 200 ZŁ

Fantastyka

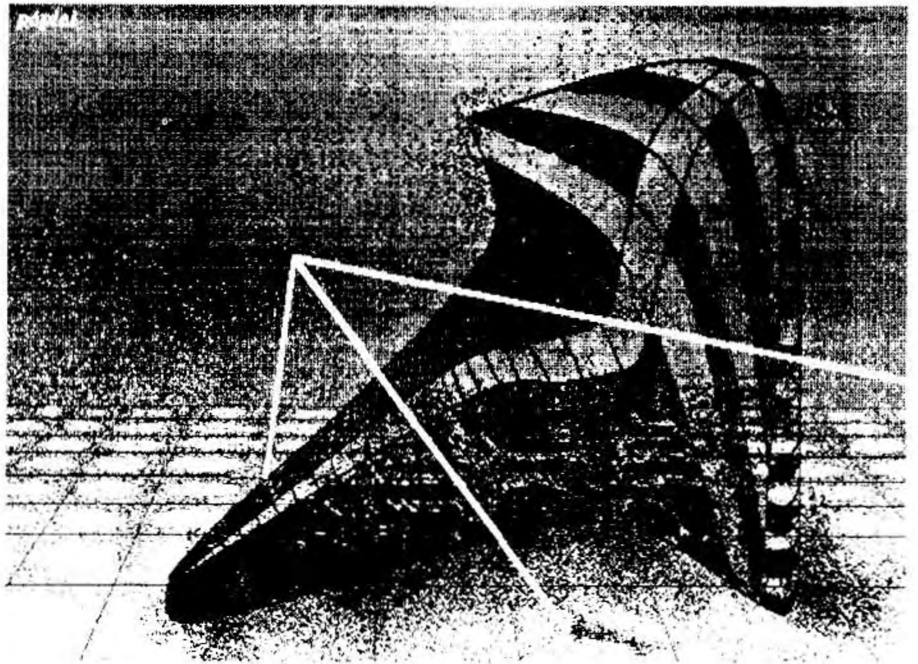
PL ISSN 0209 1631
NR INDEKSU 35839



WITOLD POPIEL



NACIŚNIJ ENTER



Minęło już kilka lat (patrz „Fantastyka" nr 5/85) i znów przedstawiamy w naszej „Galerii' „grafikę komputerową". Cudzysłów stawiam tu rozmyślnie, ażebyśmy sobie uzmysłowili, co oznacza to pojęcie. Bowiem grafika jest (bywa) użytkowa, artystyczna, wydawnicza... Albo lepsza lub gorsza – jak czasem powiadają wybitni symfonicy, gdy ich spytać czy lubią muzykę rockową: „Ja tam muzyki nie dzielę, muzyka jest dobra i zła". Może to słuszne; nie mówimy przecież „grafika suchoigłowa", „grafika drewniana" nawet przez głowę nie przejdzie, a „linoleumowa" – przez gardło.

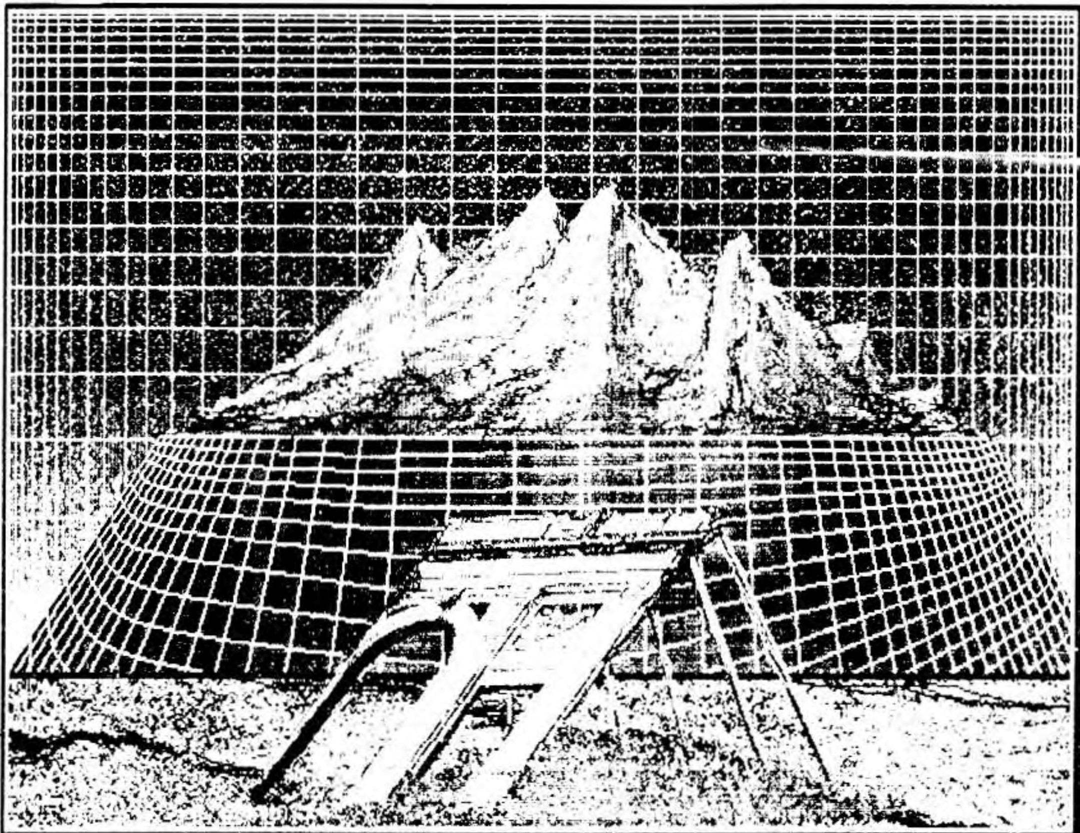
Więc „grafika komputerowa" nie istnieje. Istnieje tylko technika komputerowa, pozwalająca tworzyć grafikę. A także – co jest podstawowym wyróżnikiem tej dziedziny twórczości obrazkowej – pozwala skutecznie i bezbłędnie ją powielać.

Komputer zdaje się być cudownym narzędziem w ręku dziecka. Oglądając bowiem szkolne rysunki mojej córki, widzę nieustającą walkę z opornymi narzędziami: z papierem typu „nieosiągalny", z łamiącą się kredką, której kolor widać tylko na drewienku, z gumką co zamaże, a nie zetrze. Tymczasem komputer jest cierpliwszy od papieru (i „naszej pani"...), a jego ekran zniesie wiele fanaberii młodej wyobraźni.

Niestety, popularne i tanie komputery nie nadają się do takich zabaw. Trzeba będzie sprzedać auto taty i nie jeść przez trzy lata, spotkamy się wtedy w „Galerii", wypełnionej już tylko Waszymi obrazkami. Czekamy na Wasze produkcje do roku 1990, oczywiście powinny być one w formie slajdów min. 4,5 x 6,0 cm lub wydruków czarno-białych z drukarki laserowej. Od biedy przyjmujemy dyskietki, ale dopiero za rok. Nie ogłaszamy tu konkursu typu „Figury niemożliwe" – zapraszamy raczej do drogiej zabawy. Zatem: „Naciśnij »ENTER«"

Marek K. Zalejski

PS. Obrazkom towarzyszą fragmenty tekstu Witolda Popiela (malarz, grafik...) z katalogu tegorocznej wystawy grupy „EGA" w Zachęcie. Prócz prawdziwie profesjonalnych grafik autorstwa również Witolda Popiela, przedstawiamy produkty konkurencyjnej grupy młodzieżowej „GĘGGA", sponsorowanej przez byłą redakcję byłego mikroklanu.





Grzegorz Komorowski

...3...2...1...



Bardzo krótko o tym, co działo się i dzieje obecnie u nas w Polsce z literaturą science fiction czy raczej z fantastyką, od chwili, w której zaczęła swoje prawdziwe istnienie – to znaczy od pierwszego tomu trylogii Żuławskiego „Na srebrnym globie", znanego dziś już nie tylko w naszym kraju.

Że ta właśnie książka stworzyła polski kierunek fantastyki nie ulega dla mnie najmniejszej wątpliwości, jak i to, iż najnowsze utwory fantastyczne w Polsce (czy ich autorzy tego pragną czy nie) wywodzą się z tego właśnie kierunku. Dlatego wszelkie inne sposoby podejścia do tematu polskiej fantastyki niż oparcie się na wzorcu literackim, stworzonym przez Żuławskiego, wydają mi się nieco sztuczne i niezbyt prawdziwe. Dzielenie zaś tej sztuki na pokolenia, jakoby to stopniowo dojrzewające do takiego opisu świata i człowieka, jaki podejmują dziś najmłodsi twórcy polskiej fantastyki, wydaje mi się dzieleniem skóry na niedźwiedziu. Bo po prostu wszystko co znaczące, liczące się literacko w polskiej fantastyce (od Lema począwszy na młodziutkim Jabłońskim kończąc – choć konkursy w miesięczniku pokazują, że taki koniec naprawdę nie istnieje, że ciągle powielają się jak gdyby szeregi młodych autorów, o coraz to doskonalszym aparacie pisarskim), tak, wszystko co się liczy literacko, a więc stosunkowo niewiele, jak i w innych gałęziach twórczości – wykazuje zawsze cechy wzorca, zbudowanego przez Żuławskiego.

Powtórzmy te cechy, sprecyzujmy je: niedowierzanie nauce, bunt przeciwko naukowej tyranii, ostre widzenie konfliktu między jednostką a społeczeństwem, społecznością, jednostką a systemami władzy, konflikt osobisty jednostki, polegający na rozeznaniu, że w społeczności można tak kształtować rzeczywistość, iż staje się ona inna, nabiera cech nowej jakości, ale równocześnie nie zmienia wewnętrznie człowieka, a i fizycznie na tych przemianach człowiek niezbyt wiele zyskuje, a czasem wręcz traci. Jest to więc oscylacja między tym, co proponuje wiedza niejako faustyczna, a tym czego chciał niegdyś Jean Jacques Rousseau – powrotem do natury. Obydwa ekstrema zdają się nie mieć w ogóle sensu.

A więc raczej irracjonalizm typu znachorskiego jest jedną z cech romantycznych implikacji współczesnej fantastyki. Ponieważ zaś historia Polaków bywała i bywa dla nich surowa, egzaminująca nieustannie i bezwzględnie ich odporność charakterologiczną, pisarze polscy nie potrafili obejść się bez nut, nawiązujących bezpośrednio do historycznej melodii, nawet Lem znany dziś na całym świecie, nie potrafił tego uniknąć. Stąd i chyba jedyność Lema w obrazie całej światowej literatury, on sam po prostu wystarczy poza naszym krajem jako *pars pro toto* polskiej fantastyki, jako klasyczny przykład problematyki, którą pisarz fantastyczny z Polski może wnieść na forum światowe. W inności fantastyki na świecie, w jej mniejszym zarówno emocjonalnym, jak i – zwłaszcza – intelektualnym napięciu niż nurt fantastyki polskiej, wystarczy widać jeden Lem, innych Polaków jak gdyby już tam nie potrzeba. Szczególnie, że pokrewni Lemowi uzupełniają obraz polskości fantastycznej czy bliskiej fantastyce. Zdobyli przecież na Zachodzie sławę także tej miary twórcy co Gombrowicz, Witkacy, Schulz czy Mrożek. Widocznie zagranicy ta reprezentacja, bardzo szeroko pojęta, wystarcza aż nadto.

W dwudziestoleciu międzywojennym, więcej: między latami Żuławskiego a Lema, trudno, obok wymienionych, dojrzeć większe indywidualności w sztuce nazywanej dziś w Polsce fantastyką, a noszącej różne miana w różnych czasach i różnych innych krajach. Dopiero po drugiej wielkiej wojnie do Świata wdarł się Lem, z początku bardzo typowy przedstawiciel klasycznej science fiction, czyli sztuki pisarskiej zdominowanej przez naukę, aby po wydaniu swych jakże przewrotnych i licznych dzieł, dojść wreszcie do straszliwego romantycznego impasu, do fiaska. Fiaska w możliwościach porozumienia się człowieka z człowiekiem, bo chyba tak należałoby interpretować tę jego książkę najnowszą, jak klamra spinająca wszystkie od „Astronautów" poczynające się utwory.

A więc jesteśmy przy konflikcie, jednym z konfliktów, który przedstawiał jeszcze sam Żuławski. Konflikt między racjonalnym a nieracjonalnym, między nauką a wiarą, między marzeniem a rzeczywistością, między nauką a religią pasjonował i pasjonuje po dziś dzień fantastów polskich. Przejawy tych buntowniczych, kontestatorskich często pasji można zaobserwować u pisarzy pokolenia Lema, Borunia i niżej podpisanego, w ich książkach, które wydawali po wojnie i wydają po dziś dzień, a także z rosnącą siłą i u nieco młodszych: Oramusa, ale również i Żwikiewicza czy Parowskiego. Z najmłodszych wyliczyłbym tutaj Jabłońskiego, Ziemniaka, Drzewińskiego, Ziemkiewicza, Kochańskiego i kilku innych.

Dzięki książkom Janusza Zajdla, nieodżałowanej pamięci, proza ukazująca bez ogródek i osłonek sposoby „uszczęśliwiania na siłę", proza przedstawiająca dewiacje władzy i ideologii, towarzyszyła przemianom, jakie zachodziły w naszym kraju, nawet czasami torując im drogę. Ten ruch – właściwy fantastyce polskiej – kontrolowania z perspektywy przyszłości losów człowieka w teraźniejszości, ma wielkie szanse dalszego rozwoju, nie tylko więc samego przetrwania, co obserwujemy zresztą w kolejnych plonach naszych konkursów literackich, rozpisywanych co kilka lat w „Fantastyce", a zwanych – chyba słusznie – nieustającym konkursem literackim.

Jego rola jest znaczna, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że przysporzył on już naszym antologiom kilkanaście nowych nazwisk, z których wiele zaczyna na trwałe zapisywać się w pamięci czytelników, powodując zamówienia na ich utwory liczących się wydawnictw.

Wydaje mi się także, że zarówno twórcy starszych pokoleń (z Lemem włącznie), jak i najmłodszych, u których to najbardziej widoczne – sięgają po pióro już nie tylko po to, żeby pisać science fiction, żeby epatować czytelników swoją wiedzą czy talentem, ale przede wszystkim po to, aby w pastiszu fantastycznym odzwierciedlić i ocenić zjawiska teraźniejszości i przyszłości. Pastisz zaś wskazuje od dawna na normalizowanie się zjawisk twórczych, na ich wychodzenie z pozycji czegoś nadzwyczajnego, awangardowego i wkraczanie w codzienny, „normalny" rytm literatury czy sztuki. Pastisze po prostu to zwykle sygnał normalizacji zjawisk twórczych, przezwyciężania i wykorzystania w sztuce i także w życiu tego, co początkowo powodowało ruchy obronne, zdziwienie czy niepokój. W tym sensie, przykładowo, można *toutes proportions gardées* mówić o pastiszowości samego „Pana Tadeusza", stającego między szczytem sztuki romantycznej a jej późniejszymi, pozytywistycznymi implikacjami, jak i o pastiszowości twórczej drogi Norwida, która romantyczne ideały sprowadzała na bruk, na trotuar mieszczańskiej pracy od podstaw: *bo piękno jest, by zachwycało do pracy, a praca by się zmartwychwstało.*

A my wchodzimy w pastisz romantyzmu fantastycznego czy postmodernistycznego, na co wskazują najnowsze utwory młodych twórców, których antologie właśnie przygotowujemy do druku, takich jak Pąkciński, Filar lub Różycki (jakiż to dowcipny, utalentowany twórca). Oni umieją pisać pastisze! Tak jak potrafi je przyrządzać młody Machulski w filmach tej miary co „Seksmisja" i „Kingsajz".

10-9-8-7-6-5-4-3-2-1-0

Adam Hollanek

MIESIĘCZNIK LITERACKI **Fantastyka**

Adres redakcji:
00-640 WARSZAWA
ul. Mokotowska 5/6.
Telefony: 25-34-75 (red. nacz., sekretariat, działy: techn., graf.), 25-50-51 (sekretariat, działy: zagr., literatury polskiej), 25-35-36 (z-cy red. nacz., dział krytyki).

Redaktor naczelny: Adam Hollanek.
Zespół redakcyjny: Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Anna Gładka, Lech Jęczmyk (kier. działu zagr.), Sławomir Kędzierski (z-ca sekr. red.), Zbigniew Latała (fotoreporter), Maciej Makowski (kier. działu techn.), Dorota Malinowska, Andrzej Niewiadowski (z-ca red. nacz.), Maciej Parowski (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (z-ca red. nacz.), Krzysztof Szolginia (sekr. red.), Darosław J. Toruń, Marek K. Zalejski, Rafał A. Ziemkiewicz.
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

Wydawca: Warszawskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", Al. Jerozolimskie 125/127, 02-017 Warszawa, tel. centr. 28-52-31. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklamy Prasowej i Ogłoszeń, ul. Poznańska 38, 00-689 Warszawa, tel. 28-23-09. Skład, druk i oprawa: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28. Nakład 167 000 egz. Zam. 2597/88 U-58

NR INDEKSU 35839 PL ISSN 0209-1631 Oddano do składu 27 lipca 1988 r.

Lądowanie LXVIII

***Macie ograniczoną pulę** papieru kredowego, dlaczego w takim razie nie wykorzystujecie go w całości na grafikę. Popatrzcie jak wyglądają strony IV z numerów 1, 2, 3, 5, 7 z 1987 roku – tak należy trzymać. (...) Zwłaszcza muszę Wam podziękować za Siudmaka (nr 5/87) – jest wspaniały. Natomiast część „Galerii” „Siudmak III” (nr 7/87) drukowana na papierze zwykłym, to tylko świadectwo nędzy naszej poligrafii (gdy porównać ją z francuską, której dziełem są plakaty z kolekcji K. Dydo, wystawiane m.in. w BWA w Sandomierzu. Niby ten sam Siudmak, ale jaki inny. Istotna jest także sprawa posterów, czy aby nie zbyt pochopnie wycofaliście się z tej imprezy? Nie śmiem marzyć o dużych, porządnie wydanych albumach grafiki SF – to zbyt piękne, aby się mogło spełnić (...). Brak humoru w „Fantastyce”. Funky Koval był jedynym komiksem z humorem, dlatego też najbardziej się podobał. W sumie: więcej humoru, wznowienie posterów i cały papier kredowy dla „Galerii” – o to chcę prosić.*

Grzegorz Mis *z Andrychowa*
(lat 18, uczeń IV klasy LO)

***Cały wysiłek redakcyjny** skupił się lub skupia na tym, żeby przypodobać się wszystkim naraz, czy jest to jednak możliwe? A tu tak: papier klasy... jakiej tam klasy, stron ledwo na kwadrans starczy, a grafiki? Cóż za niebanalna kolorowość, powieść – owszem, ale okładkę to sobie lepiej byłoby domalować. A autorzy „Fantastyki” dostają Eurocony, panowie działacze prawią sobie komplementy i robią uprzejmości, które nie omijają także i pisma. W kinach zaś szmira – „Terminator” i „Starman”, książki natomiast o cenach przyprawiających o zawrót głowy. Dobre tytuły służą handlarzom i bazarowcom aż im serce rośnie. Łączę pozdrowienia i życzenia prawdziwej r e w o l u c j i w Waszym i naszym wydawnictwie.*

***Piotr Wybrański** (25 lat)*
z Konstantynowa Łódzkiego

***Po przejrzeniu tekstów z roku 1987** stwierdziłam, że wreszcie była większość takich, które interesowały, pobudzały wyobraźnię, ani jednego naprawdę złego. Tak więc opowiadania naszych twórców nie gorsze od zagranicznych, jak to się wydawało w ubiegłych latach. Oby więcej było takich rzeczy jak „Wrócieeś Sneogg wiedziaam” czy „Sensorita i Ferty”.*

Stała czytelniczka

***Strasznie długo trzeba czekać** na spełnienie niektórych obietnic. Chodzi o komiks. Pismo jest poza tym przeładowane w niektórych swych numerach artykułami krytycznymi! Gdyby jednak nie „Fantastyka” to w tej małej wiosce, w której mieszkam, pożarłaby mnie nuda. Życzę lepszego papieru, więcej opowiadań zagranicznych za złotówki.*

Maciek Kaczorowski

***SF to dla mnie**, jak by powiedzieli moi studenci, odjazd, szansa wyłączenia się na kilka godzin. Myślę też, że pomaga mi w pewien sposób w mojej pracy, pozwala na rodzaj umysłowej gimnastyki, co z kolei daje łatwość kojarzenia faktów i nowego na nie spojrzenia. Jestem historykiem sztuki, pracującym na uniwersytecie, i pisuję trochę wąsko wyspecjalizowanych tekstów, ale nie potrafię pracować systematycznie, miewam okresy przestoju i wtedy właśnie, jakby na jałowym biegu, ładuję SF, by po miesiącu przerwy rzucić się na maszynę do pisania. Nigdy nie ukrywałem swoich zainteresowań, które czasami wyśmiewano, a czasami nie, różnie bywało. (...) Ja uwielbiam komiksy i boleśnie odczuwam ich brak, mam trochę wątpliwości w stosunku do „pożółkłych kartek”, nie żebym nie kochał staroci, wprost przeciwnie, natomiast nie znoszę skracania. To zawsze jest bardzo subiektywny zabieg i jeśli mam mieć coś przyciętego, to wolę nie mieć tego wcale. (...) Łączę wyrazy poważania.*

N.N. *(podpis nieczytelny)*
z Wrocławia

***Co do Lema jako romantyka** mam duże wątpliwości. On za wszelką cenę, na przykład w rozmowach z Beresiem, książce bardziej naukowej, poznawczej niż pisarskiej, artykułuje swój materializm, swoją wiarę w coraz to nowe, poznawane przez ludzkość prawdy naukowe, zapiera się wszelkiego irracjonalizmu, z Panem Bogiem na czele. I trudno mi się zgodzić z panem Hollankiem na formułę Lema – romantycznego bohatera wszystkich jego powieści. Niestety, te powieści nie mają najwyraźniejszych bohaterów, a bohaterki wręcz wydumane. Wydaje mi się, że autor „Fiaska” bardziej interesuje się ludźmi jako obiektami swych twórczych badań, wynikających z głębokiego zaufania do metod naukowego poznania, niż jako istotami czującymi, targanymi przez przeżycia i emocje z tych przeżyć płynące. Lem, co wyraźnie wynika z jego odpowiedzi na podchwytliwe nieraz pytania Beresia, za bóstwo obrał sobie martwą przyrodę, nagą materię czy jak to tam nazwać, w każdym razie nie materię ożywioną, stąd jego druzgocący pesymizm w prognozowaniu losów ludzkości, stąd niewiara w możliwość jakiegokolwiek porozumienia się między istotami myślącymi. Wszystko – tak wynika z Lema wyznań – co związane z człowiekiem zostanie dokładnie pogrzebane, rozum to tylko przypadek, żywioł martwej, bezmyślnej i nie czującej przyrody pochłonie nas na zawsze. Jak ciężko czytać dziś Lema i jak trudno uwierzyć w jego romantyczne zainteresowania.*

***Joachim B.** z Krakowa*

Czuję się w obowiązku dania odpowiedzi na niektóre kwestie poruszone przez Czytelników. Niejednokrotnie pisaliśmy, my, redaktorzy tego pisma, że MUSIMY starać się dogodzić wszystkim nas czytającym, ponieważ jest to jedyne profesjonalne pismo w kraju i jedno z nielicznych na świecie czasopism zawodowo uprawiających fantastykę. Toteż, wcale nie dziwią nas słowa krytyki, nie zawsze wszystkim uda się przecież dogodzić. Mnie się wydaje, że jako pismo określonej grupy twórczej zbyt mało dajemy możliwości zapoznawania Czytelników z naszymi poglądami i pracami literackimi, że zbyt wiele czerpiemy nie z siebie, lecz z zewnątrz. Jest to na pewno temat do dyskusji.

Jeśli idzie o sprawy papieru, o „Galerię” na kredzie i o postery, to na razie nie widzę rozwiązania. Nikt nam nie da innego papieru od tego, na którym drukujemy. Kredy, jak już pisałem, brakuje, a pragniemy, aby okładki jednak pozostały na kredzie. Natomiast koncepcja zadrukowania ilustracjami wewnętrznych stron okładek wydaje mi się dobra, ale... na tych stronicach brakuje koloru! Więc dopóki tej przeszkody nie da się przełamać wszystko MUSI, czy chcemy tego czy nie, pozostać jak dotychczas. Choć, obiecuję starania o lepszą szatę graficzną, zresztą naprawdę nigdy one nie ustają.

Zgadzam się, że brak humoru w naszym piśmie i to zarówno w prozie, jak i w plastyce. Spróbujemy temu zaradzić. Natomiast wydaje mi się, że interesujący list pana **Joachima B.** z Krakowa wymaga ze wszech miar dyskusji, a piszą Czytelnicy do nas tak: *Ciekawe, że tak pięknie i mądrze staracie się dyskutować na falach radiowych, natomiast zaprzestaliście dyskusji na łamach „Fantastyki”, a prawdy o fantastyce podajecie jako objawione, głównie ex cathedra, a może by zmienić jakoś tę zasadę?* **(Józef Bilgorajski** z Gdańska). Więc rzeczywiście może by ją trzeba było zmienić, jeśli Czytelnikom bardziej odpowiada forma dyskusji niż referatów z posiedzeń i sympozjów fantastów. Boże, fantastyka i referaty, do czegośmy doszli?

Redaktor

Uwaga Czytelnicy!

Przypominamy o mijającym niedługo terminie przyjmowania prenumeraty „Fantastyki”, „Małej Fantastyki” i „Komiksu-Fantastyki” na rok 1989!

Warunki prenumeraty: ● Dla zakładów pracy: instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i miastach, w których znajdują się siedziby oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” zamawiają prenumeratę w tych oddziałach; instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u listonoszy. ● Dla prenumeratorów indywidualnych: osoby zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u listonoszy; osoby zamieszkałe w miastach-siedzibach oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora przy użyciu „blankietu wpłaty” na rachunek bankowy miejscowego oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch”. ●Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-950 Warszawa, konto PKO BP XV Oddział w Warszawie Nr 1658-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

Terminy przyjmowania prenumeraty: do dnia 10 listopada na I kwartał, I półrocze roku następnego oraz cały rok następny; do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Cena prenumeraty rocznej: „Fantastyka” – 2400 zł, „Mała Fantastyka” – 600 zł, „Komiks-Fantastyka” – 1120 zł.

Przypominamy, że w kioskach „Ruchu” są przyjmowane zlecenia na odkładanie prasy do teczek.

■

Wielu spośród mych kolegów uznało, że mój artykuł zatytułowany „Przypadek Clifforda M." może, po przełożeniu na bardziej przystępny, pozbawiony specjalistycznych terminów język, zainteresować szeroko rozumianą opinię publiczną. Podjąłem ten trud, i chciałbym teraz przedstawić efekty mojej pracy. Z jednej strony nieco rozszerzyłem artykuł dodając informacje i wyjaśnienia natury biologicznej, których nie było w jego oryginalnej, przeznaczonej dla specjalistów wersji, z drugiej zaś znacznie go skróciłem, rezygnując z zamieszczenia wykresów, tabel i partii tekstu istotnych jedynie dla wąskiego grona fachowców.

Bob Leman

Pielgrzymka Clifforda M.

(The Pilgrimage of Clifford M.)

Dla zrozumienia przypadku Clifforda M. trzeba przede wszystkim być świadomym sposobu, w jaki rozmnażają się istoty, o których będziemy tutaj mówić. Szeroko rozpowszechniony jest pogląd, że po to, by przedłużyć istnienie gatunku, wampiry muszą doprowadzić w jakiś sposób do tego, by człowiek skosztował ich krwi; potem, gdy człowiek taki umrze, zmartwychwstanie już jako wampir. Tego typu przekonanie należy określić jako czysty przesąd. Ci, którzy umierają w wyniku jednorazowej napaści czy też długotrwałej „eksploatacji" przez wampiry, pozostają już martwi, a poza tym wampiry to ssaki – dosyć specyficznego rodzaju, rzecz jasna – i rodzą się nie inaczej tylko właśnie jak ssaki. Istnieją jednak, co prawda, pewne różnice.

Młode wampiry przychodzą na świat mniej więcej raz na dwieście lat w miotach liczących od ośmiu do dwunastu szczeniąt. Samica ma dziesięć sutek, więc w przypadku liczniejszego miotu najsłabsze szczenięta, które nie są w stanie dopchać się do pokarmu, muszą zginąć. Ci, którzy są choćby pobieżnie oczytani w przedmiocie, przypominają sobie z pewnością, że nikt nigdy nie widział jeszcze dorosłego wampira bez ubrania. Wynika to stąd, że ponieważ wampiry najczęściej udają zwyczajnych ludzi, dodatkowe piersi samicy (jak również dosyć niezwykła budowa genitaliów samca), muszą być starannie ukryte. Na przestrzeni ostatnich lat pojawiły się przeznaczone dla szerokiego kręgu czytelników publikacje, z których wynika, że wampiry są jakoby zdolne do mniej lub bardziej normalnego współżycia seksualnego z ludźmi. Jest to, rzecz jasna, całkowicie niemożliwe i opisy tego rodzaju aktów należy uznać wyłącznie za twory wyobraźni.

Nie udało się, jak do tej pory, ustalić dokładnie okresu trwania ciąży, ale jest on z całą pewnością bardzo długi – może nawet sięgać dziesięciu lat. Młode zaraz po urodzeniu są bardzo małe, ważą z reguły nie więcej niż pół funta i w niczym nie przypominają dorosłych osobników. Można je raczej porównać do wyposażonych w szczątkowe kończyny kijanek czy nie rozwiniętych całkowicie płodów. (Dosyć znaczną pupularnością cieszy się teoria, według której wampiry są w odległy sposób spokrewnione z torbaczami). Najbardziej rzucającą się w oczy cechą młodych szczeniąt są ich zęby: mają je już od urodzenia i to w takiej ilości, że nie sposób ich nie zauważyć. Zaraz po przyjściu na świat pełzną w stronę sutka i przywierają do niego, pozostając tam przez okres dwóch lub więcej lat. Przez ten czas samica odżywia się ludzką krwią przynoszoną jej na ziemię przez samców, wśród których może, ale nie musi być także ojciec potomstwa. Przekazują jej pokarm w identyczny sposób, jak większość gatunków ptaków, karmiących swe już nieco podrośnięte młode – trzeba mieć rzeczywiście odporny żołądek, by móc myśleć o tym w beznamiętny, chłodny sposób. Warto zwrócić uwagę na fakt, że przez cały okres karmienia młodych samica odżywia się w y ł ą c z n i e ludzką krwią, podczas gdy zazwyczaj wampir potrzebuje tego pożywienia jedynie na co dwunasty posiłek, podczas pozostałych zadowalając się krwią jakiegokolwiek stałocieplnego stworzenia.

Odstawione od piersi szczenięta także przez jakiś czas otrzymują wyłącznie ludzką krew. Samo odstawienie jest nagle i przebiega w dosyć gwałtowny sposób: matka rozwiera siłą uzębione szczęki i odpycha młode od siebie. Czyni to jednak bardzo ostrożnie, bowiem ostre zęby usiłują zacisnąć się na czymkolwiek, co tylko znajdzie się w ich zasięgu. Specjalnie na tę okazję samcy dostarczają nieprzytomnego człowieka; szczenięta są podsuwane w jego stronę, szczęki wpijają się w ciało i powodowane wrodzonym odruchem młode zaczynają ssać, kosztując po raz pierwszy świeżej ludzkiej krwi i skazując się jednocześnie na co prawda okresową, ale mającą trwać całe ich życie, od niej zależność.

W tym okresie szczenięta ciągle jeszcze mają nieproporcjonalnie duże głowy i usta nieproporcjonalnie duże nawet w stosunku do rozmiarów tych głów. Kończyny zdążyły się już niemal całkowicie rozwinąć, ale koordynacja mięśniowa jest jeszcze bardzo słaba, toteż szczenięta, chociaż wyposażone w monstrualne szczęki i potworne zęby, pozostają niemal całkowicie bezbronne. Są pokryte gęstą, czarną sierścią, którą stracą niemal zupełnie w wieku piętnastu lub szesnastu lat; sierść pozostanie jedynie na głowie (Samce wampirów nie mają żadnego zarostu. Stoker wyposaża Draculę w mały wąsik, ale jest to zaledwie jeden z błędów, jakie możemy odnaleźć w jego pracy).

Kiedy szczenięta przestaną już ssać, samica przyłącza się do polowań i co noc, niemal aż do świtu młode zostają same. W przeciwieństwie do dorosłych osobników nie zapadają w trwającą od wschodu do zachodu słońca śpiączkę, tylko stają się nieco bardziej ociężałe i skłonne do czegoś w rodzaju lekkiego letargu. Skłonność ta nasila się z wiekiem. Umiejętność przyjmowania postaci nietoperza lub ogromnej ćmy pojawia się dopiero w okresie młodzieńczym, ale kiedy dokładnie ten okres następuje – nie wiadomo.

Na pierwszy sygnał o istnieniu Clifforda M. natrafiamy w kilku listach, napisanych nieporadnie w latach osiemdziesiątych XIX wieku do narzeczonego przez młodą kobietę nazwiskiem Dulcie Fimber. Obydwoje narzeczeni pochodzili z górskiego okręgu Comber, znajdującego się w pobliżu miejsca, w którym stykają się granice stanów Virginia, Tennessee i Kentucky. Młody człowiek wyjechał do pracy w kopalni, by przez rok zarobić na wybudowanie nowej chaty dla swojej żony, zaś Dulcie pozostała w domu ze swymi rodzicami oraz pokaźną gromadką młodszego rodzeństwa i co tydzień pisała do niego listy.

Znajdujące się w tych listach wzmianki o „małpce Ossie'ego" niemal na pewno odnoszą się właśnie do Clifforda M. Ossie Fimber był jednym z młodszych braci Dulcie, w owym czasie czternasto- lub piętnastoletnim. Po wypełnieniu kilku luk w naszkicowanej w listach historii i sprawdzeniu niektórych faktów otrzymujemy relację o odkryciu istnienia Clifforda M., która z całą pewnością niewiele różni się od rzeczywistości.

Mały Ossie był włóczęgą i znakomitym myśliwym. Już w wieku jedenastu lat weszło w jego zwyczaj znikanie ze strzelbą w lesie na kilka nawet dni; zawsze wracał z dużą ilością drobnej zwierzyny, która przyczyniała się do urozmaicenia i wzbogacenia posiłków na rodzinnym stole. W miarę, jak rósł, te nieobecności stawały się coraz dłuższe, zasięg zaś jego wędrówek odpowiednio się zwiększył, więc jaskinia, którą pewnego dnia odkrył, mogła znajdować się nawet i pięćdziesiąt mil od domostwa rodziców. Samo odkrycie nastąpiło w ten sposób, że kiedy lunął znienacka rzęsisty, gwałtowny deszcz, chłopiec schronił się pod pobliskim skalnym nawisem. Przy samej ziemi zauważył jakiś otwór; wsadziwszy weń głowę stwierdził, że prowadzi do jaskini. Zapamiętał sobie dokładnie to miejsce i postanowił zbadać ją w drodze powrotnej.

Nie była to jakaś szczególnie skomplikowana czy niebezpieczna jaskinia – w każdym razie ta jej część, którą zdążył poznać. Trudno określić jej wielkość, bowiem kiedy Ossie natrafił na tajemnicze istoty, nie zagłębiał się już dalej. Oświetlając sobie drogę płonącą czerwono pochodnią zsuwał się właśnie ostrożnie w dół skalnym korytarzem, kiedy nagle po prawej stronie, niedaleko od swojej nachylonej twarzy – korytarz był bardzo niski – zobaczył żarzące się niczym małe węgielki oczy. Cofnął się raptownie i zamarł. Oczy nie poruszyły się. Było ich osiem lub dziewięć par. Zbliżył do nich pochodnię; ciągle żadnego ruchu. Nachylił się ostrożnie nad nimi, oświetlając je dokładnie pochodnią i zamarł ponownie.

Wychował się w górach, był myśliwym i pewne rzeczy wyczuwał po prostu instynktownie. Zdał sobie od razu sprawę z tego, że te stworzenia są jakimiś szczeniętami czy kociętami, a tam, gdzie były młode, zwykle znajdowała się również matka, gotowa do ich obrony. Stworzenia te ogromnie go zaciekawiły – nigdy jeszcze nic takiego nie widział – ale niebezpieczeństwo wisiało w powietrzu. Zaczął się ostrożnie wycofywać. Ledwie wykonał pierwszy ruch, a osiem czy dziewięć uzbrojonych w potworne zęby szczęk zaczęło kłapać w jego kierunku, czyniąc w zamkniętej skalnymi ścianami przestrzeni niesamowity hałas. W tej samej chwili spostrzegł z przerażeniem, że istoty gramolą się z niszy, w której były skulone i pełzną w jego kierunku. Poruszały się w nieskoordynowany, nieudolny sposób, ale małe, czerwone ślepia płonęły bezlitosnym blaskiem, potężne szczęki otwierały się i zamykały, zaś uparty, bezustanny ruch odzwierciedlał, jak mu się wydawało, bezmyślne dążenie do jednego: żeby zatopić straszliwe zęby w jego ciele.

Cofnął się raptownie, a one ruszyły za nim, pełznąc po skalnej podłodze i skomląc pożądliwie. Wkrótce dotarł do miejsca, w którym korytarz rozszerzał się, sufit zaś znajdował się już dość wysoko, żeby można było swobodnie stanąć. Kiedy wyprostował się i spojrzał z góry na małe istoty, ogarnęła go nagła fala wstrętu i obrzydzenia. Odłożył pochodnię, chwycił oburącz strzelbę i zaczął uderzać z całej siły kolbą; jak długo to trwało, nie mógł sobie przypomnieć, ale kiedy gorączka zabijania minęła, na podłodze jaskini nic już się nie poruszało. Przypomniał sobie wtedy o istnieniu matki, czym prędzej więc chwycił pochodnię i ruszył w kierunku wyjścia.

Korytarz znowu się zwęził, tym razem tak bardzo, że musiał czołgać się na brzuchu. W pewnej chwili poczuł, że coś chwyta go za piętę, ale nie mógł się odwrócić, więc tylko pełzł przed siebie najszybciej, jak tylko potrafił, oczekując, że w każdej chwili chwycą go od tyłu wielkie, bezlitosne zęby.

Wypadł z jaskini prosto w oślepiający blask południowego słońca i odwrócił się, zwracając twarz do ziejącego w skalnej ścianie otworu. Nic. Odetchnął z ulgą i wtedy poczuł, że ciężar u pięty nie zniknął. Spojrzał w dół; jedna z małych istot zatopiła zęby w podeszwie buta, usiłując bezowocnie wyssać z twardej, wyprawionej skóry jakieś pożywienie. Wystawiona na światło dzienne zwinęła się w ciasną kulę i zacisnęła powieki, ale nie zwolniła uchwytu. Mogła mieć jakieś dwie stopy długości, była całkowicie pokryta czarną, gęstą sierścią i miała cztery pająkowate kończyny, z których dwie najwyraźniej służyły jako ręce. Ossie zadrżał z obrzydzenia i machnął gwałtownie nogą; bez rezultatu.

Chłopiec stanął przed nie lada problemem: musiał czym prędzej oddalić się od jaskini, bowiem w każdej chwili mogła pojawić się matka szczeniąt, ale przecież nie dałby rady pokonać długiej drogi do domu bez buta, nie bardzo zaś wiedział, jak mógłby go odzyskać. Zęby, które bez żadnego problemu wbiły się w twardą niczym kamień podeszwę, musiały budzić respekt.

Miał ze sobą worek z grubego płótna przeznaczony na drobną zwierzynę, jaką zdarzyłoby mu się upolować. Pomyślał, że może worek posłużyłby mu jako coś w rodzaju ochronnych rękawic, przy użyciu których mógłby pokusić się o odczepienie zwierzęcia od swojego buta. Czym prędzej wysypał na ziemię wiewiórki i króliki, które niósł do domu i zaczął zastanawiać się nad sposobem takiego zawinięcia worka, żeby mógł w najlepszy sposób go wykorzystać.

Jedna z wiewiórek upadła tuż koło buta; ruchem niemal zbyt szybkim, żeby go dokładnie zaobserwować, tajemnicze stworzenie puściło podeszwę i zatopiło zęby w ciele gryzonia, po czym zamarło w bezruchu. Ossie czym prędzej założył but, wrzucił z powrotem do worka upolowaną zwierzynę, a następnie, tknięty jakimś impulsem, za pomocą długiego kija umieścił w nim także wiewiórkę i wczepione w nią stworzenie. Gdyby zaczęło za bardzo rozrabiać, łatwo będzie je mógł zatłuc nie wyjmując z worka, a jeśli pozostanie równie spokojne, jak teraz, to będzie mógł zbadać je dokładnie w domu. Maszerował całą noc – i całe jego szczęście, bowiem o zachodzie słońca dorosłe wampiry z pewnością obudziły się i odkryły swoje martwe dzieci.

W chacie znajdowała się klatka, w której trzymano czasem złapane żywcem kuny; Ossie wysypał do niej całą zawartość swego worka i pośpiesznie zamknął drzwiczki. Jego więzień przeniósł się tymczasem na jednego z królików. Z dwóch wiewiórek zostały tylko kosteczki. Odstawione od piersi wampiry mogą już jeść mięso i aż do okresu młodzieńczego stanowi ono podstawę ich diety; potem odżywiają się już niemal wyłącznie krwią, chociaż nie musi to wcale być tylko krew ludzka.

Klatka ta przez kilka lat miała być domem Clifforda M. Przetrwał do dziś wycinek z miejscowej gazety, noszącej datę o pięć lat późniejszą od znajdującej się na liście, w którym Dulcie po raz pierwszy wspomniała o „małpce Ossie'ego". Wycinek ów zawiera wzmiankę zatytułowaną „Dziwne zwierzę na farmie Fimberów"; o więźniu Ossie'ego wspomina się tam jako o „czymś w rodzaju małpy". Z lektury tekstu wynika jasno, że Clifford M. zaczął już w tym czasie tracić porastającą jego ciało sierść i że zamiast potężnych, dziecięcych zębów miał już normalne, na pierwszy rzut oka niczym się nie różniące od ludzkich. Na podstawie tych informacji możemy wnioskować, że liczył sobie wówczas koło piętnastu lat. Zamieszczona w gazecie informacja o jego rozmiarach („jest wzrostu pięcioletniego dziecka"), potwierdza te przypuszczenia.

Wkrótce po ukazaniu się tej wzmianki Clifford M. uciekł, odebrawszy życie pierwszej swej ofierze. Pewnego ranka ojciec Ossie'ego znalazł martwe, jakby wysuszone ciało swego syna leżące koło otwartej, pustej klatki. W tym momencie na okres ponad siedmiu lat Clifford M. znika nam z oczu, można się jednak na podstawie wielu przesłanek domyślać, że prowadzi w tym czasie życie dzikiego zwierzęcia, kryjąc się w gętych lasach porastających zbocza Appalachów, żywiąc się najróżniejszymi drobnymi istotami i od czasu do czasu – nie sposób, rzecz jasna, stwierdzić jak często – pijąc niezbędną mu do życia ludzką krew.

W roku 1906 ukazała się książka „Dziki chłopiec z okręgu Jihnson" (Nowy York, Thomas Colier's Sons), zaś w 1958, w tej samej firmie, jej drugie wydanie pod zmienionym tytułem: „Harry, amerykańskie dzikie dziecko". Książka, autorstwa wielebnego Llewellyna Crocketta, stanowi relację z procesu przywracania ludzkiemu społeczeństwu dziecka wychowanego albo przez dzikie zwierzęta, albo, co wydaje się równie prawdopodobne, przez nikogo w ogóle.

Grupa myśliwych obozująca w lesie na jesieni 1898 roku schwyciła dzikiego chłopca w momencie, kiedy w środku nocy pochylał się nad jednym ze śpiących ludzi. Nikt nie mógł odgadnąć powodu, dla którego to uczynił, chociaż dla nas, rzecz jasna, jest on aż nadto oczywisty. Myśliwi musieli go związać, by uchronić się przed jego agresywnością, po czym zanieśli go do Lexington i przekazali władzom. Wielebny Mr. Crockett, proboszcz kościoła Św. Marka, niegdyś nauczyciel, dostrzegł okazję zarówno wrócenia na łono ludzkiej i bożej społeczności zagubionej owieczki, jak i wypróbowania własnych teorii pedagogicznych. Nie miał żadnych kłopotów z przekonaniem władz, żeby te oddały mu chłopca pod opiekę.

Według relacji Crocketta dziecko dysponowało wysoką wrodzoną inteligencją i bardzo szybko nauczyło się nie tylko nosić ubranie i chodzić w pozycji wyprostowanej, ale nawet mówić. Crockett nazwał chłopca imieniem Harry – nie wyjaśnił, dlaczego wybrał akurat to imię. Państwo Crockett byli bezdzietni, ale nie wydaje się, żeby kiedykolwiek pałali do Harry'ego specjalnie gorącym uczuciem. Wręcz przeciwnie nawet; nie trzeba być zbyt domyślnym, żeby z zawartych między wierszami informacji wywnioskować, że w gruncie rzeczy uważali obecność chłopca za istny dopust Boży. Spoglądając z perspektywy czasu możemy tylko podziwiać ich intuicję, oni jednak gryźli się bardzo tym, że w ich sercach panoszą się tak niechrześcijańskie uczucia.

Państwo Crockett szacowali wiek chłopca na dziesięć do jedenastu lat, w rzeczywistości jednak w chwili, kiedy do nich trafił, miał lat dwadzieścia trzy lub dwadzieścia cztery, a więc około trzydziestu w momencie, kiedy znowu zniknął nam z oczu. W owym czasie ci dobrzy ludzie uważali, że ma osiemnaście lat, zaś w książce często napotkać można uwagi, że wyglądał nawet jeszcze młodziej.

Siedmioletni pobyt u Crockettów dał mu bardzo dużo, wziąwszy oczywiście poprawkę na czas i miejsce. Po trzech latach Crockett oddał go do szkoły podstawowej, gdzie po kilku miesiącach uznano, że nic więcej nie można już chłopca nauczyć i przekazano go do szkoły średniej, którą z całą pewnością by skończył, gdyby na miesiąc przed końcem nauki nie zabił Mrs. Crockett i nie uciekł. Nauczył się bardzo wiele również jeśli chodzi o maniery, sposób ubierania i zachowania, toteż każdy, kto go spotkał, skłonny był uznać go za miłego, godnego szacunku młodzieńca. Ci, którzy znali jego historię uważali go jedynie za godnego uwagi dziwoląga; pogląd ten był nie tylko bliższy prawdzie, ale także, jak to wkrótce zobaczymy, jego własnemu widzeniu swojej osoby.

Pozostawił w Lexington kompletnie załamanego, starego człowieka i pozbawione zupełnie krwi zwłoki dobrej kobiety, która ze wszystkich sił starała się zastąpić mu matkę. Zabrał ze sobą swoje ubrania, dziewięćdziesiąt siedem dolarów ukradzionych z biurka wielebnego Llewellyna Crocketta oraz przekonanie, że pod wieloma względami bardzo, ale to bardzo od wszystkich się różni.

A było tak dlatego, ponieważ nie wiedział, czym w istocie jest. Jego najwcześniejsze wspomnienia (jak wiemy z dziennika znajdującego się obecnie w posiadaniu doktora Burbanka), sięgały czasu, kiedy był zamknięty w klatce na farmie Fimberów, a i to były zaledwie niewyraźne, mgliste przebłyski. Nie pamiętał, że kiedyś był owłosiony niczym małpa i miał zęby jak rekin. Sądził, że jest zwyczajnym człowiekiem i dlatego właśnie uważał się za dziwoląga i nieudacznika. Kiedy osiągnął okres dojrzewania i zaobserwował zmiany w swoich genitaliach, był już zupełnie pewien, że jest z nim coś nie w porządku, a w dodatku po głowie zaczęły mu krążyć niezwykłe, drapieżne myśli.

Nastąpiło to jednak dopiero po kolejnych jedenastu latach. Możemy być tego całkowicie pewni, bowiem w roku 1916 Clifford M. ukończył studia na Harvardzie, co nie byłoby raczej możliwe, gdyby nie uczęszczał na zajęcia. Po osiągnięciu dojrzałości płciowej wampir zapada w ciągu dnia na śpiączkę, zaś zajęcia na uniwersytecie rzadko kiedy odbywają się w nocy. Tak więc Clifford M. stał się w pełni dojrzałym osobnikiem po czerwcu 1916 roku; jednocześnie zaczął w gwałtowny sposób odczuwać pewne potrzeby, wyraźniejsze nawet od pojawiającego się okresowego, kategorycznego imperatywu nakazującego mu spożycie ludzkiej krwi, których to potrzeb w żaden sposób nie był w stanie zaspokoić. Był już pewien, że jest jakimś potworem i postanowił urządzić sobie życie w taki sposób, który pozwoliłby mu na choćby częściową realizację rodzących się w jego umyśle i ciele pragnień.

Nie wiemy, co działo się z nim przez pięć lat po jego ucieczce z Lexington, oprócz tego, że udało mu się w jakiś sposób zdobyć sporo pieniędzy. Odnajdujemy go dopiero w roku 1910, kiedy to zapisał się do Corynthia College, małej, sekciarskiej uczelni w Fowler, stan Illinois. W dokumentach figuruje jako Clifford M. – według posiadanych przez nas informacji po raz pierwszy użył wówczas imienia, z którym nigdy już się nie rozstawał. Nie potrafił zbyt jasno przedstawić ani swego życiorysu, ani przebiegu dotychczasowej edukacji, ale ponieważ wszelkie opłaty uiszczał gotówką, nikomu nie zależało na przeprowadzeniu jakichś szczegółowych dochodzeń.

Jest oczywiste, że Corynthia College stanowił tylko środek do osiągnięcia celu; opuścił go po dwu latach, zabierając pisane niemal złotymi zgłoskami rekomendacje i dokumenty świadczące o znakomitym przebiegu studiów. Bez żadnych problemów został przyjęty na Harvard, który ukończył w roku 1916.

Z okresem jego pobytu na Harvardzie wiąże się jedna zastanawiająca okoliczność. Jego przybycie na tę uczelnię zostało poprzedzone wieloma listami do dystyngowanych dam z Bostonu, listami, których nadawczynią była Mrs. Gaines Sturdevant z Richmond, dama o rozległych koneksjach. Dzięki temu Clifford M. był zapraszany na najróżniejsze przyjęcia i spotkania w najelegantszych domach Bostonu, zupełnie, jakby od lat należał do tego środowiska. Nigdy się już nie dowiemy, w jaki sposób udało mu się nakłonić panią Sturdevant do napisania tych listów, ani nawet w jaki sposób się z nią zetknął, ale udało się odnaleźć dwa z nich. Te ich fragmenty, które nas interesują są dokładnie takie same i zawierają wielce romantyczne i oczywiście całkowicie nieprawdziwe szczegóły dotyczące pochodzenia i wykształcenia Clifforda M. Zdaje się, że okazały się one zupełnie wystarczające, by przekonać szacowne matki, iż Clifford M. byłby znakomitym kandydatem na męża dla ich córek. On jednak nigdy nie skorzystał z otwierających się przed nim możliwości.

Przerwiemy w tej chwili relację o jego losach, aby zastanowić się nad motywami, które kierowały jego postępowaniem. Dlaczego Harvard? Jakie plany rodziły się wówczas w jego umyśle?

W świetle tego, co wiemy o jego późniejszym postępowaniu, możemy jednoznacznie stwierdzić, że chodziło mu wyłącznie o poczynienie znajomości i zadzierzgnięcie stosunków, które mogły później dopomóc mu w zrobieniu fortuny. Natychmiast po ukończeniu studiów znalazł zatrudnienie jako makler w znanej firmie mającej swą siedzibę na Wall Street; oczywiście, gdyby nie rozległe znajomości, nie mógłby nawet o tym marzyć. Tam zajął się nim natychmiast jeden z udziałowców, ucząc go nieodzownych w tym zawodzie sztuczek i umiejętności wykorzystywania najróżniejszych kruczków w przepisach. Pracował w firmie przez dwa lata, by potem niespodziewanie złożyć rezygnację – już wówczas zdobył sobie w Nowym Jorku opinię ekscentryka. Możemy przypuszczać, że właśnie wtedy osiągnął wiek dojrzały, a tym samym równo ze wschodem słońca zapadał w niekontrolowaną śpiączkę. Z tego właśnie powodu wszelkie interesy załatwiał wyłącznie korespondencyjnie.

Mimo to udało mu się osiągnąć niemałe sukcesy i w roku 1922 był już posiadaczem znacznego majątku. Właśnie wtedy zrezygnował z posady i przeprowadził się do olbrzymiego, brzydkiego domu w górzystej części Pensylwanii, który odkupił od spadkobierców zmarłego potentata węglowego. Rozpoczął tam poszukiwania, które miał kontynuować bez przerwy przez następnych sześćdziesiąt lat.

Jest oczywiste, że w pewnym momencie, gdzieś między ukończeniem studiów na Harvardzie a rezygnacją z pracy,





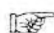
NACIŚNIJ

ENTER



...Artysta stając przed nowym warsztatem pracy staje zarazem przed wieloma problemami. A im większą ma zażyłość w obcowaniu z tradycyjnymi technikami, tym trudniej jest mu odpowiedzieć na podstawowe pytania: czy kontynuować wypracowany przez siebie plastyczny świat, czy go odrzucić, czy korzystając z możliwości komputera całkiem go zmienić. Te pytania pozornie wydają się proste. Komputer okazuje się być szczególnym urządzeniem, które zmusza do sięgnięcia w uśpione rejony wyobraźni...

...Nie jest naszym zamiarem ukrywanie funkcjonalności prac za parawanem sztuki. Przeciwnie, chcemy, by artystyczne doświadczenia każdego z nas znalazły spełnienie właśnie w formie jak najbardziej użytkowej...



zaczął podejrzewać, kim jest naprawdę. Zapisy w kartotece księgarni Saltzmana w Greenwich Village, udostępnione nam przez Mr. Davida Saltzmana potwierdzają fakt, że będący wówczas właścicielem księgarni ojciec pana Saltzmana utrzymywał z Cliffordem M. regularną korespondencję i ze Clifford M. zlecił mu penetrację świata książki w poszukiwaniu wszelkich publikacji dotyczących wampiryzmu, wilkołactwa i innych, zbliżonych dziedzin okultyzmu. Dzięki lekturze tych dzieł Clifford M. mógł wreszcie wyjaśnić anomalie, które u siebie zaobserwował oraz tajemniczą historię swojego życia, jak również zaakceptować fakt, że nie jest człowiekiem, tylko jakimś zupełnie odmiennym do niego stworzeniem – najprawdopodobniej wampirem.

Przez pewien czas prowadził dziennik, odnotowując w nim wszystkie swoje poczynania, a także nieodmiennie zerowe skutki, jakie one odnosiły. Dziennik ten został odnaleziony przez dra. E.M. Burbanka z Fundacji Grailingów i znajduje się w jego posiadaniu; dr Burbank udostępnia go wszystkim naukowcom prowadzącym badania z zakresu interesującej nas dziedziny. Z dziennika tego dowiadujemy się między innymi, że Clifford M. zaprenumerował wszystkie ukazujące się w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie czasopisma oraz że zatrudniał znaczną liczbę osób – najczęściej byli to emerytowani nauczyciele – które miały za zadanie dokładnie czytać te czasopisma i wycinać wszystkie notatki dotyczące zagadkowych przypadków śmierci i zaginięć, którym towarzyszyły określone okoliczności. Nadzór nad tą pracą powierzył bystremu młodzieńcowi nazwiskiem Robertson, któremu wyznał w sekrecie, że wierzy w wampiry i wilkołaki (dla równowagi dodał jeszcze astrologię, teozofię i wegetarianizm) i że poszukuje dowodów na ich istnienie. Robertson, znając przedmiot poszukiwań, wyławiał z morza wycinków te, które wyglądały najbardziej obiecująco i wynajmował prywatnych detektywów, żeby ci przeprowadzali wstępne rozpoznanie interesujących przypadków. Również i on kontaktował się często z Saltzmanem; dzięki niemu wielu studentów znacznie zwiększyło swoje kieszonkowe, szperając w najróżniejszych bibliotekach w poszukiwaniu książek związanych z podanym im tematem.

Podczas pierwszych dziesięciu lat poszukiwań natrafiono na siedem przypadków, które Cliffordowi M. wydały się warte dokładniejszej analizy, ale wszystkie okazały się ostatecznie zwykłymi morderstwami, samobójstwami lub porwaniami. Dwadzieścia następnych lat było latami Wielkiego Kryzysu i II Wojny Światowej; wielkie masy ludzi przemieszczały się z miejsca na miejsce i liczba interesujących przypadków wzrosła znacznie, ale również bez żadnych rezultatów. Robertsonowi udało się tymczasem uzyskać dostęp do ogólnokrajowej policyjnej sieci informacyjnej, dzięki czemu liczba tajemniczych a rokujących nadzieję zdarzeń zwiększyła się jeszcze bardziej; mimo to żadne z prowadzonych szczegółowo śledztw nie zakończyło się połowicznym choćby sukcesem.

Clifford M. musiał wielokrotnie opierać się pokusie zaprzestania poszukiwań; nieomal udało mu się wyrobić w sobie przekonanie, że jego podejrzenia co do tego, iż jest wampirem są niczym innym jak tylko lunatycznym złudzeniem. Codzienna utrata przytomności może przecież być jedynie objawem jakiejś choroby, dziwaczne narządy reprodukcyjne – pomyłką Natury, zaś okropna żądza krwi po prostu kryminalnym zboczeniem. Nic z tego jednak: te i podobne myśli nie wytrzymywały dokładniejszej krytyki. Przekonał się, że druga żądza, która nie dawała mu spokoju, niemal równie silna, jak żądza krwi, była po prostu seksualnym pożądaniem. Ale w stosunku do czego? Do kogo? Na pewno nie do żadnej z kobiet, które kiedykolwiek spotkał, ani do żadnego mężczyzny, dziecka czy zwierzęcia. Był to pociąg skierowany w stronę samicy jego gatunku; musiał ją znaleźć. W przeciwnym razie życie prędzej czy później stałoby się dla niego nie do zniesienia.

Cytowane tutaj myśli Clifforda M. nie są niczyim wymysłem; pochodzą z dziennika Burbanka, gdzie są zapisane pod datą 3 czerwca 1972 roku. Tak się akurat złożyło, że później dokonano w dzienniku już tylko jednego wpisu (7 sierpnia 1972). Należy się domyślać, że Clifford M. albo zaprzestał prowadzenie dziennika, albo czynił to w jakiejś innej formie. Jeżeli tak istotnie było, to dalszego ciągu nikomu nie udało się do tej pory odnaleźć.

Korzystając z różnych źródeł możemy ze znaczną dozą prawdopodobieństwa odtworzyć życie Clifforda M. w owym czasie. Przede wszystkim musimy pamiętać, że codziennie od wschodu do zachodu słońca leżał pogrążony w głębokiej śpiączce, aktywne życie prowadząc wyłącznie w nocy. Jego przypominający zamek dom stał w odludnej okolicy, kilka mil od małego, zapomnianego przez wszystkich miasteczka, w którym znajdowało się biuro Robertsona. Domu nie sposób było dostrzec z żadnej drogi, zaś jedynym przybywającym do niego gościem był Robertson, zjawiający się ze swoim raportem raz na tydzień w godzinę po zachodzie słońca.

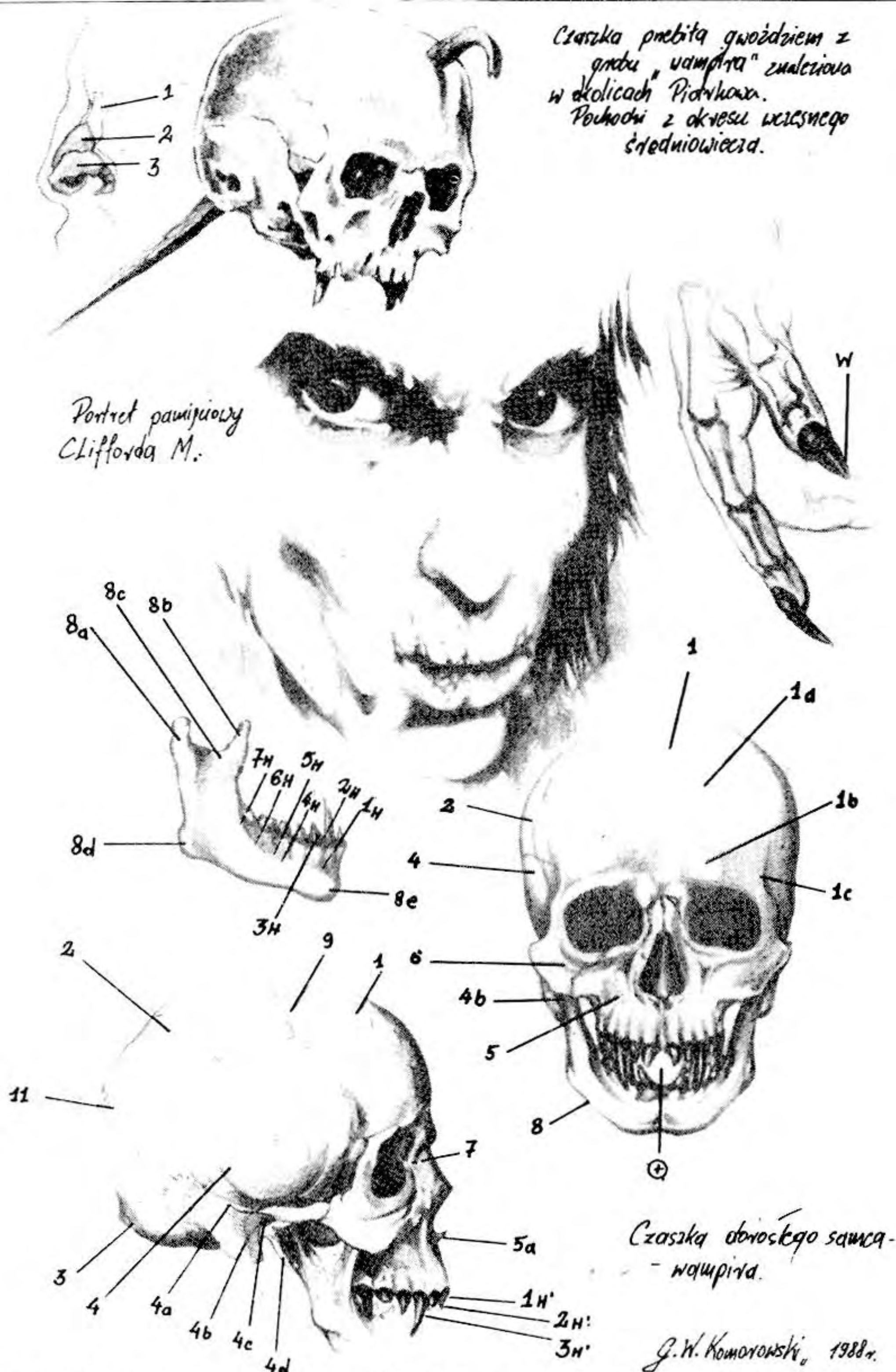
Robertson liczył już sobie ponad siedemdziesiąt lat, z których więcej niż pięćdziesiąt spędził pracując dla Clifforda M. Był znakomicie opłacany, ale z całą pewnością nieraz nachodziły go myśli dotyczące wartości życia spożytkowanego na zbieranie bezwartościowych informacji dla opętanego manią bogacza. Stał się prawdziwym specjalistą w oddzielaniu ziarna od plew, toteż z rzadka tylko miał do pokazania swemu chlebodawcy coś interesującego, ale jeżeli już uznał, że któryś z wycinków zasługuje na uwagę, to Clifford M. musiał przyznać, że tak jest w istocie.

Jeżeli nasze obliczenia są prawidłowe, to w połowie lat siedemdziesiątych Clifford M. liczył sobie około stu lat. Postronnym obserwatorom jawił się jako szczupły, atletycznie zbudowany, przystojny mężczyzna w wieku mniej więcej trzydziestu pięciu lat, o bladej twarzy i kruczoczarnych włosach. Nosił nieco staromodne, drogie ubrania, które nigdy zbyt dobrze na nim nie leżały, bowiem sprowadzał je wyłącznie drogą pocztową. Miał dwoje służących, wówczas już w podeszłym wieku, emigrantów z jakichś wiejskich okolic na Bałkanach. Para ta zdawała sobie doskonale sprawę z tego, kim w istocie jest ich chlebodawca; nie dziwiły ich ani jego dziwaczna dieta, ani nocny tryb życia. Za to, że z nikim nie dzielili się tą wiedzą, byli oczywiście hojnie wynagradzani.

Clifford M. miał również zbudowany na specjalne zamówienie samochód, z zewnątrz niczym się nie różniący od wielu jeżdżących jeszcze po szosach, podstarzałych egzemplarzy, ale wyposażony w potężny silnik i zdolny do pokonywania dużych odległości bez konieczności uzupełniania paliwa. Raz w miesiącu, a czasem nieco częściej, Clifford M. wyruszał nim wkrótce po zachodzie słońca, by powrócić tuż przed świtem, zaspokoiwszy swą krwawą żądzę. Był podczas swoich eskapad niezwykle ostrożny, nie zabierając nigdy żadnej ze swych ofiar tyle krwi, żeby spowodować jej śmierć, czy nawet niepokojące objawy, które mogłyby skłonić ją do udania się do lekarza. Jego tereny łowieckie miały kształt koła o promieniu mniej więcej stu mil, w którego środku znajdował się jego dom.

Na przestrzeni lat przedsięwziął także sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt dłuższych podróży do najróżniejszych zakątków kraju (czterokrotnie odwiedził również Kanadę, a raz Meksyk), w celu sprawdzenia osobiście tych przypadków, których nawet po wnikliwym śledztwie nie udało się wyjaśnić w żaden racjonalny, oczywisty sposób. Eskapady te wymagały starannego przygotowania, polegającego między innymi na tym, aby zarówno podczas samej podróży, jak i u jej celu miał zawsze do dyspozycji jakieś pomieszczenie lub miejsce, w którym mógł spokojnie przespać cały dzień. Robertson przejmował wówczas rolę zwiadowcy, wynajmując na pewien czas samotne, stojące na uboczu domy. Para służących jechała razem z Cliffordem M., śpiąc na tylnym siedzeniu, kiedy on prowadził, w dzień zaś strzegąc jego bezpieczeństwa. Podczas żadnego z tych skomplikowanych safari nie udało mu się odnaleźć tego, czego szukał.

Sukcesem zakończyło się dopiero ostatnie z nich, w małym, leżącym w zachodniej części stanu miasteczku Sturkeyville, zaledwie dzień, a właściwie noc drogi od jego domu. Dzięki lekturze roczników miejscowego „Heralda" możemy



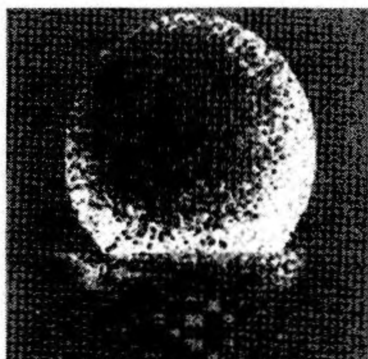
ustalić niemal z całkowitą pewnością przebieg wydarzeń, które zwróciły uwagę najpierw Robertsona, a następnie samego Clifforda M.: rosnąca liczba nie wyjaśnionych zachorowań wśród miejscowej ludności, a następnie tajemnicze przypadki zgonów i zaginięć. Robertson, jak zwykle, ruszył przodem i wynajął opuszczony dom. Wkrótce potem zjawił się tam Clifford M. ze swymi służącymi.

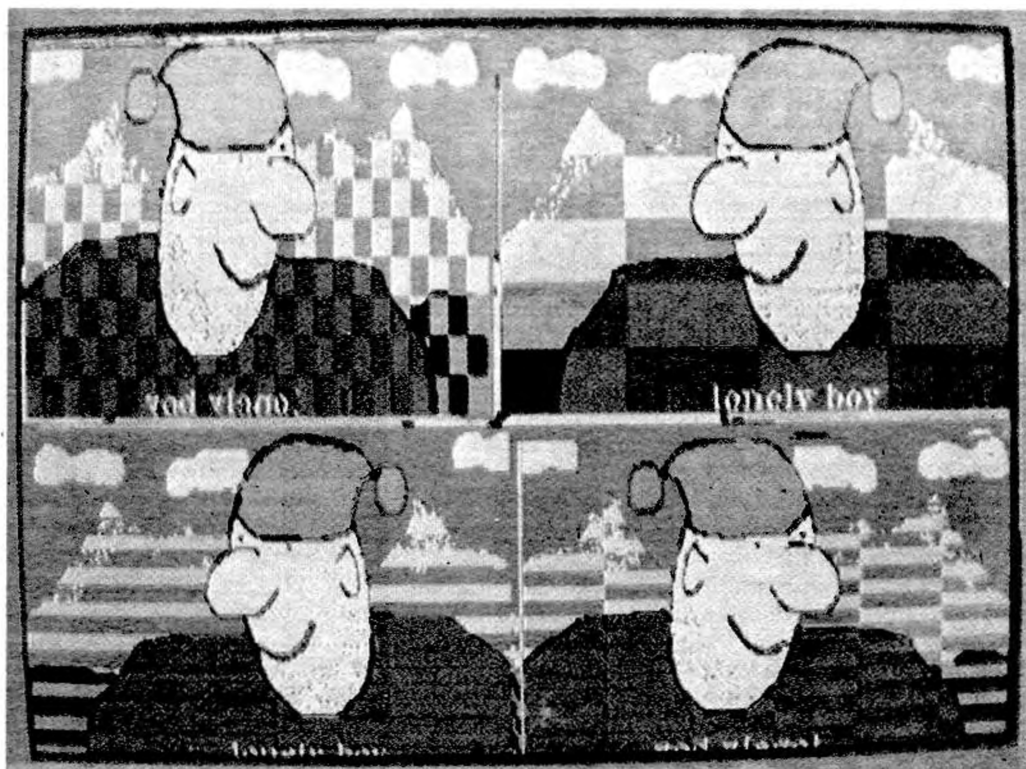
Musimy teraz pozostawić na moment Clifforda M. jego własnemu losowi i zająć się sytuacją, jaka wówczas panowała w Sturkeyville. Nie jesteśmy tutaj zdani wyłącznie na nasze własne domysły, bowiem dysponujemy relacjami trzech głównych uczestników wydarzeń, które nastąpiły po zakończeniu uwieńczonych sukcesem poszukiwań Clifforda M. Są to Blanche Tolliver, Edmund Hodge i Frank Polder, w kolejności lekarka, fabrykant i dyrektor East High School. Blanche Tolliver przejęła w roku 1958 praktykę po swoim ojcu i do tego czasu nieprzerwanie służyła pacjentom miasteczka, przyjmując wezwania o każdej porze dnia i nocy, znając dokładnie każdego z chorych i nigdy nie przypominając o nie zapłaconych honorariach. Od dwudziestu lat była kochanką Edmunda Hodge'a; nie mogli się pobrać, ponieważ żona Hodge'a już od ćwierć wieku przebywała w zakładzie dla psychicznie chorych. Sam Hodge był jednym z właścicieli Odlewni Braci Hodge, największego zakładu przemysłowego miasteczka, Frank Polder zaś jego kuzynem. Cała trójka znała się i przyjaźniła od dziecka.

Zaangażowali się w sprawę Clifforda M. z powodu Blanche, która, badając pacjentów z najdalszych nawet zakątków okręgu doszła do wniosku, że pojawiła się wśród nich nowa choroba, charakteryzująca się objawami świadczącymi o znacznej utracie krwi, które to objawy stwierdzała jednak u osób nie posiadających ani żadnych ran zewnętrznych, ani nie skarżących się na jakiekolwiek krwawienie wewnętrzne. Wkrótce potem na gardle jednego z pacjentów znalazła dziwne, przypominające ukłucie ślady, a kilka centymetrów poniżej niemal identyczny zestaw. Potem szukała tych śladów – i znajdywała je – zawsze tam, gdzie stwierdzała podobne objawy, odszukała również wcześniejszych pacjentów,

☞

...Zaczynamy od rzeczy najprostszych, od zastosowania kreski, koloru i plamy. Od tego wychodzimy. Realizujemy obrazy, które nosimy w sobie od zawsze albo też robimy całkowicie odmienne, pojawiające się spontanicznie jako następstwo nowych środków. Jesteśmy zafascynowani ogromnymi możliwościami i badamy je, by doskonalić swój warsztat. Jak to się skończy trudno dociec. Tymczasem traktujemy pracę z komputerem jako swoisty eksperyment i ważne doświadczenie w obcowaniu z nową techniką. I to jest dla nas najważniejsze...







którzy, jak się okazało, również mieli identyczne ślady, tyle tylko, że ranki te dawno już im się zagoiły.

Od wielu lat miała zwyczaj omawiania wyników swej pracy z Hodge'em; tym razem uznał on jej relację za tak interesującą, że powtórzył ją Polderowi, który zareagował dokładnie tak, jak wcześniej oni obydwoje: „Dracula!", zawołał, wywołując wybuch śmiechu.

Pojawiały się jednak coraz to nowe przypadki, wkrótce potem zaś umarła kobieta, a później dwoje dzieci. Badanie anatomo-patologiczne potwierdziło, że kobieta utraciła olbrzymią ilość krwi. Pewnego wieczoru trójka przyjaciół omawiała podczas kolacji to wydarzenie i żart Poldera żadnemu z nich nie wydawał się już tak bardzo śmieszny. Postanowili, że Polder, który akurat wtedy dysponował wolnym czasem, był to lipiec, a więc środek wakacji – poświęci tydzień lub dwa na zbieranie informacji od pacjentów Blanche, w celu ustalenia ewentualnych niezwykłych wydarzeń, które poprzedzały ich zachorowanie.

Kiedy po dwóch tygodniach spotkali się ponownie, Polder powiedział:

– Ktoś rzeczywiście pił ich krew. Prawie połowa ludzi pamięta niejasno coś w tym rodzaju – tak niejasno, że wszyscy są przekonani, że to tylko sen. Ale przecież dwadzieścia trzy osoby nie mogły mieć dokładnie takiego samego snu, w którym występowałyby takie same postaci. Szukamy mężczyzny i kobiety, albo dwóch mężczyzn i kobiety. Nikt nie może sobie dokładnie tego przypomnieć, ale wszystkim wydaje się, że byli strasznie brudni i obdarci: mężczyzna w niechlujnym, utytłanym w czymś płaszczu, czarnym kapeluszu i drewniakach, drugi ubrany w taki sam strój i kobieta w zeszmaconej, bawełnianej sukience i czerwonych pończochach. Wszystkie opisy były niemal dokładnie takie same i połowa ludzi, z którymi rozmawiałem nazywała ich „ludźmi z gór" albo „leśnymi ludźmi". Sądzę, że powinniśmy zawiadomić policję.

– Też tak uważam – odparł Hodge – ale trudno będzie o cokolwiek ich oskarżyć, skoro ofiary sądzą, że wszystko im się śniło, a rany dawno już się zagoiły. Ale, oczywiście, należy ich powstrzymać. Mimo wszystko lepiej wiedzieć, że to tylko jacyś wariaci albo zboczeńcy, niż zacząć wierzyć w wampiry.

– Ja chyba już w nie wierzę – powiedziała powoli Blanche. – Uważam, że to właśnie wampiry.

– Przecież słyszałaś, jak wyglądają.

– A dlaczego wampiry nie miałyby tak właśnie wyglądać? Czy możesz mi powiedzieć, jak wygląda wampir? Dlaczego nie właśnie tak, jak „leśny człowiek"? Jeżeli w historiach o wampirach jest choć odrobina prawdy, to chronią się upodabniając się maksymalnie do ludzi. I żyją bardzo długo. Wyobraźcie sobie wampira, który ma, powiedzmy, dwieście lat i żyje gdzieś w górach. Jak, według was, miałby się zachowywać i wyglądać? Jak „człowiek z gór", rzecz jasna. Czy wampir musi wyglądać jak Bela Lugosi? Czy wampir z Appalachów nosiłby strój wieczorowy?

Mężczyźni zastanowili się nad tym, a po chwili Polder powiedział:

– Chyba masz rację. Ci ludzie, kiedy opowiadali o swoich snach, przeczuwali, że mają do czynienia z czymś znacznie bardziej potwornym, niż zwykły, żądny krwi szaleniec, z czymś, czego nie byli w stanie wyrazić. Tyle tylko, że to był tylko sen.

– Gdyby zaatakowali ich jacyś wariaci, z całą pewnością by to pamiętali – wtrąciła Blanche.

– W porządku więc; przyjmijmy, że to wampiry – odezwał się Hodge. – Co zrobimy?

– Zawiadomimy policję – powiedział Polder i zaraz dodał: – Po czym od razu zamkną nas w szpitalu dla umysłowo chorych.

– Otóż to – skinęła głową Blanche. – A dlaczego nie mielibyśmy spróbować sami ich wyśledzić i złapać na gorącym uczynku?

– Właśnie, czemu by nie? – podjął Hodge. – Jest to najprawdopodobniej dosyć niebezpieczne, nie mamy najmniejszego pojęcia, jak się za to zabrać, a wreszcie na pewno okaże się, że to po prostu jacyś psychopatyczni mordercy. Jasne, dlaczego by nie.

Rozpoczęli pracę od naniesienia na mapę dat i miejsc przypadków ujawnionych przez Blanche i współpracujących z nią lekarzy, po czym Polder udał się do tych miejsc i przeprowadził kilkadziesiąt dodatkowych rozmów, w wyniku których odkrył jeszcze kilka osób, które nigdy nie zgłosiły się do lekarza, a które cierpiały jakiś czas temu na interesujące trójkę badaczy dolegliwości.

W sumie mieli do czynienia z siedemdziesięcioma ośmioma przypadkami znacznego ubytku krwi, które wydarzyły się w ciągu trzynastu miesięcy. Uznając właśnie miesiące za podstawowe kryterium kwalifikacyjne, połączyli liniami te punkty na mapie, które oznaczały zachorowania w danym miesiącu; otrzymali obraz przypominający bardzo topograficzny rysunek symetrycznej, wysokiej góry.

– Niemal dokładnie koncentryczne okręgi – zauważył Hodge. Najmniejszy pochodzi z ubiegłego maja. To najwcześniejszy.

– Może to oznaczać, że zaczęli w pobliżu swojej kryjówki, stopniowo coraz bardziej się od niej oddalając – powiedziała Blanche.

– To nie ma żadnego sensu – wzruszył ramionami Hodge. – Sądziłem, że te istoty żyją praktycznie wiecznie. Dlaczego miałyby zacząć napadać na ludzi akurat trzynaście miesięcy temu? Co robiły do tej pory?

– Może właśnie wtedy się tutaj zjawiły. Przypuszczam, że mogą przenosić się z miejsca na miejsce tak samo, jak ludzie.

– Może. Gdzie znajduje się ta „kryjówka"?

– Stary Zajazd na skrzyżowaniu trzech górskich dróg. Kiedyś urzędował tam kowal i był prawdziwy, świetnie prosperujący sklep, ale teraz to już tylko na wpół zrujnowane, opuszczone budynki. Jakąś milę stamtąd znajdują się trzy lub cztery również nie zamieszkane domy, z których w całości stoi już tylko jeden, brakuje mu jedynie dachu.

– Sceneria w sam raz – mruknęła Blanche. – I co teraz?

– Jak to, co? Musimy je odnaleźć i…

– Właśnie. Co zrobimy, kiedy już je odnajdziemy?

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Ciszę przerwała Blanche.

– To chyba oczywiste. Jeżeli okażą się tym, o czym myślimy, to potraktujemy je drewnianym kołkiem.

– A jeżeli nie?

– Cóż, wtedy będzie kłopot. Nie sądzę, żebyśmy dali sobie radę z trzema maniakalnymi mordercami.

– Jeżeli uda nam się zobaczyć ich za dnia, będziemy wiedzieli, że to tylko szaleńcy i po prostu zawiadomimy szeryfa – powiedział Hodge. – A teraz musimy zastanowić się, co i w jaki sposób musimy zrobić.

Dyskutowali nad tym do późnej nocy, nie mogąc dojść do porozumienia, zaś następnego wieczoru u Blanche zjawił się Clifford M.; była zafascynowana tym, co miał jej do powiedzenia. Zaraz zawiadomiła swoich dwóch przyjaciół i jeszcze przed świtem ustalili, co trzeba zrobić.

Clifford M. zachowywał się niezwykle uprzejmie, przekonywająco i zdecydowanie zarazem. Starał się wywrzeć na swoich rozmówcach wrażenie, że jest zamożnym człowiekiem o wysokiej inteligencji i wykształceniu, żywiącym może nieco ekscentryczne przekonanie o tym, że wampiry naprawdę istnieją i przeznaczającym swój czas i pieniądze na łowy na nie. Ponieważ oni również zaczynali już być o tym przekonani, powitali z radością ofertę współpracy. Clifford M. przedstawił im ze szczegółami zasady funkcjonowania swego biura wycinków prasowych i kryteria, na podstawie których klasyfikował zebrane w ten sposób informacje oraz opowiedział, w jaki sposób metoda ta zaprowadziła go do Blanche. Wyraził nadzieję, że pozwolą mu przyłączyć się do poszukiwań. Odkrycie i zlikwidowanie tych nieludzkich stworzeń uwolni ludzkość od ohydnej zmory, a oprócz tego potwierdzi jego przeczucia i pokaże całemu światu, że nie były to jedynie majaczenia i kaprysy człowieka, który nie wiedział, co robić z czasem i pieniędzmi. ■

Powiedział, że on sam prowadzi raczej nocny tryb życia, że zajmuje się wampiryzmem już od wielu lat i że dysponuje znakomitym teleskopem, toteż może się podjąć prowadzenia nocnych obserwacji terenu, który w tak znakomity sposób udało im się ustalić, zaś dwaj pozostali mężczyźni, będący zapalonymi myśliwymi i przebywający z racji tego często poza domem, mogą uzbroić się i przeczesywać okolice za dnia. Wszyscy zgodzili się, że jest to bardzo rozsądna propozycja.

Od tej chwili w relacji tej obok w pełni udokumentowanych faktów zaczynają pojawiać się również takie, których autentyczność nie zawsze jest pewna. Wszystkie one jednak opierają się na całkowicie wiarygodnych przesłankach, zaś jeżeli nawet nie w pełni odpowiadają rzeczywistym wydarzeniom, to z całą pewnością oddają ich ogólny przebieg i nastrój.

Bez najmniejszych wątpliwości możemy stwierdzić, co następuje: przez trzy dni Hodge i Polder, ubrani w czerwone czapki i kurtki oraz wyposażeni w broń myśliwską przeczesywali okolice Starego Zajazdu, ale bez powodzenia. Co wieczór po powrocie z „polowania" spotykali się z Blanche i Cliffordem M. (jak do tej pory nikt z nich nie zwrócił uwagi na dziwną okoliczność, że widywali go wyłącznie po zachodzie słońca), i składali relację z bezowocnych poszukiwań. Następnie Clifford M. informował o rezultatach – także zerowych – swego nocnego czuwania, po czym myśliwi udawali się na zasłużony odpoczynek, zaś Clifford M. (tak przynajmniej wszyscy przypuszczali), wracał do swej samotni, by wypatrywać wampirów przez swój teleskop.

Trzeciego wieczoru Clifford M. nie stawił się na spotkanie, toteż rano Hodge i Polder udali się do domu, który wynajmował. Dom był pusty, zniknął także samochód Clifforda M., ale do drzwi przybita była koperta zaadresowana do dr. Tolliver. Zanieśli ją natychmiast do Blanche, która otworzyła ją i przeczytała krótką informację: *Gnieżdżą się pod ruinami Starego Zajazdu; jest ich czworo, nie troje. Weźcie kołki.*

Z treści innego listu napisanego do Blanche przez Clifforda M., a dostarczonego adresatce przez Robertsona po zakończeniu całej historii, możemy się dowiedzieć, co w rzeczywistości w te ciepłe, lipcowe noce robił Clifford M. Jego relacja stanowi jednak zaledwie szkielet, który niniejsze sprawozdanie postara się przyoblec w ciało. Czytelnik we własnym zakresie powinien od czasu do czasu dodać do niego takie sformułowania jak: „możemy przypuszczać, że...", lub „należy przyjąć, iż..."

Nie ma żadnych wątpliwości co do tego, że wysiłki Tolliver, Hodge'a i Poldera stanowiły dla Clifforda M. olbrzymią pomoc i oszczędziły mu masę czasu. Troje badaczy ustaliło obszar poszukiwań z taką dokładnością, że jego łowy zostały uwieńczone sukcesem już pierwszej nocy, kiedy wybrał się do Starego Zajazdu. Zostawił samochód kilka mil od skrzyżowania i resztę drogi przebył na piechotę. Był przekonany o tym, że potrafi zamienić się w nietoperza, ale nie wiedział, jak to zrobić; prawdopodobnie technika dokonywania takich transformacji była jedną z rzeczy, których młode wampiry uczyły się podczas przebywania w rodzinnym gnieździe, on zaś nie miał kiedy ani od kogo tego się nauczyć. Szedł więc piaszczystą drogą wciągając badawczo w płuca powietrze. Nie był pewien czy uda mu się rozpoznać wampiry podczas bezpośredniego spotkania, ale miał nadzieję, że drzemie w nim jakiś instynkt, który mu to umożliwi; niewykluczone, że najbardziej pomocny może mu się przy tym okazać zmysł powonienia.

Nie mylił się. Kiedy niespodziewany podmuch wiatru przyniósł ze sobą ten zapach, Clifford M. wiedział już, że jego długoletnie poszukiwania zostały uwieńczone sukcesem. Jedyne zaskoczenie stanowił właśnie sam zapach, a raczej potworny, trudny do wyobrażenia smród, tak niesamowity, że po raz pierwszy w swoim stuletnim życiu Clifford M. doświadczył uczucia mdłości. Był to smród gnijącego mięsa, starego mułu i rozkładu, odchodów i nieczystości, jednym słowem – autentyczny odór zła. Jego ciało przebiegł dreszcz odrazy i strachu; czy rzeczywiście był jednym z n i c h?

Skręcił z drogi i ruszył w kierunku źródła zapachu. Wkrótce zobaczył ich: trzy blade twarze w księżycowym cieniu rzucanym przez stary, kamienny mur. One także go rozpoznały, bowiem nie zaatakowały go ani nie rzuciły się do ucieczki.

Przypisywanie ludzkich uczuć wampirowi jest być może uleganiem skłonności do patetycznego fantazjowania, ale możemy przyjąć, że do tej pory Clifford M. oczuwał jedynie swego rodzaju onieśmielenie i niepewność. Kiedy podszedł bliżej, opanowało go bez reszty niepohamowane obrzydzenie. Zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że patrzy na nie oczami uwarunkowanymi ludzkimi standardami i ideami, i że właściwie powinien oceniać je z innego punktu widzenia, ale po prostu nie mógł. Wampiry były brudne, niesamowicie brudne, oblepione obrzydliwym, wieloletnim osadem. Poszarpane ubrania przesiąknięte były starą, zakrzepłą krwią, blada skóra poznaczona ciemnymi, brudnymi smugami, włosy pozlepiane grudkami ziemi i błota, długie paznokcie zupełnie czarne i zakrzywione niczym szpony.

Pierwszy odezwał się jeden z samców. Clifford M. nie zrozumiał ani słowa; nie przypominało to żadnego z języków, z jakimi miał okazję się zetknąć.

– Nie rozumiem – powiedział. – Mówicie po angielsku?

– Jasne. Ty kto? Czemu nie gadasz po... – kolejne niezrozumiałe słowo.

– Wychowałem się wśród ludzi – odparł Clifford M. – Nigdy nie słyszałem tego języka.

– Gdzie reszta?

– Nie ma żadnej reszty. Jestem sam. Dlatego właśnie chciałem was odnaleźć.

Zapadła cisza. Straszydła spojrzały po sobie, a potem na niego. Przyćmione, otępiałe umysły usiłowały przyswoić coś zupełnie nowego. Wreszcie samiec zapytał:

– Nie ma więcej?

– Nie.

– My też nie wiemy o innych. Długo szukamy, ale nie ma. Chyba już tylko my są.

To był dla niego mocny cios. Dopiero w tej chwili zdał sobie sprawę, jak bardzo zależało mu na odnalezieniu jakiejś żyjącej w ukryciu społeczności i... i samicy, oczywiście, a także na towarzystwie istot takich, jak on sam. Ale te... te...

– Jadłeś? – zapytał samiec.

– Nie. Dzisiaj jeszcze nie.

– To chodź. Oni pójdą na północ, my dwa na południe.

Zafalowały olbrzymie, nietoperze skrzydła i drugi samiec wraz z samicą zniknęli tak, jakby ich nigdy nie było.

– Nie potrafię tego zrobić – powiedział Clifford M. – Nie wiem, jak. Poczekam tutaj. Jadłem wczoraj.

Wrócili, najedzeni, godzinę przed świtem.

– Dziura jest duża, akurat dla nas. Masz swoją?

– Tak – odparł Clifford M. – Chyba już pójdę.

– Chcesz raz, zanim pójdziesz? – zapytała samica, zadzierając pod szyję obrzydliwie brudną, podartą spódnicę.

A więc to było właśnie to: obiekt długoletnich poszukiwań. Spojrzał na jej pokryte warstwą brudu ciało, poczuł jej zapach i nagle kłębiące się w nim od sześćdziesięciu lat pożądanie zamieniło się w gwałtowną odrazę.

– Nie – odpowiedział. – Nie dzisiaj.

Bob LEMAN

Znany jest polskiemu czytelnikowi tylko z jednego, ale za to znakomitego opowiadania „Okno", drukowanego parę lat temu w „Problemach". Oto, co napisał o sobie w liście do naszej redakcji: *Jestem emerytowanym konsultantem firmy zajmującej się produkcją olejów i benzyny. Pisanie jest moim wieloletnim hobby. Pochodzę z Illinois, gdzie też ukończyłem uniwersytet. Podczas drugiej wojny światowej służyłem w Europie jako oficer artylerii. Mam żonę, dwie córki i czworo wnuków, żadne z nich, niestety, nie wykazuje najmniejszego zainteresowania SF.*

Opowiadanie o wampirach nawiązuje do bardzo bogatej w krajach anglosaskich literatury tematu, lecz przede wszystkim jest znakomitym studium samotności, portretem istoty obcej, zagubionej wśród obcych.

L.J.

Szczeknęła coś w tym dziwnym języku; jeden z samców chrząknął, odwrócił się i zniknął w otwierającej się w załomie ściany ciemności, podczas gdy drugi pokrył ją błyskawicznie. Kopulowali przez kilkanaście sekund jak zwierzęta, bez najmniejszego choćby śladu czułości czy emocjonalnego zaangażowania, po czym podnieśli się i poszli w ślady pierwszego samca, nie odzywając się do Clifforda M. ani słowem. On sam odszedł w kierunku swego samochodu.

Następnej nocy wyruszył na polowanie, które udało mu się zakończyć sukcesem jeszcze przed północą, po czym wrócił do kryjówki wampirów, by zastać je siedzące bez ruchu pod zrujnowaną częściowo ścianą. Wczorajszy posiłek miał im starczyć na wiele, wiele dni. Mógł teraz z nimi porozmawiać i dowiedzieć się wszystkiego zarówno o nich, jak i o sobie.

– Jak się nazywacie? – zapytał.

Przez chwilę panowała cisza. Po pewnym czasie odezwała się samica.

– Nazywamy.

– Tak, jak się nazywacie.

Znowu cisza. A potem jeden z samców:

– Nie pamiętam. Nieważne.

I drugi samiec:

– Nieważne.

Clifford M. postanowił spróbować jeszcze raz.

– Ile macie lat?

Milczenie. Wreszcie:

– Dużo.

– Ale jak dużo?

– Nie pamiętam.

– A jaką najdawniejszą rzecz możecie sobie przypomnieć?

Długie, bardzo długie milczenie. Przerwała je samica:

– To dziecko, co telefon go obudził. Musiałam zwiewać.

– Czasem się budzą – dodał jeden z samców.

– Nie pamiętacie nic z tego, co wydarzyło się wcześniej? Kiedy jeszcze nie było telefonów. Na przykład jakiejś wojny, albo kto akurat był prezydentem?

– Chyba nie. Chyba nie bardzo wiem, co chcesz.

Spróbował innego podejścia.

– Od jak dawna tutaj śpicie?

– Niedawno.

– Skąd przyszliście? Dlaczego przenieśliście się akurat w to miejsce?

Nie bardzo potrafili dać sobie radę z jednym, prostym pytaniem, a co dopiero z dwoma. Żadne nie próbowało nawet odpowiedzieć.

– Czy mieszkaliście kiedyś w prawdziwym domu, zamiast w tej dziurze? – ciągnął uparcie. Bez trudu mógł sobie wyobrazić, jak wyglądają pogrążeni w dziennej śpiączce, skuleni w wilgotnej, ciemnej norze.

– Mieliśmy stół z obrusem i naczyniami, i prawdziwymi świecami – odezwała się niespodziewanie samica.

– Mów dalej – zachęcił ją Clifford M.

Ale był to tylko jeden, krótki przebłysk pamięci. Kiedy milczenie przeciągało się, spróbował im pomóc.

– Gdzie jeszcze mieszkaliście?

– W jaskini – odparł samiec.

– Aha. W jaskini – potwierdziła samica.

– Pamiętacie, gdzie to było?

Żadnej odpowiedzi.

– Może było tam w pobliżu jakieś miasto?

– Caseboro – powiedział jeden z samców, jak zwykle, po chwili milczenia. – Chyba Caseboro.

Clifford M. znał to miasteczko; leżało na granicy lasów, w których żył kiedyś jako dzikie dziecko.

– Mieliście kiedyś dzieci?

– Zabili! – krzyknęła przeraźliwie samica. – Zabili je!

– No – powtórzył samiec. – Zabili.

– Kto? Kiedy?

– Eee, spaliśmy. Oni je zabili. Znaleźliśmy. Może jeden uciekł. Nie wiemy. Poszliśmy do nowej dziury.

Cliffordowi M. zaświtało wówczas podejrzenie, że te wstrętne istoty są nie tylko jego pobratymcami, ale całkiem możliwe, że także jego rodzicami. Uświadomił sobie jednocześnie, że wraz z upływem wieków będzie się coraz bardziej do nich upodabniał, aż wreszcie niemal nieśmiertelne ciało przeżyje starzejący się umysł i stanie się taki sam, jak oni, przesypiający dnie w jakiejś wilgotnej norze, nocami polujący na ludzi, a po krwawym posiłku czekający w otępieniu na wschód słońca, które zagoni go z powrotem do kryjówki.

Muszę już iść – rzekł nagle. – Wrócę jutro.

Nikt mu nie odpowiedział.

Około dziesiątej rano Blanche, Hodge i Polder przybyli do ruin Starego Zajazdu, przygotowani do zniszczenia wampirów. Mieli ze sobą łopaty, bosaki, silne latarnie, osiem naostrzonych, drewnianych kołków, najróżniejsze młotki, kilka egzemplarzy Biblii, czosnek, rewolwery i strzelby. Cały ten ekwipunek znajdował się w półciężarówce Hodge'a, który podjechał samochodem aż pod samą ścianę zrujnowanego budynku.

– Gdzie zaczynamy? – zapytał.

– Od wnętrza – odpowiedziała Blanche.

– Tylko ostrożnie, żeby nie wpaść przez strop do piwnicy – poradził Polder.

Weszli przez szczelinę w murze. W środku znajdowało się rumowisko połamanych belek stropowych, gruzu i przegniłych desek, porośnięte splątaną gęstwiną najróżniejszych roślin. Tu i ówdzie błyszczały kałuże brązowej wody; w powietrzu unosiło się brzęczenie much.

– Dobry Boże – jęknął Polder. – Od czego tu zacząć?

– Chyba gdzieś przy ścianie – powiedziała z namysłem Blanche. – Muszą być tam, gdzie nigdy nie dochodzi słońce. Rozejrzyjcie się, czy nie ma tam jakiegoś otworu. Tylko ostrożnie!

Po pięciu minutach Hodge znalazł to, czego szukali: mniej więcej dwustopowej średnicy dziurę w ziemi, przykrytą starannie fragmentami desek i gałęziami.

– I co teraz?

– Musimy oczyścić teren, żeby mieć swobodny dostęp.

Zabrali się do pracy.

– Powinno wystarczyć – powiedział Hodge po pewnym czasie. – Dajcie mi latarkę.

Zaświecił w głąb ciemnego tunelu i momentalnie odskoczył jak oparzony.

– Jeden jest tuż przy wyjściu – wyszeptał. – Najwyżej jard ode mnie.

– No to wyciągnij go.

– Chyba nie rękami. Dajcie mi bosak; leży głową do wyjścia, więc powinno mi się udać zahaczyć go za ramię. Blanche, potrzymaj latarkę.

Ciało bez żadnych kłopotów dało się wyciągnąć z tunelu i przetoczyło się kilka stóp po oczyszczonym z roślinności klepisku.

– Clifford M.! – zawołała Blanche. – To Clifford M.!

– Po jego liście należało się tego spodziewać – zauważył Hodge. – Napisał, że są cztery, nie trzy. Właściwie to...

W tym momencie z ziejącej u ich stóp jamy buchnął potworny smród; Hodge przerwał w pół zdania, bowiem chwyciły go torsje, podobnie jak Poldera. Blanche z racji swego zawodu była przyzwyczajona do najróżniejszych zapachów, ale nawet ona zbladła jak ściana.

– Boże! – wystękał z trudem Hodge. – W życiu nie czułem czegoś takiego!

– To wampiry – powiedziała Blanche. – Bierzemy się do roboty. Im wcześniej... Mój Boże, spójrzcie na niego!

W blasku słońca dłonie i twarz Clifforda M. błyskawicznie pokryły się puchnącymi szybko bąblami.

– Przykryjcie go – poleciła Blanche. – I tak go zaraz... zabijemy. Możemy mu tego oszczędzić.

Polder przyniósł z samochodu brezentową płachtę i nakrył nią leżące na ziemi ciało.

– Jak dobierzemy się do pozostałych? – zapytał.

– Będziemy musieli kopać – powiedział Hodge – chyba że ktoś chce wczołgać się do środka tym tunelem.

– Kopmy więc.

Kiedy wreszcie odsłonili całą kryjówkę, dochodziła już

czwarta po południu. Upał był ogromny, a smród wręcz nie do zniesienia; nastroje trójki poszukiwaczy trudno było nazwać radosnymi. Jako pierwsza przebiła strop niewielkiej komory łopata Poldera – we wnętrzu, zwinięte w brudną, ciasną kulę, leżały trzy wampiry. W swojej kryjówce znajdowały się poza zasięgiem promieni słońca, ale gdy tylko wyciągnęli je na powierzchnię, ich skóra pokryła się obrzydliwymi bąblami.

– Frank, przynieś kołki – rzucił ochrypłym ze zmęczenia głosem Hodge. – Ja wezmę młotki.

Bez słowa każdy wziął do jednej ręki naostrzony, drewniany kołek, a do drugiej młotek. Ułożyli cztery ciała na plecach, mniej więcej jard jedno od drugiego. Blanche uklękła nad samicą, mężczyźni nad samcami, przyłożyli im kołki do piersi i uderzyli jednocześnie, jakby na umówiony sygnał.

Z ust wampirów wydobył się ohydny, przeraźliwy skrzek, tak nieludzki, że w jednej chwili zniknęły wszystkie opory i wyrzuty sumienia, jakie jeszcze mogli mieć. Uderzali raz za razem, aż wreszcie ciała zostały przeszyte na wylot, po czym wstali i cofnęli się o kilka jardów, by przyjrzeć się temu, co uczynili i co zaraz potem nastąpiło.

Był to błyskawiczny rozkład, postępujący dokładnie według wszystkich opisów spotykanych w specjalistycznej literaturze: najpierw czerwone, wilgotne rozkwitnięcie ciała, następnie wysuszenie, skurczenie, odpadnięcie od kości, a wreszcie zmurszenie i rozpadnięcie się w proch samych szkieletów. Wystarczyło niewiele minut, by z trzech ciał pozostało jedynie kilka brudnych, śmierdzących szmat.

Polder i Hodge zgarnęli je łopatami na jedno miejsce i przysypali warstwą ziemi. Tymczasem Blanche stanęła nad ciałem Clifforda M., spoglądając w zamyśleniu na przykryty brezentową płachtą kształt.

– Czy możemy być zupełnie pewni? – zapytała, gdy dwaj mężczyźni zbliżyli się do niej.

Hodge uniósł nieco płachtę; nawet ta niewielka ilość światła, jaka przesączała się przez materiał poczyniła na twarzy Clifforda M. olbrzymie spustoszenia. Przegniłe mięso wyschło i stwardniało, miejscami odpadły całe kawały skóry, odsłaniając puchnące, czerwone bąble. Wydawało się, że patrzą na kawał zmurszałej, popękanej ze starości kory.

– A jak myślisz? – zwrócił się do niej Hodge.

– Że chyba tak – odpowiedziała.

Kiedy drewniany kołek wbił się w jego serce, Clifford M. wydał ten sam, okropny skrzek, ale jego ciało nie rozpadło się w proch, jak pozostałe.

– Czyżbyśmy się pomylili? – wyszeptał Polder. – Czyżby jednak był... był...

– Człowiekiem? – dokończyła Blanche. – Na pewno nie. Zobacz, co z jego twarzą zrobiło słońce. Tamci rozpadli się w proch po prostu dlatego, że byli bardzo starzy. Ten musiał być znacznie młodszy. Może nawet tak młody, na jakiego wyglądał. Ale z całą pewnością był jednym z nich, to nie ulega żadnej wątpliwości. Nie rozumiem tylko, dlaczego to zrobił... Można powiedzieć, że popełnił samobójstwo. I dlaczego ubrał się przedtem w smoking. Cóż, myślę, że możemy go już pochować.

Dwa dni później Robertson przyniósł zaadresowany do dr Tolliver list. Pozostaje on do dzisiaj w jej posiadaniu, zaś piszący te słowa miał okazję zobaczyć go na własne oczy i otrzymał pozwolenie na przytoczenie obszernych jego fragmentów. Waga tego dokumentu polega na tym, że jest to jedyne autentyczne, osobiste wyznanie wampira, o jakim nam wiadomo. Clifford M. nie był, rzecz jasna, zwyczajnym wampirem; gdybyśmy dysponowali podobnymi zwierzeniami typowego przedstawiciela tego gatunku, wartość ich byłaby wręcz nieoszacowana.

Jeszcze tego samego wieczoru Blanche Tolliver przeczytała list Polderowi i Hodge'owi. Niestety, niewiele możemy się z niego dowiedzieć o codziennym (czy raczej: conocnym) życiu Clifforda M. czy też o historii jego życia, którą, co mam nadzieję jest już w tej chwili jasne, musieliśmy odtwarzać krok po kroku na podstawie najróżniejszych źródeł i która wciąż jeszcze zawiera zdecydowanie zbyt dużo zagadkowych, białych plam. List ten jednak jest niezmiernie ważny dlatego, że wyjaśnia nam, co skłoniło Clifforda M., według wszelkiego prawdopodobieństwa ostatniego wampira w Stanach Zjednoczonych, do zaaranżowania swojej własnej śmierci.

A oto, co pisze na ten temat:

Spotkanie, do którego dążyłem przez tak wiele lat, spotkanie, w wyniku którego, jak wierzyłem, zyskam zarówno wiedzę na temat mojej osoby, jak i towarzystwo podobnych mi stworzeń – udowodniło jedynie w sposób nie pozostawiający żadnej wątpliwości, że jestem zupełnie sam, że – przynajmniej pod względem psychicznym – nie jestem ani wampirem, ani człowiekiem, a tym samym nie mam żadnej nadziei na to, by kiedykolwiek i gdziekolwiek znaleźć spokój i ukojenie. Urodziłem się jako istota zupełnie różna od człowieka i taką też pozostałem, ale wychowano mnie jako człowieka i w moich myślach i sposobie postrzegania świata jestem właśnie człowiekiem. Tragedia moja polega na tym, że przestając być jednym, nie stałem się jednocześnie drugim.

Chciałbym być człowiekiem. Dopóki nie spotkałem tych żałosnych istot sądziłem, że moi pobratymcy są wszyscy dystyngowanymi, szacownymi ludźmi o pewnych niezwykłych, nocnych zwyczajach i dość szczególnej diecie. Okazało się to jednak nieprawdą. Spotkałem potwory i fakt ten uświadomił mi z całą mocą moje absolutne wyalienowanie. Nie potrafiłbym żyć wśród tych stworzeń: wolałbym raczej przyłączyć się do stada hien. Mimo to wiem, że jestem jednym z nich i że kiedyś stałbym się dokładnie taki sam, jak oni.

Postanowiłem więc zakończyć to tutaj i teraz. Jeżeli czytacie te słowa, znaczy to, że stało się to, co miało się stać i że uwolniliście świat od niebezpiecznych, odrażających pasożytów. Myślę o trojgu moich... kolegów, ja bowiem nie jestem jeszcze niebezpieczny, ani mam nadzieję, odrażający. Z pewnością jednak, prędzej czy później, przyszłaby i moja kolej. Za jakiś czas – może za dwieście, a może za trzysta lat – umysł zacząłby odmawiać mi posłuszeństwa, zaś ciało żyłoby dalej, z każdym rokiem stając się coraz bardziej wstrętnym i obrzydliwym.

Zdecydowanie wolę ten koniec, jaki sam sobie przygotowałem. Założę najlepszy strój wizytowy (wspomnienie po latach studenckich, kiedy mogłem jeszcze odwiedzać krawca, by ten wziął dokładną miarę), pójdę do Starego Zajazdu i powiem moim pobratymcom, że postanowiłem przyłączyć się do nich. Powiedzą mi z całą pewnością, że nie ma już dla mnie miejsca w ich kryjówce, ja zaś odpowiem, że prześpię tę noc w prowadzącym do niej tunelu. Jeśli prawidłowo Panią oceniłem, dr Tolliver, a także Pani współpracowników, to jeszcze przed zachodem słońca powinniście uwolnić mnie od jakichkolwiek kłopotów mieszkaniowych.

Zdziwi was zapewne mój strój. Szczerze mówiąc, ja także nie bardzo wiem, co o tym myśleć. Przypuszczam, iż jest to ostatnia próba udowodnienia, że chociaż bez wątpienia jestem jednym z tych odrażających stworzeń, to jednocześnie jestem jednak inny – i lepszy. Bez wątpienia jest również coś zabawnego w myśli, że gdy poczuję wbijający mi się w serce drewniany kołek, będę ubrany dokładnie tak, jak sam baron Dracula. Chociaż, chyba analiza ta nie ma żadnego sensu. Nigdy jeszcze nie słyszałem o wampirze, który potrafiłby ocenić i docenić zabawność jakiejkolwiek sytuacji; znacznie bardziej prawdopodobne jest raczej to, że po prostu zaczyna mnie już zawodzić mój umysł.

Nie mogę być człowiekiem. Nie chcę być tym, czym jestem.

Z poważaniem
Clifford M.

Przełożył **Arkadiusz Nakoniecznik**

Jaroslav Petr

Bezpośrednia transmisja

(*Přímy Přenos*)

Lucas siedział w miękkim fotelu i z uwagą wpatrywał się w przestrzenny ekran holowizji. Lubił sobie wmawiać, że w odróżnieniu od innych jemu chodzi wyłącznie o profesjonalne zainteresowanie, ale teraz musiał przyznać, że wciągają go te bezpośrednie transmisje walk w stylu wolnym.

– Jestem po prostu stary zawodnik – zarechotał i golnął długi łyk z butli, którą wyciągnął ze szczeliny w obiciu fotela. Alkohol przyjemnie szczypał w podniebienie i równie przyjemnie rozgrzewał żołądek. Zakręcił butelkę i ukrył ją z powrotem w fotelu. Jak każdy pijak potrafił znajdować nieprawdopodobne schowki na alkohol, a w wymyślaniu powodów do picia był jeszcze bardziej odkrywczy. Teraz dopiero nadejdzie kulminacyjny moment transmisji. Strach zniknął, a zamiast niego pojawiła się ciekawość i oczekiwanie.

Na razie działo się niewiele. Obaj rywale w maskujących pelerynach przeczesywali górską łąkę, którą los wybrał jako miejsce obecnej walki.

– Też by mogli znaleźć coś bardziej egzotycznego – westchnął Lucas. – Jakieś rafy koralowe Morza Czerwonego, oazy Pustyni Libijskiej... po prostu coś ekstra. Też mi coś. Górska łąka. Przecież to już było chyba w finale Srebrnego Pucharu w siedemnastym roku. Szmira dla bab. Krew tytanicznych bohaterów tryskająca na kwiaty alpejskich szarotek. Tfu, co za wstrętny kicz!

Jak wszyscy pijacy Lukas lubił rozmawiać sam ze sobą, a jeszcze bardziej lubił siebie słuchać. Wymacał znów ręką obłe, gładkie szkło butelki.

Nagle na ekranie mignął czerwony cień. Bezkształtna, rozmazana czerwona plama. Jeden z zawodników odrzucił maskującą pelerynę i ruszył do miejsca, w którym spodziewał się znaleźć przeciwnika.

Lukas nie umoczywszy ust odłożył butelkę. Teraz już nie powinien mu ujść ani jeden ruch na ekranie.

– I koniec picia – krzyknął, choć w tej samej chwili uświadomił sobie, że nie jest w stanie spełnić własnego rozkazu.

Marzył, aby walka nie trwała długo. Nie potrafił już bowiem zapamiętać wszystkich szczegółów godzinnej bitwy. Ostatnio dziennikarze kilkakrotnie przyłapali go na tym w wywiadach, a Mareshell o mało nie pękł ze wściekłości. Wysłał swoich goryli, żeby dokładnie przetrząsnęli norę Lukasa i zniszczyli każdą napotkaną butelkę. To była dobra robota. Znaleźli ich siedemnaście. Ale jednak nie wszystkie.

Zapaśnik w czerwonym stroju, pod którym rysowały się potężne muskuły, na klęczkach wściekle przeszukiwał zarośla. Odsłonił się i zgodnie z regułami gry już nie miał prawa się zamaskować. Rywal był gdzieś niedaleko – stale jeszcze niewidzialny. Czerwony olbrzym stanął w pogotowiu. Pochylone plecy, głowa ukryta w ramionach. Nim przeciwnik zaatakuje, musi zrzucić maskującą pelerynę. To była teraz jedyna szansa dla czerwonego.

Kamera pokazała zbliżenie napiętej twarzy zapaśnika i Lukas zobaczył swe własne odbicie. Jakże mógł zapomnieć, że wylosował czerwony kolor. Przecież tu chodzi o jego głowę. Szybko sięgnął po butelkę i łyknął potężny haust. Wierzył. Musiał wierzyć, że ten drugi Lukas, jego bliźniak-robot, da sobie radę.

– Będzie dobrze – pocieszał się głośno. – Już nie raz byliśmy w gorszej bryndzy... Żeby mu tylko za mocno nie przydymał.

Pomasował sobie szczękę, którą po poprzedniej walce złamali mu goryle Mareshella. Wszystko zgodnie z umową między Lukasem a jego sponsorem. Zawarli ją już dość dawno, przed wielu laty. Lukas był wtedy u szczytu sławy, ale miał przeczucie, że długo się nie utrzyma. To była kusząca propozycja.

– Ile wtedy było gadania – prychnął wściekle Lukas. – „Mam dla pana cybernetycznego bliźniaka, panie Lukas". Wtedy byłem jeszcze dla niego panem. „Pańska sława w połączeniu z naszym robotem sprawią, że będziemy nie do pokonania". I teraz to ich monstrum pod moim nazwiskiem rozwala czaszki głupców, którzy ośmielą się stanąć do walki. Pod moim nazwiskiem! – ryknął i uderzył się pięścią w klatkę piersiową.

Nie wspomniał o tym, że wydawało mu się to wtedy bardzo przyjemne i opłacalne, żeby przesiedzieć walkę przy holowizji, a potem zjawić się na konferencji prasowej.

– Ale gadać z reporterami, żeby dzięki temu interes pana Mareshella lepiej się kręcił, to już ja muszę. Ta ich małpa potrafi się najwyżej debilnie uśmiechać do kamery i bełkotać: „Dziękuję, że stawiacie na Mareshella". A Mareshell jeszcze każe mnie za to prać po pysku. Tak jak z tą szczęką – westchnął Lukas. – Przecież spokojnie można ją było odpowiednio ucharakteryzować. Ale on nie. Jak złamana szczęka, to ma być złamana. Że niby trzeba się ściśle trzymać umowy.

Czasami Lukasowi zdawało się, że największą satysfakcję sprawia Mareshellowi nie zwycięstwo Lukasa czy pieniądze, jakie dzięki temu zdobywa, ale właśnie ta możliwość panowania nad zapaśnikiem, sterowania, deptania, a zwłaszcza złamania mu czasem jakiejś kości. Lukas spojrzał na gablotkę z medalami i pucharami. Nie dostrzegał jednak ich blasku. Wpatrywał się w odbicie swojej pomarszczonej, pokrytej bliznami twarzy.

Niewiele brakowało, a nie zauważyłby ataku niebieskiego. Był błyskawiczny, nieludzki. Nadludzki. Można było oczekiwać, że z czasem także inne firmy wprowadzą roboty, pomyślał.

Czerwony próbował wytrzymać napór niebieskiego, ale wyglądał przy nim jak nowicjusz. Obaj wczepili się w siebie i w dzikich konwulsjach tarzali się po łące. Wyrwane kępki trawy, ziemia i kamienie chwilami niemal całkowicie przysłaniały widok walczących. Lukas zorientował się jednak, że czerwony stara się wymanewrować przeciwnika do miejsca, w którym ciemnozielony mech zdradzał torfowisko. To była szansa. Niedostrzegalnie, wolniutko sunęli w kierunku bagna. Lecz nagle stało się coś zupełnie nieoczekiwanego; coś, czego jeszcze nikt nigdy nie widział. Lukas nie zdołał już tego pojąć. Czerwony raptownie wyfrunął w powietrze i spadł na ostre skały. Jego ciało opadło bezwładnie. Zanim ktoś zdążył się zorientować, niebieski już stał nad swym rywalem. Ten daremnie usiłował dojść do siebie. Niebieski uniósł w górę ogromny głaz. Mięśnie na karku i ramionach napięły mu się do granic wytrzymałości. Lukas wciąż jeszcze nie wierzył własnym oczom. Niebieski zbliżył się do czerwonego. A potem... Głaz spadł na hełm leżącego. Ten rozprysnął się, jak skorupka orzecha. W środku trzepotało jeszcze coś, czego już przytomny kamerzysta nie pokazał.

– To jest przecież... To jest... – Lukas z trudem chwytał oddech. Czuł się jak dziki zwierz w za ciasnej klatce – złamanie regulaminu... To się musi skończyć przed sądem... zniszczyli... zabili go!

Ogarnęła go panika. W tym momencie przestał być niezastąpiony. Nie był też niepotrzebny, lecz... niebezpieczny. Samo jego istnienie stanowiło dla pana Mareshella śmiertelne zagrożenie. A umowa jest całkiem jasna. „... jego stan musi być identyczny, jak stan robota..."

– Zaraz, zaraz, chwileczkę – wycedził przez zęby i stanął na chwiejnych nogach.

– Zobaczycie, jak walczy się z zawodowcem!

Weszli. Było ich trzech. Tylko trzech. Uśmiechnął się. Z tym nie będzie problemu.

Po pierwszym ciosie w głowę zrozumiał, że już od dawna nie ma tej formy, jakiej by potrzebował.

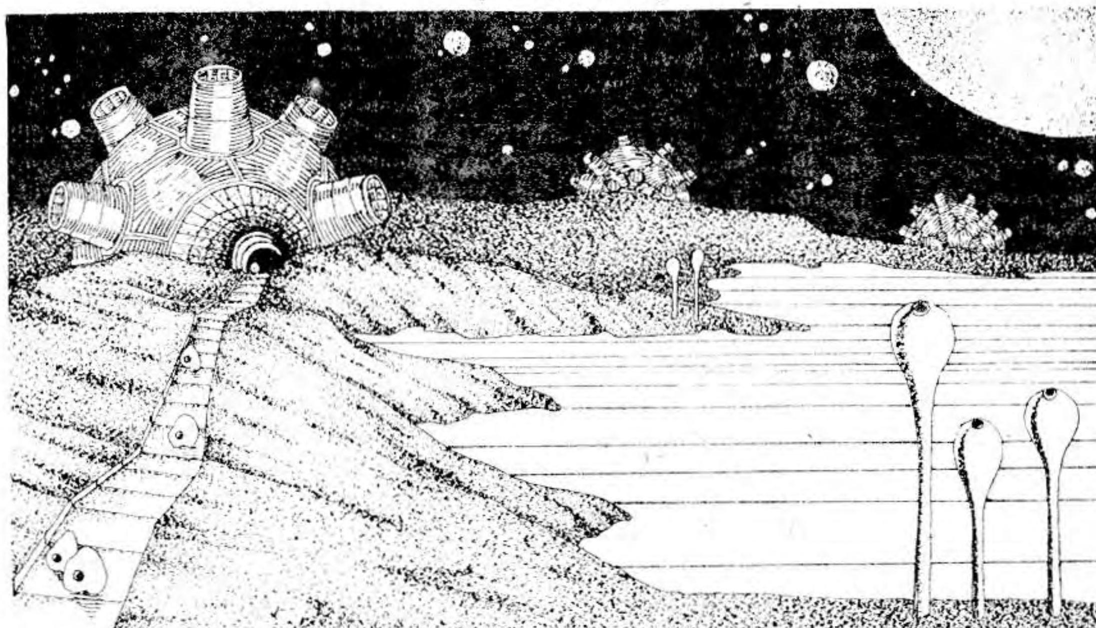
Przełożył **Andrzej Sławomir Jagodziński**

– My, kobiety, pragniemy żyć moralnie i przyzwoicie, wysiadując w zagrodzie jaja, póki nie nadejdzie czas małżeństwa. A potem dwadzieścia pięć cudownych dni. Czy można żądać czegoś więcej? Te potwory chcą zniszczyć nasz obyczaj. Chcą, żebyśmy byli równie potworni jak oni.

Robert Sheckley

Potwory

(Monsters)



Kordowir i Hum stali na skalistym szczycie góry i obserwowali z dużą przyjemnością nowe zjawisko. Było to niewątpliwie najnowsze zjawisko, jakie zdarzyło się od pewnego czasu.

– Sądząc z tego, jak błyszczy w słońcu, powiedziałbym, że to jest z metalu – zauważył Hum.

– Zgadzam się, ale jak się to trzyma w powietrzu? – zapytał Kordowir.

Nie odrywali wzroku od doliny, w której działa się ta nowa rzecz. Spiczasty obiekt unosił się nad ziemią. Z jego dolnego końca wypływała substancja przypominająca ogień.

– Balansuje na kolumnie ognia – powiedział Hum. – To chyba oczywiste, nawet dla twoich starych oczu.

Kordowir uniósł się wyżej na grubym ogonie, żeby uzyskać lepszy widok. Obiekt opadł na ziemię i ogień zgasł!

– Zejdziemy, żeby się temu przyjrzeć z bliska? – spytał Hum.

– Dobrze. Myślę, że mamy dość czasu... Zaczekaj! Jaki to dziś dzień?

Hum policzył w milczeniu.

– Piąty dzień Luggatu – odpowiedział.

– Przekleństwo! – jęknął Kordowir. – Muszę iść do domu i zabić żonę.

– Do zachodu jest jeszcze kilka godzin – uspokoił go Hum. – Zdążysz zrobić i jedno, i drugie.

Kordowir nie był taki pewien.

– Nie chciałbym się spóźnić – powiedział.

– Wiesz, jaki jestem szybki. Jak się zrobi późno, pobiegnę przodem i ja ci ją zabiję – zaoferował się Hum. – Co ty na to?

– Jesteś bardzo miły. – Kordowir podziękował młodszemu koledze i razem zaczęli ześlizgiwać się ze stromego zbocza.

Na dole obaj mężczyźni zatrzymali się przed metalową rzeczą i podnieśli się na ogonach.

– To jest większe niż myślałem – odezwał się Kordowir mierząc wzrokiem metalowy przedmiot. Ocenił, że jest nieco dłuższy niż ich wioska i szeroki na pół wioski. Przeczołgali się dokoła rzeczy stwierdzając, że metal był obrobiony, prawdopodobnie ludzkimi mackami.

W oddali zaszło małe słońce.

– Myślę, że powinniśmy wracać – powiedział Kordowir zauważywszy brak światła.

– Ja mam jeszcze dużo czasu – Hum z dumą napiął mięśnie.

– Tak, ale mężczyzna lubi zabić swoją żonę sam.

– Jak chcesz.

Szybkim tempem ruszyli do wsi.

W domu żona Kordowira kończyła kolację. Zgodnie z wymaganiami etykiety była zwrócona tyłem do wejścia. Kordowir zabił ją jednym potężnym uderzeniem ogona, wywlókł ciało na zewnątrz i zasiadł do posiłku.

Po jedzeniu i medytacji poszedł na Zgromadzenie. Hum z niecierpliwością młodego wieku już tam był, opowiadając o metalowym przedmiocie. Pewnie zrezygnował z kolacji, pomyślał Kordowir lekko zbrzydzony.

Kiedy młody człowiek powiedział swoje, Kordowir wyłożył własne obserwacje. Jedyną rzeczą, jaką dodał do relacji Huma, była myśl, że metalowy przedmiot może zawierać istoty rozumne.

– Dlaczego tak sądzisz? – spytał Miszil, inny członek starszyzny.

– Z powodu ognia, który wychodził z przedmiotu, kiedy opadał, a przestał wychodzić, kiedy przedmiot stanął na ziemi. Domyślam się, że wyłączyła go jakaś istota.

– Niekoniecznie – przeciwstawił mu się Miszil. Dyskusja przeciągnęła się do późna w nocy. Potem zebrani się rozeszli, zakopali zamordowane żony i poszli spać.

Leżąc w ciemności Kordowir stwierdził, że nie wie jeszcze, co sądzić o tej nowej rzeczy. Powiedzmy, że zawiera ona istoty inteligentne, ale czy moralne? Czy mają zdolność rozróżniania dobra i zła? Kordowir wątpił w to i z tą myślą zasnął.

Następnego ranka wszyscy mężczyźni z wioski udali się do metalowego przedmiotu. Było to jak najbardziej właściwe, ponieważ zadaniem mężczyzny jest badanie rzeczy nowych i ograniczanie liczebności kobiet. Utworzyli krąg wokół przedmiotu i dyskutowali nad tym, co może być w środku.

– Jestem pewien, że to będą ludzie – odezwał się Esktel, starszy brat Huma. Kordowir potrząsnął całym ciałem na znak niezgody.

– Raczej jakieś potwory – powiedział. – Jeżeli wziąć pod uwagę...

– Niekoniecznie – przerwał mu Esktel. – Weź pod uwagę logikę budowy naszego ciała. Jedno centralne oko...

– Ale w wielkiej przestrzeni zewnętrznej może istnieć wiele obcych ras, w większości różniących się od ludzi. W nieskończoności...

– Jednak logika naszej...

– Jak powiedziałem – ciągnął Kordowir – jest nieskończenie mała szansa, że będą podobni do nas. Weźmy, na przykład, ich pojazd. Czy my zbudowalibyśmy...

– Jednak stojąc na gruncie logiki – mówił Esktel – łatwo się przekonać...

Przerwał Kordowirowi po raz trzeci. Ten jednym ruchem ogona rzucił Esktela o metalowy przedmiot. Esktel upadł na ziemię martwy.

– Rzeczywiście mój brat często zachowywał się jak cham – zauważył Hum. – Na czym stanąłeś?

Ale Kordowirowi znów przerwano. Kawał metalu osadzony w większym kawale metalu zaskrzypiał i przesunął się, a na jego miejscu stało stworzenie.

Kordowir natychmiast upewnił się, że miał rację. To, co wypełzło z otworu, miało dwa ogony. Było pokryte częściowo skórą, częściowo metalem. A jego kolor! Kordowir aż się otrząsnął.

To coś miało kolor wilgotnego, obdartego ze skóry ciała.

Mieszkańcy wioski cofnęli się, czekając na to, co przybysz zrobi. Początkowo nie robił nic. Stał na metalowej powierzchni i baniaste zwieńczenie jego ciała obracało się w lewo i w prawo. Nie towarzyszyły temu jednak żadne ruchy ciała, które mogłyby nadać temu gestowi jakiś sens. Wreszcie istota podniosła obie macki i wydała jakieś dźwięki.

– Czy myślisz, że to próbuje się porozumieć? – spytał Miszil cicho.

W dziurze pojawiły się trzy dalsze istoty z metalowymi kijami w mackach. Wydawały do siebie dźwięki.

– Stanowczo nie są humanoidalne – stwierdził Kordowir. – Następne pytanie to, czy są istotami moralnymi. – Jedna z istot spuściła się po metalowej powierzchni i stanęła na ziemi. Pozostałe skierowały swoje metalowe kije w dół. Wyglądało to na jakąś ceremonię religijną.

– Czy istota tak odrażająca może mieć poczucie moralności? – spytał Kordowir, a jego skórą wstrząsnął dreszcz obrzydzenia. Z bliska stworzenia były tak paskudne, że przekraczało to ludzkie wyobrażenie. Te banie na szczycie ich ciał mogą pełnić rolę głów, uznał Kordowir, choć nie przypominało to żadnej głowy, jaką widział. Przez środek przedniej części głowy, zamiast gładkiej, pełnej charakteru powierzchni, przebiegało podłużne wzniesienie. Po jego obu stronach były okrągłe otwory, a dalej za nimi dwie narośle. W dolnej zaś połowie głowy, jeżeli to była głowa, biegło czerwonawe poprzeczne rozcięcie. Kordowir przypuszczał, że natężywszy wyobraźnię można to uznać za usta.

Ale to jeszcze nie wszystko. Istoty miały taką budowę, zauważył Kordowir, że ujawniała się struktura kostna. Kiedy poruszały mackami, nie był to wdzięczny, płynny gest istoty ludzkiej, lecz raczej jakieś kanciaste pozy konarów drzew.

– Wielki Boże – jęknął Gilrik, mężczyzna w wieku pośrednim. – Należałoby ich pozabijać, żeby skrócić ich męki.

Pozostali mężczyźni podzielali chyba jego uczucia, bo wszyscy posunęli się do przodu.

– Zaczekajcie! – krzyknął jeden z młodzików. – Spróbujmy się z nimi porozumieć, jeżeli to możliwe! Może jednak są istotami moralnymi. Przestrzeń zewnętrzna jest ogromna i wszystko jest w niej możliwe.

Kordowir opowiedział się za natychmiastową likwidacją, ale i tak mieszkańcy wioski zatrzymali się, żeby sprawę przedyskutować. Tymczasem Hum z właściwą mu brawurą podczołgał się do istoty stojącej na ziemi.

– Cześć – powiedział Hum.

Istota coś odpowiedziała.

– Nie rozumiem – stwierdził Hum i zaczął się czołgać z powrotem, ale istota zamachała swoimi sztywnymi mackami, jeżeli to były macki, i wskazała na jedno ze słońc wydając dźwięki.

– Ciepło, prawda? – potwierdził Hum wesoło.

Potem istota znów wydając dźwięki wskazała na ziemię.

– Zbiory mieliśmy w tym roku nie najlepsze – rzucił Hum niezobowiązująco.

Potem istota wskazała na siebie i zabulgotała.

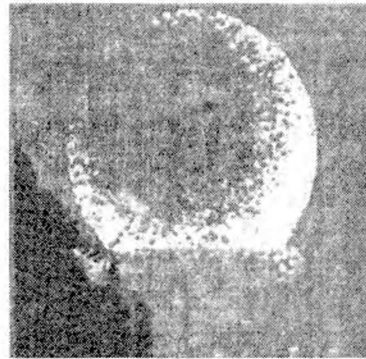
– Zgadzam się – powiedział Hum. – Jesteś brzydki jak grzech.

Potem ludzie poczuli głód i odczołgali się do wioski. Tylko Hum został słuchając dźwięków, jakie do niego wydawały istoty. Kordowir czekał na niego z niepokojem.

– Wiesz co? – powiedział Hum po powrocie. – Myślę, że oni chcą się nauczyć naszego języka. Albo chcą mnie nauczyć swojego.



...Przez lata pracy rysując, malując, kładąc plamy czarne i kolorowe przyzwyczajamy się do możliwości ręki. Sposoby przekształcania tak zakodowanego obrazu wydają się być wielce ograniczone. I dopiero komputer sprawia, że możemy dokonać niewielkiego, aczkolwiek istotnego dla każdego z nas postępu w procesie rozwoju budowy rysunku...



NACIŚNIJ

ENTER



– Nie rób tego! – zawołał Kordowir dostrzegając mglisty zarys wielkiego zła.

– Myślę, że jednak to zrobię – mruknął Hum. Razem wspięli się po zboczu do wsi.

Tego popołudnia Kordowir udał się do zagrody z nadliczbowymi kobietami i formalnie spytał młodej kobiety, czy zechce być panią jego domu przez dwadzieścia pięć dni. Oczywiście zgodziła się z wdzięcznością.

W drodze powrotnej Kordowir spotkał Huma, również wybierającego się do zagrody.

– Właśnie zabiłem żonę – wyjaśnił Hum, niepotrzebnie, bo w przeciwnym razie po co szedłby do magazynu zapasowych kobiet?

– Czy wybierasz się jutro oglądać te istoty? – spytał Kordowir.

– Chyba tak – odpowiedział Hum. – Jeżeli nie wydarzy się nic nowszego.

– Musimy się dowiedzieć, czy to są istoty moralne czy potwory.

– Słusznie! – zgodził się Hum i poczołgał się swoją drogą.

Wieczorem, po kolacji odbywało się Zgromadzenie. Wszyscy mieszkańcy wsi byli zgodni, że przybysze nie są humanoidami. Kordowir ostro bronił tezy, że sam ich wygląd wyklucza wszelką myśl o człowieczeństwie. Coś tak obrzydliwego nie może mieć żadnych zasad moralnych, poczucia dobra i zła, a przede wszystkim, pojęcia prawdy.

Młodzi ludzie nie zgadzali się z nim, może dlatego, że od dawna nie wydarzyło się nic nowego. Wskazywali, że metalowy przedmiot był niewątpliwie dziełem inteligencji. Inteligencja automatycznie zakłada zdolność dostrzegania różnic, także między dobrem a złem.

Rozwinęła się smakowita dyskusja. Olgolel przeciwstawił się Arastowi i został przez niego zabity. Mawrt w przystępie gniewu nietypowym dla tak łagodnego zwykle młodzieńca zabił trzech braci Holianów i sam z kolei został zabity przez Huma, który też się zaperzył. Słychać było, że nawet nadliczbowe kobiety kłócą się w swojej zagrodzie na końcu wsi.

Zmęczeni i szczęśliwi, mieszkańcy wioski udali się na spoczynek.

Dyskusje nie wygasały przez następne kilka tygodni, choć poza tym życie toczyło się jak zwykle.

Kobiety wychodziły rankiem, zbierały żywność, przygotowywały ją do spożycia i składały jaja. Jaja odnoszono nadliczbowym kobietom do wysiadywania. Jak zwykle wykluwało się około ośmiu kobiet na jednego mężczyznę. W dwudziestym piątym dniu małżeństwa, albo nieco wcześniej, mężczyzna zabijał żonę i brał następną.

Mężczyźni schodzili w dolinę do statku słuchać jak Hum uczy się języka przybyszów. Potem, kiedy to się stało nudne, wrócili do zwyczajowych wędrówek po górach i lasach w poszukiwaniu czegoś nowego.

Przybysze nie oddalali się od swego statku, wychodząc na zewnątrz tylko, kiedy przychodził Hum.

Po dwudziestu czterech dniach od pojawienia się przybyszów Hum oświadczył, że potrafi się z nimi jako tako porozumiewać.

– Mówią, że przybyli z daleka – powiedział Hum tego wieczoru w wiosce. – Mówią, że są dwupłciowi, tak jak i my, i że są ludźmi, jak i my. Mówią, że są jakieś powody ich odmiennego wyglądu, ale tej części nie zrozumiałem.

– Jeżeli uznamy ich za ludzi – powiedział Miszil – to będzie znaczyć, że wszystko, co mówią, jest prawdą.

Pozostali mieszkańcy wsi zatrzęśli się na znak zgody.

– Mówią, że nie chcą naruszać naszego życia, ale bardzo chcieliby je poznać. Chcą przyjść do wioski i patrzeć na nas.

– Nie widzę powodu, dlaczego mielibyśmy im nie pozwolić – odezwał się jeden z młodszych mężczyzn.

– Nie! – krzyknął Kordowir. – To jest igranie ze złem. Te potwory są zdradliwe. Może nawet są zdolne do mówienia... nieprawdy. – Wielu starszych potaknęło, ale przyparty do muru Kordowir nie przedstawił żadnego dowodu na poparcie swoich potwornych oskarżeń.

– Przecież – wskazał Sil – z faktu, że wyglądają jak potwory nie można wnioskować, że również myślą jak potwory.

– Można – upierał się Kordowir, ale został przegłosowany.

Hum ciągnął dalej.

– Zaoferowali mi, czy też nam, tego nie jestem pewien, różne metalowe przedmioty, które, jak twierdzili, mogą robić różne rzeczy. Nie zareagowałem na to naruszenie etykiety, gdyż uznałem, że winna jest ich ignorancja.

Kordowir skinął głową. Młodzieniec się rozwijał. Wreszcie zaczynał dawać dowody, że wie co to dobre maniery.

– Chcą przyjść do wsi jutro.

– Nie! – krzyknął Kordowir, ale znów go przegłosowano.

– Nawiasem mówiąc – powiedział Hum na zakończenie – jest wśród nich kilka kobiet. Te z bardzo czerwonymi ustami to kobiety. Ciekawe będzie popatrzyć, jak je zabijają. Jutro mija dwadzieścia pięć dni od ich przybycia.

Następnego dnia istoty przybyły do wioski, wspinając się powoli i z wysiłkiem po skałach. Mieszkańcy mogli zaobserwować niezwykłą kruchość ich kończyn i przerażający brak zręczności.

– Za grosz wdzięku – mruczał Kordowir. – I wszyscy wyglądają jednakowo.

W wiosce istoty zachowywały się okropnie. Wpełzały i wypełzały z chat. Kręciły się przy zagrodzie z nadliczbowymi kobietami. Ruszały i oglądały jaja. Przyglądały się mieszkańcom przez jakieś czarne błyszczące przedmioty.

Po południu Rantan, jeden ze starszych, uznał, że czas zabić żonę. Odsunął więc z drogi przybyszów, którzy akurat wpełzli do jego chaty i roztrzaskał swoją kobietę o ścianę.

Dwójka przybyszów natychmiast opuściła jego chatę coś do siebie z ożywieniem pokrzykując.

Jeden miał czerwone usta kobiety.

– Widocznie przypomniał sobie, że czas zabić swoją samicę – zauważył Hum. Mieszkańcy wioski czekali, ale nic się nie zdarzyło.

– A może – powiedział Rantan – chciałby, żeby ktoś to zrobił za niego? Może u nich jest taki zwyczaj.

Bez dłuższych deliberacji Rantan strzelił samicę przybysza ogonem.

Samiec przeraźliwie krzyknął i skierował metalowy kij na Rantana, który padł martwy.

– Dziwne – powiedział Miszil – czyżby to oznaczało niezadowolenie?

Ośmioro istot z metalowego przedmiotu utworzyło ciasny krąg. Jedna trzymała nieżywą samicę, reszta skierowała metalowe kije we wszystkie strony. Hum podszedł do nich i spytał co się stało.

– Nie rozumiem – powiedział Hum po rozmowie z nimi. – Używali słów, których mnie nie uczyli. Ale domyślam się, że mają o coś żal.

Potwory wycofywały się z wioski. Inny młody człowiek uznał, że nadszedł czas i zabił swoją żonę stojącą w drzwiach chaty. Grupa potworów zatrzymała się mamrocząc z ożywieniem. Po chwili przywołali Huma.

Po rozmowie z nimi ciało Huma wykonywało ruchy wprost niewiarygodne.

– Jeżeli dobrze zrozumiałem – powiedział Hum – oni zabraniają nam zabijać nasze kobiety.

– Co? – krzyknęli mieszkańcy wioski.

– Spytam ich jeszcze raz.

Hum odbył jeszcze jedną naradę z obcymi, którzy wymachiwali trzymanymi w mackach kijami.

– To prawda – powiedział Hum i bez zbędnych wstępów machnął ogonem, przerzucając jednego z potworów na drugi koniec placu. Inne natychmiast zaczęły używać swoich kijów, jednocześnie wycofując się pospiesznie.

Po ich odejściu mieszkańcy wioski doliczyli się siedemnastu zabitych mężczyzn. Hum jakimś cudem ocalał.

– Czy teraz mi uwierzycie? – krzyknął Kordowir. – Te stworzenia rozmyślnie powiedziały nieprawdę. Obiecały, że nie zrobią nam nic złego, a potem zabiły siedemnastu ludzi. To nie tylko akt niemoralny, ale więcej – ukartowane wielokrotne morderstwo!

Rzeczywiście przechodziło to ludzkie wyobrażenie.

– Rozmyślne kłamstwo! – Kordowir wydusił z siebie to bluźnierstwo chory z obrzydzenia. Ludzie nigdy prawie nie wspominali o możliwości rozmyślnego powiedzenia nieprawdy.

Mieszkańcy wioski nie posiadali się z gniewu i odrazy, kiedy uświadomili sobie, że może istnieć istota zdolna do kłamstwa. I jeszcze na dodatek to zbiorowe morderstwo z premedytacją.

Wszystko to razem było jak jakiś koszmarny sen. Nagle stało się jasne, że te stworzenia nie zabijają swoich samic. Zapewne pozwalają im składać jaja bez żadnych ograniczeń. Sama myśl mogłaby przyprawić najsilniejszego mężczyznę o mdłości.

Nadliczbowe kobiety wyrwały się ze swojej zagrody i przemieszawszy się z żonami dopytywały się, co się stało. Kiedy się dowiedziały, były dwukrotnie bardziej oburzone niż mężczyźni, bo taka już jest natura kobiet.

– Zabić ich! – ryknęły zapasowe kobiety. – Wara im od naszych obyczajów! Nie pozwólmy im szerzyć niemoralności!

– To prawda – przyznał ze smutkiem Hiram – należało to przewidzieć.

– Trzeba ich natychmiast pozabijać! – krzyknęła jedna z kobiet. Jako nadliczbowa nie miała na razie imienia, ale w pełni nadrabiała ten brak ekspansywną osobowością.

– My, kobiety, pragniemy żyć moralnie i przyzwoicie, wysiadując w zagrodzie jaja, póki nie nadejdzie czas małżeństwa. A potem dwadzieścia pięć cudownych dni. Czy można żądać czegoś więcej? Te potwory chcą zniszczyć nasz obyczaj. Chcą, żebyśmy byli równie potworni jak oni.

– Widzicie teraz? – wrzasnął na mężczyzn Kordowir. – Ostrzegałem was, uprzedzałem, ale nie słuchaliście mnie. W chwilach zagrożenia młodzi muszą słuchać starszych. – W gniewie uderzeniem ogona zabił dwóch młodzików. Widzowie przyjęli to brawami.

– Trzeba ich przepędzić – krzyczał Kordowir. – Zanim nas zatrują.

Wszystkie kobiety rzuciły się, żeby pozabijać potwory.

– Oni mają te zabijające kije – zauważył Hum. – Czy samice wiedzą?

– Nie sądzę – powiedział Kordowir. Był teraz całkowicie spokojny. – Może idź i powiedz im.

– Jestem zmęczony – powiedział Hum niezadowolony. – Ja tłumaczyłem. Idź ty.

– No, dobrze, chodźmy razem – zaproponował Kordowir, mając dość młodzieńczych dąsów Huma. W towarzystwie chyba połowy męskich mieszkańców wioski pospieszyli w ślad za kobietami.

Dogonili je na urwistych zboczach wznoszących się nad statkiem przybyszów. Hum powiedział o śmiercionośnych kijach, podczas gdy Kordowir rozważał zagadnienie.

– Zrzucajcie na nich głazy! – powiedział kobietom. – Może uda się wam rozłupać ten metalowy przedmiot.

Kobiety zaczęły z wielką energią spychać w dół kamienie. Niektóre trafiały w metalowy przedmiot. Natychmiast z przedmiotu wytrysnęły ogniste linie i wiele kobiet zginęło. Ziemia zatrzęsła się pod nogami.

– Odsuńmy się stąd – zaproponował Kordowir. – Kobiety doskonale dają sobie radę, a ja nie lubię, jak ziemia się pode mną trzęsie.

Wraz z resztą mężczyzn odczołgali się na bezpieczną odległość i stamtąd obserwowali przebieg akcji.

Kobiety padały na lewo i na prawo, ale otrzymały posiłki kobiet z sąsiednich wsi, które przybyły na wieść o zagrożeniu. Teraz walczyły o swoje domy i o swoje prawa, z zawziętością, której nie mógł dorównać żaden mężczyzna. Metalowy przedmiot bluzgał ogniem po stromych zboczach, strącając na siebie jeszcze więcej głazów. Na koniec z dolnego krańca przedmiotu wystrzelił wielki ogień.

Przedmiot uniósł się w górę tuż przed wielką lawiną. O mało nie zawadził o górę, a potem wzniósł się coraz wyżej, aż stał się małym czarnym punktem na tle tarczy większego słońca. Potem znikł.

Tego wieczoru stwierdzono, że zniknęły pięćdziesiąt trzy samice. Było to korzystne, gdyż zmniejszyło nadwyżkę kobiet. Problem byłby szczególnie odczuwalny, bo zabrakło też siedemnastu mężczyzn.

Kordowir czuł się szczególnie dumny z siebie. Jego żona zginęła chwalebnie w walce, ale natychmiast wziął sobie nową.

– Myślę, że przez jakiś czas powinniśmy zabijać nasze żony częściej niż co dwadzieścia pięć dni – zaproponował na wieczornym Zgromadzeniu. – Póki wszystko się nie unormuje.

Ocalałe kobiety, które tymczasem wróciły do swojej zagrody, usłyszały go i odpowiedziały entuzjastycznymi okrzykami.

– Ciekawe, dokąd te potwory poleciały – przedłożył Zgromadzeniu pytanie Hum.

– Pewnie poszukać jakiejś bezbronnej rasy, którą mogliby ujarzmić – powiedział Kordowir.

– Niekoniecznie – wtrącił Miszil i rozgorzała wieczorna dyskusja.

Przełożył **Lech Jęczmyk**

Wstał, biorąc miecz do ręki i wbił wzrok w otaczającą ich ciemność. Tak, teraz on także coś usłyszał, lekki tupot wielu stóp, pad-pad-pad, i zobaczył odblask światła w skośnych oczach.

Zawył wilk, niemal prosto w jego ucho. Holger podskoczył i na ślepo machnął mieczem. Odpowiedział mu śmiech, przenikliwy i wstrętny.

– In nomine Patris... – zawołał i został wyśmiany przez wiele głosów. Albo te stwory były odporne na święte imiona, albo nie znajdowały się dostatecznie blisko, żeby miały one na nie jakiś wpływ. Prawdopodobnie to pierwsze. Gdy jego oczy przyzwyczaiły się do mroku, zobaczył cienie. Przesuwały się wzdłuż zaczarowanego koła. Były monstrualne.

Hugi przycupnął obok ogniska, głośno szczękając zębami. Alianora jęknęła i skuliła się pod wolnym od miecza ramieniem Holgera. Czuł, jak jej ciało drży.

– Tylko spokojnie – powiedział.

– To wysłannicy Faerie – szepnęła niemal bez tchu. – Mieszkańcy nocy. Są z każdej strony, Holger! Nigdy dotąd nie otaczali mnie w ten sposób. Nie mogę na nich patrzeć. – Zanurzyła twarz w jego ramieniu. Zacisnęła palce na jego ręce, niemal wbijając w nią paznokcie.

– Dla mnie to też jest nowe przeżycie – powiedział. Śmieszne, ale zupełnie nie czuł strachu. Wygląd tych stworów był rzeczywiście przerażający, ale po co na nie patrzeć? Szczególnie, jeżeli zamiast tego mógł się przyglądać Alianorze. Bogu niech będą dzięki, że jestem flegmatykiem!

– Nie mogą do nas podejść, kochanie – powiedział. – Już by to zrobili, gdyby mogli.

– Ale... ale...

– Widziałem przegrodzone tamą rzeki, które mogły zatopić całe doliny. I nikt się nie martwił. Wszyscy wiedzieli, że tama wytrzyma.

W głębi duszy zastanawiał się, jaki był współczynnik bezpieczeństwa ich obozowych czarów. Niewątpliwie tutejsi czarodzieje mieli jakiś swój odpowiednik Tablic Wytrzymałości Materiałów, w którym tego rodzaje dane mogły być znalezione. A jeśli nie, to z pewnością powinni je sobie zestawić. Musiał się obejść przypuszczeniami, ale z jakiegoś powodu – następne głęboko pogrzebane wspomnienie? – był pewien, że ochrona obozu jest dostatecznie silna.

– Trzeba po prostu zachować spokój – powiedział. – Wszystko będzie dobrze. Nic nie mogą nam zrobić, najwyżej tym piekielnym hałasem nie dadzą nam spać.

Ciągle drżała, więc ją pocałował. Niepewnie, niewprawnie oddała mu pocałunek. Wyszczerzył zęby w stronę hałastry ze Środkowego Świata. Miał nadzieję, że jeżeli zostaną tutaj i będą obserwować ich pieszczoty, to może się czegoś nauczą.

Poul Anderson

Trzy serca i trzy lwy

(Three Hearts and Three Lions)

Przełożył **Darosław J. Toruń**

Ilustrował **Grzegorz Komorowski**

Poul Anderson urodził się w roku 1926, jest Amerykaninem pochodzenia skandynawskiego. Fizyk z wykształcenia, w literaturze debiutował w roku 1947 i jego obecność w niej jest od tego czasu stale zauważalna. Pięciokrotnie otrzymał nagrodę Hugo i dwukrotnie Nebulę.

Anderson zamiłowany jest w rzeczach skandynawskich i średniowiecznych. Należał wraz z żoną do Towarzystwa Twórczego Anachronizmu, w którym praktykuje się dawny styl życia (broń, strój, obyczaje). W roku 1939, tuż przed wybuchem wojny, mieszkał przez jakiś czas w Danii. Ślady tego wszystkiego odnajdziemy w powieści „Trzy serca i trzy lwy" uważanej często za najlepszy utwór Andersona i zaliczonej przez wybrednego Normana Spinrada do tuzina najlepszych amerykańskich powieści SF.

Powieść ukazała się w roku 1953 w miesięczniku „Fantasy i Science Fiction", w postaci książkowej wyszła w roku 1961.

L.J.

Prolog

Upłynęło już tyle czasu i czuję, że opisanie tej historii stało się moim obowiązkiem. Spotkaliśmy się, Holger i ja, przed ponad dwudziestu laty. Wtedy było inne pokolenie, inne czasy. Promienni chłopcy, których teraz uczę są oczywiście bardzo mili, ale oni i ja nie myślimy już tym samym językiem i nie ma sensu udawać, że jest inaczej. Wątpię, czy byliby w stanie zaakceptować tego typu opowieść. Są bardziej trzeźwi, niż byliśmy my, moi przyjaciele i ja, i chyba czerpią z życia mniej przyjemności. Jednak z drugiej strony – oni przecież dorastali w otoczeniu rzeczy niezwykłych. Zajrzyjcie do jakiegokolwiek czasopisma naukowego, do jakiejkolwiek gazety, wyjrzyjcie przez którekolwiek okno i zadajcie sobie pytanie czy to, co niezwykłe nie stało się dla świata codziennością.

Mnie opowieść Holgera nie wydaje się nieprawdopodobna. Nie upieram się oczywiście, że jest prawdziwa. Nie mam żadnych dowodów, że jest tak lub inaczej. Mam jedynie nadzieję, że nie przejdzie ona zupełnie bez echa. Załóżmy, wyłącznie teoretycznie, że to, co usłyszałem było prawdą. W takim razie z tej opowieści wynikają konsekwencje dla naszej przyszłości i na pewno moglibyśmy jakoś tę wiedzę wykorzystać. Załóżmy z kolei, co oczywiście jest dużo rozsądniejsze, że była to relacja snu lub wręcz wyssana z palca bujda. Uważam, że nawet w takim przypadku jest ona godna utrwalenia, choćby dla niej samej.

Prawdą niepodważalną jest przynajmniej to: Holger Carlsen stawił się do pracy w zespole inżynieryjnym, w którym i ja byłem zatrudniony jesienią odległego, 1938 roku. W ciągu kilku następnych miesięcy poznałem go dość dobrze.

Był Duńczykiem i jak większość młodych Skandynawów miał w sobie ogromną ciekawość świata. Jako chłopiec przemierzył na piechotę lub rowerem prawie całą Europę. Później pełen tradycyjnego w jego kraju podziwu dla Stanów Zjednoczonych załatwił sobie stypendium jednego z naszych wschodnich uniwersytetów i rozpoczął w nim studia na wydziale inżynieryjnym. W czasie letnich miesięcy chwytał się doraźnych prac i włóczył się autostopem po całej Ameryce Północnej. Tak bardzo polubił ten kraj, że po zrobieniu dyplomu znalazł sobie tutaj pracę i zaczął poważnie myśleć o naturalizacji.

Wszyscy byliśmy jego przyjaciółmi. Był sympatycznym, spokojnym facetem, mocno trzymającym się ziemi, z nieskomplikowanym poczuciem humoru i prostymi upodobaniami, jakkolwiek dość często popuszczał sobie cugli i wędrował do pewnej duńskiej restauracji, żeby zajadać się smørrebrødem i zapijać akvavitą. Jako inżynier sprawiał się zupełnie zadowalająco, nawet jeśli nie był zbyt błyskotliwy – jego talenty skłaniały go raczej ku praktycznemu rozstrzyganiu problemów „na oko", niż ku podejściu dogłębnie analitycznemu. Krótko mówiąc, jego umysłu na pewno nie można było określić jako wyjątkowy.

Zupełnie inaczej rzecz się miała z jego ciałem. Był ogromny, mierzył ponad dwa metry, ale miał tak szerokie bary, że wcale na ten wzrost nie wyglądał. Oczywiście grał w football i byłby z pewnością gwiazdą drużyny uniwersyteckiej, gdyby nauka nie zajmowała mu tyle czasu. Jego twarz miała dość nieregularne rysy, była kwadratowa, z wysokimi kośćmi policzkowymi i wyrazistym podbródkiem. Nos sprawiał wrażenie nieco wyszczerbionego. Całość fizjonomii uzupełniały jasnoblond włosy i błękitne, szeroko rozstawione oczy. Gdyby był lepszy technicznie, przez co rozumiem przykładanie mniejszej wagi do zranionych uczuć miejscowych pań, mógłby być prawdziwym pożeraczem serc. Jednak ta odrobina nieśmiałości chyba powstrzymywała go od większego niż normalny udziału w tego typu przygodach. Tak więc Holger był miłym, ale w sumie dość przeciętnym facetem, typem, który później określany był mianem „dusza – człowiek".

Opowiedział mi co nieco o swym pochodzeniu.

– Wierz w to lub nie – uśmiechnął się – ale ja naprawdę byłem podrzutkiem, no wiesz, dzieckiem zostawionym na progu domu. Musiałem mieć zaledwie parę dni, jak mnie znaleziono na podwórzu w Helsingør. To jest bardzo ładne miejsce, wy je nazywacie Elsynor, miasto rodzinne Hamleta. Nigdy się nie dowiedziałem, jak się tam znalazłem. Takie wypadki są w Danii bardzo rzadkie. Policja usilnie starała

Wszystko jednak wskazuje na to, że chyba po prostu nie był w stanie tego zrobić.

Coś roześmiało się we mgle, nisko i obrzydliwie. Holger podskoczył. Hugi zatkał uszy palcami. Usłyszeli szum skórzanych skrzydeł. Wciąż jednak mogli zobaczyć tylko przesyconą wilgocią szarość.

– Ten stwór chyba jest przed nami – szepnął Holger. – Jeżeli skręcimy...

– Nie. – Usta Alianory drżały, jednak jej głos był zdecydowany. – To sztuczka, żeby nas ze ścieżki sprowadzić. Jak zgubimy się w tych chmurach, rzeczywiście możemy pożegnać się z nadzieją.

– Dobrze – powiedział Holger z głębi gardła, nagle pełnego piasku. – Ja pojadę pierwszy.

To była szarpiąca nerwy jazda, jakieś kształty prześlizgiwały się i przemykały na granicy wzroku, powietrze było gęste od syków i mlaskania, jęków, wycia i chichotów. W pewnej chwili przed Holgerem pojawiła się ślepa, straszliwa twarz. Wisiała, krzywiąc się, w oparach mgły. Holger parł uparcie naprzód i ta twarz wycofała się przed nim. Hugi zacisnął oczy i powtarzał w kółko:

– Byłem dobrym krasnoludem. Byłem dobrym krasnoludem. Byłem dobrym krasnoludem.

Wydawało się, że minęła wieczność zanim mgła się podniosła. Byli na granicy krainy półmroku. Papillon i jednorożec pierwsi wyczuli słońce. Puścili się galopem i wystrzelili w jasność, witając ją głośnym rżeniem.

Zbliżał się już wieczór. Wyszli w innym miejscu niż to, w którym weszli. Długie cienie skał i wysokich, iglastych drzew kładły się na wzgórza, porośnięte gęsto ciernistymi krzewami. Zimne powiewy wiatru prześlizgiwały się po twarzy Holgera, gdzieś niedaleko szumiał wodospad. Normalny świat. Po – ilu to dniach? – w Faerie był to widok, który mógł chwycić za serce.

– Po zmroku Faryzeusze nadal mogą nas ścigać – powiedziała Alianora. – Jednak tutaj ich czary nie będą miały takiej mocy, więc nasze szanse rosną.

Jej głos był matowy od zmęczenia. Holger również poczuł, jak bardzo jest wyczerpany.

Zmusili wierzchowce do szybszego biegu, żeby przed zachodem słońca odjechać najdalej, jak to możliwe. Obóz rozbili wysoko na zboczu wzgórza, gęsto porośniętym sosnami. Holger ściął mieczem dwie proste gałęzie i zrobił z nich krzyż. Wbił go w ziemię obok ogniska, które mieli zamiar podsycać przez całą noc. Środki ostrożności, podjęte przez krasnoluda były bardziej pogańskie – krąg kamieni i żelaznych przedmiotów, układany przy wtórze mamrotania jakichś zaklęć.

– Teraz – powiedziała Alianora – chyba uda nam się przetrwać nocne godziny. – Uśmiechnęła się do Holgera. – Jeszcze ci nie powiedziałam, jak dzielnie walczyłeś tam w zamku. Ach, to był wspaniały widok!

– Hmm..., och..., dziękuję – Holger spojrzał na swoje buty, czubami kopiące dołki w ziemi. Nie miał nic przeciwko temu, żeby być podziwianym przez piękną dziewczynę, tylko... – sam nie wiedział co. Żeby ukryć zmieszanie usiadł i obejrzał sztylet, który odebrał Alfrikowi. Kościana rękojeść i nieproporcjonalnie duża, miseczkowa osłona były przymocowane do cienkiego ostrza, wykonanego, jak mu się zdawało, z magnezu. Ten metal w czystej postaci był zbyt miękki, żeby można było z niego zrobić dobrą broń, nie wspominając już o tym, że łatwo się zapalał. Jednak ponieważ Alfrik wyraźnie sobie ten sztylet cenił, Holger postanowił go zatrzymać. Pogrzebał w jukach i poza całkiem zwyczajnym wyposażeniem, jak na przykład butelka oleju, znalazł zapasową mizerykordię. Hugi mógł ją nosić nagą. Holger przymocował pochwę po niej do pasa obok swego stalowego noża i schował do niej magnezowy sztylet. W tym czasie Alianora, z tych zapasów, które im jeszcze zostały, przygotowała posiłek.

Zamknęła się nad nimi noc. Holger, na którego wypadła trzecia warta, wyciągnął się jak długi na miękkim posłaniu z leśnego runa. Ogień promieniował ciepłem i czerwienią. Nerwy Duńczyka, jeden po drugim, uspokajały się. Nie wolno mu usnąć, nie w tych okolicznościach. Szkoda. Sen był mu bardzo potrzebny...

Obudził się gwałtownie. Alianora potrząsała jego ramieniem. Jej oczy w tym niepewnym, migotliwym świetle wydawały się ogromne. Jej głos był suchym szeptem.

– Słuchaj! Tam coś jest!

Zwierzę przyglądało mu się czujnymi, onyksowymi oczyma i nie chciało podejść bliżej. Przed dziewczyną tkwiła skulona sylwetka krasnoluda.

– Zawróciłam, żeby tego młodzianka odnaleźć – wyjaśniła – a potem znowu w las poszliśmy i przywołałam mojego wierzchowca. Teraz jednak musisz go zabrać, bo wielce się starać musiałam, żeby Jednoróg zechciał choć krótko kogoś oprócz mnie na swym grzbiecie ponieść.

Holger poczuł dojmujący wstyd. Zupełnie zapomniał o Hugim. A rozsierdzony książę Alfrik pewnie szybko by się z nim rozprawił. Wziął małego człowieczka z ramion Alianory i usadził przed sobą.

– I co teraz robimy? – spytał.

– Trza nam galopem się puścić, cobyśmy najszybciej jak można z tych ziem parszywych zniknęli – burknął Hugi. – Im prędzej na powrót w uczciwym kraju się znajdziemy, tym lepsze nasze widoki, że żyć będziem i wszem opowiadać na jakiejśmy to durnej wyprawie byli.

– Hm, tak. Ale obawiam się, że w tej mgle zgubimy drogę.

– Będę polatywała ponad nią od czasu do czasu i wybierała kierunek – powiedziała Alianora. – Tym sposobem przechytrzymy tych, co ją przywołali.

Pokłusowali naprzód przez wilgotny, bezdźwięczny mrok. Holger zaczynał odczuwać reakcje pobitewne. Przybrały one postać poczucia własnej nieprzydatności. Do czego był potrzebny, poza wciąganiem wspaniałych, wartościowych ludzi jak Alianora w grożące im śmiercią sytuacje? Co takiego zrobił, żeby zasłużyć choćby na ten chleb, który dotychczas zjadł? Był najgorszym nierobem, utrzymywanym przy życiu przez dobroczynność.

Przypomniał sobie pytanie, które wcześniej przyszło mu do głowy.

– Hugi, dlaczego wchodzenie do tego wzgórza było dla mnie takie niebezpieczne?

– Nie wiesz tego? – Gęste brwi krasnoluda powędrowały ze zdziwieniem w górę. – To o to im szło, kiej mnie od ciebie odciągnęli! Cobym ostrzec cię nie zdołał... Wiedz więc, że czas w Elfim Wzgórzu przedziwne ma zwyczaje. Trzymaliby cię tam przez jedną noc uciech, a kiej byś wyszedł, tutaj już sto lat by przeszło. W one lata oni by mogli robić to, w czym ty im wyraźnie na przeszkodzie stoisz.

Holger zadrżał.

To jednak rzucało zupełne nowe światło na jego status w tym świecie. Nie do pomyślenia było, żeby Alfrik i Morgan le Fay ciągle mylili go z jakimś bohaterem, którego tarczę z herbem przypadkowo znalazł. Tak więc to on sam, Holger Carlsen, sierota i uchodźca, był w jakiś sposób centralnym punktem nadciągającego kryzysu. Jednak zupełnie nie mógł sobie wyobrazić, w jaki. Możliwe, że przeniesienie z innego świata dało mu... co? Aurę? W każdym razie siły Chaosu musiały przeciągnąć go na swoją stronę, a gdyby im się to nie udało – pozbyć się go.

Oszałamiająca gościnność, z Meriven wliczoną w koszty, była prawdopodobnie próbą pozyskania go. Miała też zamydlić mu oczy, podczas gdy Alfrik wzywał Morgan le Fay i toczył z nią narady. Najwyraźniej wspólnie zdecydowali, że lepiej jest nie ryzykować, ale wykorzystać jego niewiedzę i uwięzić go wewnątrz Elfiego Wzgórza na następne sto lub dwieście lat.

Ale dlaczego po prostu nie wsadzili mu noża pod żebra? To powinno być dość proste. Być może atak pustego w środku rycerza był właśnie próbą zrobienia czegoś takiego. Kiedy to się nie powiodło, Alfrik zmienił taktykę i użył podstępu. Skąd jednak książę o nim wiedział? Oczywiście, Matka Gerda. Demon, którego przyzwała musiał powiedzieć jej o Holgerze coś, co spowodowało, że natychmiast skierowała go do swych potężnych znajomych w Faerie. Bez wątpienia, używając magii, przesłała również wiadomości o nim. Pewnie miała nadzieję, że Alfrik sobie z nim poradzi.

Co takiego mógł powiedzieć ten demon? I następne pytanie – jakich sposobów teraz, gdy zawiodły siła i podstęp, Środkowy Świat się chwyci?

W każdym razie ta droga powrotu do domu była już zamknięta. Będzie musiał się rozejrzeć za inną. Sądząc z tego, co słyszał i widział, obok czarnych istnieli również biali czarownicy. Może mógłby się zwrócić do któregoś z nich. Nie miał zamiaru mieszać się w tutejszy konflikt, jeżeli mógł tego uniknąć. Tylko jedna wojna naraz, proszę! Alfrik zrobiłby najlepiej, gdyby działał szczerze, spełnił jego prośbę i odesłał go do domu.

się czegoś dowiedzieć, ale do niczego nie doszli. Wkrótce zostałem adoptowany przez rodzinę Carlsenów. A poza tym w moim życiu nie ma nic nadzwyczajnego.

Tak mu się wtedy zdawało.

Pamiętam, że kiedyś namówiłem go, żeby poszedł ze mną na wykład przyjezdnego fizyka, jednego z tych wspaniałych typów, które tylko Wielka Brytania zdawała się kształtować – naukowca, filozofa, poety, eseisty, kawalarza – słowem człowieka Renesansu, odrodzonego w nieco złagodzonej formie. Omawiał on nowe teorie kosmologiczne. Od tamtych czasów fizycy posunęli się jeszcze dalej, ale nawet wtedy wykształceni ludzie z pewną dozą tęsknoty wracali do dni, w których wszechświat był tylko dziwny, ale nie niepojęty. Wykład został zakończony kilkoma dość daleko idącymi spekulacjami na temat tego, co może zostać odkryte w przyszłości. Jeżeli teoria względności i mechanika kwantowa dowiodły, że obserwator jest nierozłączny ze światem, który obserwuje, jeżeli logiczny pozytywizm wykazał jak wiele z naszych pozornie nie dających się podważyć faktów jest tylko przypuszczeniami i wynikiem konwencji, jeżeli naukowcy wykazali, że umysł ludzki posiada umiejętności, o które go nigdy nie podejrzewano, to być może niektóre ze starych mitów i sztuk magicznych były czymś więcej niż tylko przesądami. Hipnotyzm i leczenie zaburzeń psychosomatycznych za pomocą czystej wiary były kiedyś odrzucane jako legenda. Ile z tego, co odrzucamy dzisiaj może być oparte na rzeczywistych obserwacjach, choćby wyrywkowych, dokonanych wieki temu, zanim jeszcze samo istnienie struktur naukowych zaczęło decydować o tym, jakie fakty miały szansę zostać odkryte, a jakie nie? A to pytanie dotyczy tylko naszego własnego świata. A co z innymi wszechświatami? Mechanika falowa już teraz dopuszcza możliwość istnienia odrębnego, koegzystującego z naszym wszechświata. Wykładowca powiedział, że nie jest rzeczą trudną wyprowadzenie równań dla nieskończonej ilości takich równoległych światów. Zgodnie z logiką w każdym z nich prawa natury muszą być choć odrobinę inne. Tak więc gdzieś w bezgranicznej, niezmierzonej rzeczywistości musi istnieć wszystko, co tylko można sobie wyobrazić!

Holger ziewał przez większą część wykładu, a kiedy potem poszliśmy na drinka rzucił kilka ironicznych uwag.

– Ci matematycy tak bardzo wysilają swoje mózgi, że nie należy się dziwić, iż po godzinach pracy popadają w metafizykę. Reakcja równa, odwrotnie skierowana.

– Używasz właściwego określenia, tyle że nieświadomie – powiedziałem złośliwie.

– To znaczy jakiego?

– Metafizyka. Oznacza to dosłownie – po lub poza fizyką. Innymi słowami tam, gdzie kończy się fizyka, którą znasz, którą mierzysz swoimi instrumentami i obliczasz na suwaku logarytmicznym, zaczyna się metafizyka. I w tym właśnie punkcie teraz jesteśmy, mój chłopcze – na skraju znalezienia się poza fizyką.

– Ha! – Wypił swego drinka i gestem poprosił o następny. – Widzę, że cię to wzięło.

– No cóż, może. Ale pomyśl chwilę. Czy my naprawdę z n a m y wymiary w fizyce? Czy nie definiujemy ich, odnosząc po prostu jeden do drugiego? W sensie absolutnym, Holger, czym ty jesteś? Gdzie jesteś? Lub raczej czym-gdzie-kiedy jesteś?

– Jestem sobą, tutaj i teraz, pijącym jakąś niezbyt dobrą ciecz.

– Jesteś w równowadze z – dostrojony do? – jednym z elementów? – konkretnego continuum. Ja również. Tego samego continuum dla nas obu. Jest ono ucieleśnieniem konkretnego zestawu matematycznych zależności między takimi wymiarami jak przestrzeń, czas, energia. Znamy niektóre z tych zależności pod nazwą „prawa natury". I dlatego stworzyliśmy gałęzie nauki, które nazywamy fizyką, astronomią, chemią...

– I voodoo! – Podniósł szklankę. – Czas, żebyś już przestał śnić i wreszcie zaczął poważnie pić. *Skaal!*

Dałem spokój. Holger już nie wrócił do tego tematu. Musiał jednak zapamiętać to, co powiedziałem. Być może nawet trochę mu to pomogło, dużo później. Przynajmniej mam taką nadzieję.

Za oceanem wybuchła wojna i Holger zaczął się niepokoić. Wraz z mijającymi miesiącami stawał się coraz bardziej nieszczęśliwy. Nie posiadał głębokich przekonań politycznych, ale stwierdził, że nienawidzi faszystów i to z zawziętością, która zadziwiła nas obu. Kiedy Niemcy wkroczyli do jego kraju pił przez trzy dni bez przerwy.

Okupacja Danii zaczęła się jednak dość spokojnie. Rząd przełknął gorzką pigułkę, został w kraju – jedyny rząd, który tak postąpił – i zaakceptował status państwa neutralnego pod niemieckim protektoratem. Nie myślcie, że nie wymagało to odwagi. Oznaczało, między innymi, że król przez kilka lat był w stanie zapobiegać aktom gwałtu, szczególnie na Żydach, które były udziałem innych okupowanych narodów.

Holger jednak szalał z radości, gdy duński ambasador w Stanach Zjednoczonych zdeklarował się po stronie aliantów i upoważnił nas do wkroczenia do Grenlandii. W tym czasie większość z nas już zaczęła zdawać sobie sprawę z tego, że Ameryka prędzej czy później zostanie wciągnięta w tę wojnę. Najbardziej oczywistym rozwiązaniem dla Holgera było oczekiwanie na ten dzień, a potem zaciągnięcie się do wojska. Mógł jednak od razu wstąpić do armii brytyjskiej lub do Wolnych Norwegów. Często, zdziwiony sam sobą, zwierzał mi się, że nie może zrozumieć, co go od tego powstrzymuje.

W 1941 roku zaczęły jednak nadchodzić wiadomości, że Dania ma już dosyć. Sprawy nie dojrzały jeszcze do wybuchu (który w końcu nadszedł w formie strajku generalnego – Niemcy wygnali wtedy rząd królewski i zaczęli rządzić krajem jak jeszcze jedną podbitą prowincją), jednak już zaczynało się słyszeć strzały karabinowe i eksplozje dynamitu. Podjęcie przez Holgera decyzji wymagało dużo czasu i piwa. Z jakiegoś powodu dostał bzika na punkcie powrotu do kraju.

Było to dość bezsensowne, jednak nie mógł się od tego uwolnić. W końcu się poddał. Po siódme i ostatnie, jak mawiają jego ziomkowie, nie był Amerykaninem, tylko Duńczykiem. Porzucił pracę, wyprawiliśmy mu przyjęcie pożegnalne i odpłynął na szwedzkim statku. Z Hälsingborg mógł złapać prom do domu.

Wyobrażam sobie, że przez pewien czas Niemcy musieli go mieć na oku. Nie sprawiał kłopotu, pracował spokojnie w zakładach „Burmeister i Wain", produkujących silniki okrętowe. W połowie 1942, gdy uznał, że Niemcy stracili zainteresowanie jego osobą, przystąpił do ruchu oporu... i odkrył, że zajmuje wyjątkowo dogodną pozycję do sabotażu.

Nie będziemy się tutaj zajmowali historią jego dokonań. Musiał się dobrze sprawiać. Cała organizacja dobrze się sprawiła – działali tak skutecznie i w tak ścisłym kontakcie z Brytyjczykami, że przez całą wojnę koniecznych było tylko kilka nalotów na ich obszar. W drugiej połowie 1943 roku dokonali najbardziej bohaterskiego ze swych czynów.

Pewien człowiek musiał zostać wyprawiony poza Danię. Alianci bardzo potrzebowali jego wiedzy i umiejętności. Niemcy trzymali go pod ścisłym nadzorem, dobrze wiedząc kim jest. Podziemiu udało się jednak niepostrzeżenie wyprowadzić go z domu i przewieźć nad Sund, gdzie czekała łódka, którą miał przepłynąć do Szwecji. Stamtąd już miano go przerzucić do Wielkiej Brytanii.

Prawdopodobnie nigdy się nie dowiemy czy Gestapo coś o tej akcji wiedziało, czy po prostu niemiecki patrol przypadkowo zauważył ludzi na plaży, długo po godzinie policyjnej. Ktoś krzyknął, ktoś inny strzelił i zaczęła się walka. Plaża była otwarta i kamienista. Gwiazdy i światła na szwedzkim brzegu rozjaśniały ją akurat w dostatecznym stopniu, żeby widzieć. Nie było drogi ucieczki. Łódka zaczęła odpływać i partyzanci postanowili powstrzymać nieprzyjaciela do czasu aż dotrze ona na przeciwległy brzeg.

Nie mieli jednak na to zbyt wielkiej nadziei. Łódź była powolna. Sam fakt, że jej bronili zdradzał jej znaczenie. Za kilka minut, gdy Duńczycy zostaną zabici któryś z Niemców włamie się do najbliższego domu i zatelefonuje do kwatery sił okupacyjnych w pobliskim Elsynorze. Wyposażony w potężny silnik kuter patrolowy przechwyci uciekinierów zanim zdołają stanąć na neutralnym terytorium. Jednak ludzie z podziemia robili co mogli, żeby do tego nie dopuścić.

Holger Carlsen miał pełną świadomość tego, że umrze. Nie było jednak czasu na strach. Jakaś część jego umysłu wróciła do tych wcześniejszych, spędzonych tutaj dni, słonecznego spokoju i mew nad głową, do przybranych rodziców i domu pełnego małych, ulubionych przedmiotów; tak, i zamku Kronborg, czerwonej cegły i smukłych wież, do pokrytych patyną miedzianych dachów ponad błyszczącą wodą... Dlaczego nagle pomyślał o Kronborg? Z gorącym pistoletem w dłoni przykucnął na kamieniach i strzelił do ciemnych, przeskakujących kształtów. Kule świsnęły mu koło uszu. Ktoś krzyknął. Holger wycelował i znowu wystrzelił.

Potem świat eksplodował płomieniem i ciemnością.

szpikować go strzałami. Po wariacku pogalopował w ich stronę z niejasną myślą o przełamaniu ich szyku.

– Rach, ciach, ciach! – wrzeszczał. – Ty-y-gry-y-ys!...

Rycerze rozpierzchli się na boki przed jego szarżą, ale łucznicy nie cofnęli się o krok. Usłyszał wstrętne bzyknięcie strzały koło ucha.

– Jesu Kryste Fili Mariae...

Faryzeusze zawyli! Wbili ostrogi w boki swych koni, porzucili broń, galopowali i uciekali we wszystkie strony jak rozrzuceni eksplozją. To także jest prawda, myślał Holger tryumfalnie, nie potrafią znieść dźwięku świętego imienia. Powinien sobie wcześniej o tym przypomnieć. Tylko... dlaczego, nie myśląc o tym, wykrzyczał to wezwanie po łacinie?

Przez moment miał ochotę spuścić im na głowy całą niebiańską hierarchię, jednak powstrzymał się, żeby nie nadużywać swojej przewagi. Szczera modlitwa to jedno, a przywoływanie Wielkich Imion nadaremno, dla czystej radości z cudzego strachu to zupełnie coś innego i w perspektywie nie może przynieść szczęścia. (Skąd to wie? No cóż, po prostu wie.) Zadowolił się skierowaniem Papillona z powrotem na zachód i pokrzykiwaniem:

– Hej, ho, srebro!

Bądź co bądź wieść głosiła, że Faryzeusze srebra również nie lubią.

Coś błysnęło w stratowanej trawie. Wstrzymał konia, pochylił się z siodła i podniósł sztylet, który został upuszczony przez księcia. Broń nie wyglądała na nadzwyczajną, była niezbyt ostra i lekka jak piórko, jednak na metalu widniał napis „Płomienne Ostrze". Nie wiedząc, co o tym myśleć, ale mając nadzieję, że sztylet może okazać się przydatnym talizmanem, włożył go za pas.

Teraz Alianora. Przejechał powoli brzegiem lasu, wołając jej imię, ale nie doczekał się odpowiedzi. Poprzednie radosne uniesienie zniknęło jak zdmuchnięte. Jeżeli została zabita... och, niech ich piekło pochłonie! Poczuł, że zaczęły szczypać go oczy. Nie dbał o to, że zostanie sam w świecie pełnym wrogów, po prostu ona była wspaniałym dzieciakiem i uratowała mu życie. A czym on jej odpłacił? Co z niego za przyjaciel – żarł, chlał i mizdrzył się do obcych kobiet, podczas gdy ona spała w chłodnej rosie i...

– Alianora!!!

Żadnej odpowiedzi. W ogóle żadnego dźwięku. Wiatr ułożył się na spoczynek, zamek skrył się za szybko wstającą mgłą, las stał się murem nocy. Nic poza mgłą się nie ruszało, nic nie wydało dźwięku, był tu, w tym mglistym półmroku jedyną żywą istotą. Pomyślał z niepokojem o tym, że przecież nie może tutaj zbyt długo zostać. Faryzeusze wkrótce wymyślą jakiś sposób, żeby dobrać mu się do skóry. Mogą przywołać sprzymierzeńców, którzy nie boją się żelaza ani Boga. Morgan le Fay, na przykład. Jeżeli chce uciec, lepiej to zrobić od razu.

Pojechał na zachód wzdłuż granicy lasu, wołając Alianorę. Mgła jeszcze bardziej zgęstniała, podnosząc się z ziemi białymi kłębami i smugami, tłumiąc uderzenia kopyt Papillona, zdając się niemal zduszać jego własny oddech. Krople połyskiwały na grzywie konia, tarcza lśniła wilgocią. Świat wokół zacieśniał się, w końcu z trudnością widział najbliższe dwa metry.

Sztuczka Faryzeuszy, pomyślał czując nagły przypływ strachu. Mogą go w ten sposób oślepić, a potem już łatwo będzie go pokonać. Puścił Papillona cwałem. Mimo zimnej wilgoci w powietrzu, jego usta były suche.

Coś zamajaczyło przed nim, niewyraźnie i blado w kłębiącej się szarości.

– Halo! – krzyknął. – Kto tam? Stój w miejscu, albo będzie źle.

Odpowiedział mu śmiech, nie kłamliwy chichot z Faerie, ale śmiech czysty i młody.

– Holger, to tylko ja. Musiałam znaleźć sobie wierzchowca. Nie możemy w długą drogę, która nas czeka we trójkę na jednym koniu wyruszać, a moje skrzydła szybko się męczą.

Wyjechała z mgły – smukła, brązowa sylwetka w białej tunice z piór. Krople rosy błyszczały na jej włosach. Dosiadała na oklep jednorożca, niewątpliwie tego samego, którego Holger widział wcześniej.

– Hai! – Wskoczyła niemal prosto w ramiona ubranego w aksamit Faryzeusza. Złapał ją, uśmiechając się szeroko, gdy próbowała się wywinąć. Jednak chwilę później już trzymał łabędzicę. A łabędzie mają paskudne charaktery.

– Jej! – krzyknął, gdy łabędzica sięgnęła dziobem do jego oczu.

– Jejej! – dodał, gdy uderzenie skrzydła niemal złamało mu szczękę.

– Ratunku! – zakończył, gdy Alianora zamknęła dziób na jego palcu. Potem puścił ją i uciekł.

Panowie z Faerie wrzeli wokół Holgera, siekąc i dźgając jego nieosłonięte zbroją ciało. Był zbyt wzburzony, żeby czuć rany. Jakaś niewielka część jego mózgu chłodno dziwiła się niesamowitemu szczęściu, które pozwalało mu na razie obejść się tylko niewielkimi skaleczeniami. Czy może to być tylko szczęście? Nakarmił najbliższego przeciwnika swoimi knykciami, złapał jego miecz i wywinął nim młyńca wokół siebie. Miecz był lżejszy niż żelazny, mógł nim operować jedną ręką, ostrze było jednak jak brzytwa. Wojownik ciął w jego głowę toporem. Wolną ręką chwycił trzonek, wykręcił go z palców tamtego i teraz rąbał Faryzeuszy mieczem i toporem.

Papillon zaatakował tłum od tyłu, kopiąc, kąsając, depcząc, aż przebił się do swego pana. Stopa Holgera szybko znalazła strzemię. Wskoczył na siodło. Ogier ruszył galopem naprzód.

Za nimi zadudniły podkowy. Odwracając się, Holger zobaczył goniących go rycerzy. Ich wierzchowce były szybsze od Papillona. Wyrzucił już zdobyczną broń, a Alianora siłą rzeczy nie mogła przynieść jego kopii. Jednak jego własny miecz i tarcza wisiały przy jego nogach. Sięgnął po nie. Nie było na razie czasu na wkładanie zbroi, zwiniętej w pakunek za siodłem.

Obok machała skrzydłami biała łabędzica. Nagle gwałtownie skręciła. W miejsce, w którym przed chwilą się znajdowała uderzył orzeł. Holger spojrzał w górę i zobaczył, że z nieba spada więcej tych wielkich ptaków. Och, mój Boże, zamieniają się w orły, teraz ją dostaną... Alianora syknęła, dziobem i skrzydłami utorowała sobie drogę i pofrunęła w stronę lasu. Znowu w ludzkiej postaci, będzie mogła schronić się przed ornitomorfami w gęstych zaroślach. Ale w jaki sposób ujdzie wtedy naziemnemu pościgowi?

Papillona dogonił inny koń. Siedział na nim Alfirk, z mieczem w dłoni. Długie, srebrzyste włosy owiewały mu wciąż uśmiechniętą twarz. Holger usłyszał jego głos, wyraźny mimo dudnienia kopyt, wyjącego w uszach powietrza i grania myśliwskich rogów.

– Przekonajmy się, czy rzeczywiście jesteś niezwyciężony, sir 'Olgerze z Danii!

– Z przyjemnością! – odwarknął Duńczyk. Alfrik znajdował się po jego nieosłoniętej tarczą, prawej stronie, ale Holger o to nie dbał. Jego miecz uderzył z góry, spotykając się w pół drogi z lżejszym ostrzem z Faerie. Broń Alfrika skoczyła w bok i naprzód, obok zasłony Holgera. Z wprawą, której nawet u siebie nie podejrzewał, Holger trafił sztychem pod półokrągły jelec i postawił siłę swego ramienia przeciw chwytowi Alfrika. Broń wyfrunęła z dłoni księcia. Alfrik warknął i podprowadził bliżej konia. Jego lewa dłoń wystrzeliła naprzód, szybka jak wąż, zamykając się na trzymających miecz palcach Holgera. Nie mógł się długo przeciwstawiać potężniejszemu przeciwnikowi, ale też niewiele czasu mu było potrzebne, żeby wyciągnąć sztylet zza pasa.

Holger wykręcił się w siodle. Nie mógł wprowadzić całej tarczy między nich, ale udało mu się spuścić jej rant na ramię, zakończone nożem. Książę wrzasnął. Z jego skóry dmuchnął dym. Holger poczuł smród przypalonej skóry. Biały koń dziko pogalopował przed siebie. Na Niebiosa, to prawda, co mówili! Ciała Faryzeuszy nie znosiły dotyku żelaza.

Holger tak ściągnął wodze, że spod kopyt Papillona wystrzeliły grudy ziemi. Zawrócił i nieco cofnął ogiera, zamachał mieczem i ryknął do zbliżających się jeźdźców:

– No chodźcie tu robaczki! Mam coś dla was!

Zatrzymali się równie szybko, jak on chwilę wcześniej, potem rozjechali się spokojnie na boki. Holger zobaczył biegnących ku niemu wojowników z łukami. To było niezbyt dobre. Mogli stać sobie daleko i

Rozdział I

Budził się powoli. Przez chwilę leżał, nieświadom niczego poza bólem w czaszce. Wzrok wracał stopniowo, aż wreszcie mógł zobaczyć, że rzecz, która tkwi przed jego twarzą to korzeń drzewa. Gdy się odwrócił, zatrzeszczał pod nim gruby dywan zeschłych liści. W nos wwiercał się zapach ziemi, mchu i wilgoci.

– Det var som fanden! – mruknął. – Co u diabła! – Podniósł się.

Dotknął głowy i poczuł zakrzepłą krew. Jego mózg był wciąż otępiały, jednak uświadomił sobie, że kula musiała ześlizgnąć się po czaszce, pozbawiając go tylko przytomności. Kilka centymetrów niżej i... Zadrżał.

Ale co się działo od tamtej pory? Leżał w lesie, w świetle dnia. W pobliżu nikogo. Nawet śladu człowieka. Najpewniej jego przyjaciele zdołali uciec, unosząc go ze sobą. Potem schowali go w tej gęstwinie. Ale dlaczego zdjęli z niego ubranie i zostawili go samego?

Wstał, oszołomiony, ze sztywnymi mięśniami, niesmakiem w ustach i żołądkiem pełnym głodu. Chwycił głowę, żeby nie rozpadła się na kawałki. Z przebijających przez korony drzew promieni słonecznych wywnioskował, że jest późne popołudnie. Światło poranka nie ma w sobie tego specjalnego, złotego poblasku. Ha! Przespał niemal pół doby. Kichnął.

W pobliżu, poprzez głębokie, nakrapiane światłem cienie przebłyskiwał strumyk. Podszedł do niego, nachylił się i zaczął pić potężnymi łykami. Potem obmył twarz. Zimna woda przywróciła mu nieco siły. Rozejrzał się wokół, próbując ustalić gdzie się znajduje. Lasy Grib?

Nie, na Boga. Te drzewa były zbyt wielkie, zbyt poskręcane, zbyt dzikie: jesiony, buki, głogi, pokryte gęstymi naroślami mchu, połączone niemal zwartymi ścianami wybujałego poszycia. W Danii nie było takiego lasu od średniowiecza.

Wiewiórka, jak czerwona smuga ognia, wbiegła po pniu. Para szpaków zerwała się do lotu. Przez szczelinę w listowiu zobaczył jastrzębia, krążącego wysoko na niebie. Czy w jego kraju były jeszcze jakieś jastrzębie?

No, może kilka, nie wiedział dokładnie. Spojrzał na swoją nagość i zaczął bezładnie zastanawiać się nad tym, co robić dalej. Jeżeli jego koledzy rozebrali go i zostawili tutaj, musieli mieć po temu ważne powody. Nigdzie nie powinien się stąd oddalać. Szczególnie w takim stanie, w całkowitym dezabilu. Z drugiej jednak strony, im również mogło się coś przytrafić.

– Niełatwo ci będzie spędzić tutaj noc, mój chłopcze – powiedział. – Dowiedzmy się przynajmniej co to za miejsce. – Jego głos, mający za tło tylko szum lasu, wydawał się nienaturalnie głośny.

Nie, jest jeszcze jakiś dźwięk. Stężał na chwilę, potem rozpoznał rżenie konia. Poczuł się wyraźnie lepiej. W pobliżu musi być jakaś farma. Jego nogi stąpały już dostatecznie pewnie, żeby był w stanie przedrzeć się przez ścianę krzewów łozy i odnaleźć tego konia.

Zrobił to i stanął jak wmurowany.

– Nie – powiedział.

Zwierzę było ogromne, ogier o rozmiarach perszerona, ale znacznie szlachetniejszej budowy, smukły i czarny jak polerowana noc. Nie był spętany, jednak ze zdobnej, nabijanej srebrem uździenicy luźno zwisała para wymyślnych, obszytych frędzlami wodzy. Na grzbiecie miał siodło z wysokimi łękami, również ze zdobionej skóry, białą, jedwabną kapę z wyszytym czarnym orłem oraz jakieś juki.

Holger przełknął ślinę i podszedł bliżej. No i dobrze, pomyślał, ktoś lubi konne przejażdżki w takim stylu.

– Halo – zawołał. – Halo, jest tu ktoś?

Gdy się zbliżył, koń potrząsnął długą grzywą i radośnie zarżał. Miękkie nozdrza dotknęły jego policzka, wielkie podkowy z mocą uderzyły w ziemię. Holger poklepał go – nigdy dotąd nie spotkał konia tak przyjaznego wobec obcych. Przyjrzał mu się bliżej. Na uździenicy widniało wygrawerowane srebrem słowo, składające się z dziwnie archaicznych liter – Papillon.

– Papillon – powiedział z namysłem. Koń znowu zarżał, tupnął i naprężył trzymane już przez Holgera wodze.

– Papillon to twoje imię? – Holger znowu go klepnął. – Po francusku motyl, prawda? To dość pomysłowe, nazywać bydlaka o twoich rozmiarach Motylem.

Jego uwagę przyciągnął leżący za siodłem pakunek. Przesunął się, żeby lepiej mu się przyjrzeć. Co u diabła. Kolczuga!

– Halo! – zawołał jeszcze raz. – Czy jest tu ktoś? Pomocy!

Tylko sroka zaskrzeczała szyderczo.

Rozglądając się wokół, Holger zauważył długie, oparte o pień dębu drzewce ze stalowym grotem z jednej i miseczkową osłoną uchwytu z drugiej strony. Kopia, na Boga, autentyczna średniowieczna kopia. Zawrzało w nim podniecenie. Niespokojne życie, które dotychczas prowadził sprawiło, że stał się człowiekiem nieco mniej skrupulatnie przestrzegającym prawa niż większość jego rodaków, nie miał więc zahamowań rozwiązując tobołek i rozkładając na ziemi jego zawartość. Znalazł całkiem sporo: kolczugę, która mogłaby sięgnąć mu do kolan, stożkowy, ozdobiony purpurowym pióropuszem hełm z nosalem, sztylet, odpowiednie pasy i rzemienie, gruby, miękki kaftan pod zbroję. Było tam również kilka kompletów ubrań, na które składały się bryczesy, koszule z długimi rękawami, tuniki, kaftany, peleryny i tak dalej. Ta część ubrań, której nie zrobiono z surowego, jaskrawo barwionego płótna, była z obszytego futrem jedwabiu. Nie był wcale zaskoczony, gdy, przeszedłszy na lewą stronę konia, znalazł miecz i tarczę, wiszące na rzemieniu. Tarcza miała konwencjonalny, heraldyczny kształt przy około czterech stopach długości i była wyraźnie nowa. Zdjął z niej płócienny pokrowiec i zobaczył, że na jej powierzchni, wykonanej z cienkiej stalowej wykładziny na drewnianej bazie, widnieją trzy złote lwy naprzemiennie z trzema czerwonymi sercami, wszystko na błękitnym tle.

Obudziło się w nim niejasne przypomnienie. Stał przez chwilę, zastanawiając się. Czy to jest... chwileczkę. Godło Danii. Nie, tam jest dziewięć serc. Pamięć znowu się zamknęła.

Ale o co tu chodzi? Podrapał się w głowę. Ktoś organizuje jakieś widowisko? Wyciągnął miecz: wielki, o szerokiej głowni z krzyżowym jelcem, obosieczny i ostry jak nóż. Jego inżynierskie oczy rozpoznały niskowęglową stal. Nikt z taką precyzją nie podrabiał średniowiecznego ekwipunku, nawet do filmów, nie mówiąc już o paradach. Pamiętał jednak eksponaty muzealne. Mężczyzna z wieków średnich był sporo niższy od swych współczesnych potomków. Ten miecz natomiast pasował do jego dłoni tak, jakby był specjalnie dla niej zaprojektowany, a on przecież był wysoki nawet w dwudziestym wieku.

Papillon zarżał i szarpnął w tył. Holger odwrócił się gwałtownie. Zobaczył niedźwiedzia.

Był to wielki, brązowy niedźwiedź, który prawdopodobnie przyszedł tutaj, żeby przekonać się co tak hałasuje. Łypnął na nich okiem – Holger bardzo zapragnął mieć w tej chwili swoją strzelbę – a potem odwrócił się i pobiegł z powrotem w gęstwinę.

Holger oparł się ciężko o Papillona, czekając aż serce trochę mu się uspokoi.

– Możliwe, że istnieje jeszcze jakaś ostoja dzikiej puszczy – usłyszał swój pełen przekonania głos. – Może nawet zostało kilka jastrzębi. Ale w Danii nie ma, z całą pewnością nie ma niedźwiedzi.

Chyba, że jakiś uciekł z zoo... No, zaczynają się ślepe domysły. Przede wszystkim musi zebrać jakieś informacje i wtedy wyciągać wnioski.

A może zwariował i ma halucynacje? Albo śni? Chyba jednak nie. Jego umysł pracował zbyt precyzyjnie. Wyczuwał promienie słoneczne i widział drobniutkie pyłki, które w nich tańczyły, widział liście, czuł zapach konia, mchu i swój własny pot, a to wszystko było pełne szczegółów i najzupełniej prozaiczne. Jakkolwiek jest, zdecydował gdy jego spokojny z natury charakter wyhamował nieco gonitwę myśli, nie pozostaje mu nic innego niż brnąć dalej, nawet jeśli to sen. Teraz najbardziej potrzebne są mu informacje i pożywienie.

Po namyśle odwrócił hierarchię ważności.

Ogier wydawał się wystarczająco przyjacielski. Nie miał prawa brać tego zwierzęcia, ani znalezionych przy nim ubrań, jednak jego własne potrzeby były niewątpliwie znacznie bardziej pilne niż osobnika, który tak niefrasobliwie pozostawił tutaj swoją własność. Ubrał się starannie. Nieznana garderoba wy-

– Przynoszę dobre wieści – powiedział. – Naradzałem się z licznymi Mocami i wydaje się, że istnieją poważne szanse na odesłanie cię do domu.

– To... to... nie wiem, jak wam dziękować, panie – wyjąkał Holger.

– Trochę czasu zabierze zebranie ingrediencji, niezbędnych do czarów – powiedział Alfrik. – Sądzę, że tymczasem chętnie weźmiesz udział w urządzanej właśnie, specjalnej zabawie. Odbędzie się uczta we Wzgórzu Elfów.

– Hm? Ach, tak. Widziałem to miejsce.

Alfrik ujął go pod ramię.

– Możemy więc iść? Gwarantuję, że spędzisz kilka naprawdę pikantnych godzin. Elfy wiedzą, jak uczynić człowieka szczęśliwym.

Holger nie miał specjalnej ochoty na orgię, ale w żaden sposób nie mógł odmówić. Zeszli razem ze schodów. Mieszkańcy zamku już się gromadzili, rozszeptany wir kolorów, płynący przez sale na zewnątrz, na dziedziniec. Meriven wyszła spośród nich i Alfrik przekazał jej Holgera.

– Będę ci towarzyszyła do Wzgórza – powiedziała. – Nie mam zamiaru pozwolić jakiejś elfiej dziewusze ukraść mi ciebie.

– A co, czyżby nie wszyscy tam szli?

– Później. My dwoje mamy pójść jako pierwsi. Reszta przyjdzie za nami, trochę później. Zobaczysz, jak to wszystko zostało przemyślane.

Holger pomyślał o śmiertelnych pułapkach, ale odrzucił to podejrzenie, gdyż będzie z nim przecież jedna z nich.

Wijąca się parada płynęła przez bramy, na most i dalej, przez łąki ku porośniętemu różami Wzgórzu Elfów. Za Holgerem lekko stąpały konie, niosące wojowników, na długich kopiach powiewały proporce, muzykanci dęli w rogi, przebierali palcami po strunach harf i lutni, setka panów i dam z Faerie tańczyła, zbliżając się do wzgórza. Usłyszał inną muzykę, tę, która popłynęła im na spotkanie, wysokie, pełne słodyczy tony, mieszające się z jego krwią i wirujące mu w głowie. Uśmiechnął się do Meriven, nagle bardzo jej pragnąc, a ona zaśmiała się w odpowiedzi, ściskając mocniej jego ramię. Wiatr dmuchnął mu w twarz jej jasnymi, rozpuszczonymi włosami, na wpół go oślepiając, i zapachem jak smak mocnego wina. Wzgórze otworzyło się. Przez loki Meriven zobaczył migoczące światło, od którego czernią odcinały się wysokie postacie. Muzyka przyspieszała jego kroki, już nie mógł dłużej czekać.

Podkowy zadudniły o ziemię. Zarżał koń, głośno i gniewnie. Holger odwrócił się i zobaczył Alianorę, galopującą od strony lasu. Jej twarz była wykrzywiona przerażeniem.

– Holger! Nie, Holger, nie wchodź tam!

Rozdział IX

Za jego plecami Alfrik bluznął przekleństwami. Włócznia przeszyła powietrze, o włos mijając dziewczynę. Holger stał, skamieniały ze zdumienia.

– Wzgórze! Wprowadźcie go do wzgórza! – ryknął Alfrik.

Meriven pociągnęła go za ramię. Trzech Faryzeuszy rzuciło się naprzód jak gracze w rugby. Holgera ogarnęła nagle dzika wściekłość. Runął im naprzeciw. Najbliższego nadział na wyciągniętą rękę, pozwalając mu osunąć się na ziemię i tam spokojnie leżeć. Jego prawa pięść zatoczyła łuk, ciągnąc za sobą Meriven, i wbiła się w drugą przystojną twarz. Przed trzecim wojownikiem uskoczył. Wyrósł przed nim jeździec, kopią sięgając niemal jego żeber. Wyrwał się Meriven, kurczowo uczepionej jego ramienia, chwycił ją, podniósł nad głowę i cisnął nią w pierś jeźdźca. Oboje przetoczyli się przez zad konia.

Trzech konnych otoczyło Alianorę. Papillon stanął dęba, uderzył przednimi kopytami i posłał jednego z nich na ziemię. Obróciwszy się, ukąsił potężnie konia, na którym siedział drugi jeździec. Zwierzę zarżało żałośnie i pogalopowało w dal. Trzeci napastnik ciął Alianorę mieczem. Uchyliła się i zeskoczyła na ziemię.

Uciekł, zanim miała okazję dalej nalegać i niemal wbiegł do swego apartamentu. Hugi spojrzał na niego z łóżka, na którym zwinął się w kłębek. Holger nachylił się nad nim.

– Dzisiaj rano widziałem kobietę – powiedział, szybko i cicho, potem opisał ją, nie na podstawie dzisiejszego krótkiego spotkania, ale opierając się na tym, co tkwiło w jego pamięci, a co zdawało się rozciągać na lata. – Kim ona jest?

– Hummm... – Hugi przetarł oczy. – Tak wygląda, żeś królową Morgan le Fay wyszpiegował. Może to być, że ją samą Alfrik ostatniej nocy z Avalonu przyzwał? Tak już pewnikiem jakoweś diabelstwo się szykuje.

Morgan le Fay! To była ona. Holger był tego pewien, chociaż nie wiedział dlaczego. I Avalon, tak, widział tę wyspę ptaków i róż, tęczy i czarów, ale gdzie i kiedy i jak?

– Opowiedz mi o niej – nalegał – wszystko, co wiesz.

– Oho, to k'niej teraz cholewki smalić zaczynasz? Ona nie dla takich jak ty, ani nawet jak książę Alfrik. Nie podnoś oczów za wysoko, bo ci je słońce spali. A lepiej, bo księżyc wyssie ci rozum.

– Nie, nie, nie! Ja po prostu muszę wiedzieć, to wszystko. Może będę mógł wywnioskować dlaczego ona tutaj jest.

– Taaak... Za wiele to ja nie wiem. Avalon hen na zachodnim oceanie leży, a ona część świata jeno z bajań starych bab nam znajoma. Jednako ludzie wiedzą, że Morgan le Fay siostra Arturowi, któren był ostatnim wielkim królem Brytów. Jeno że w niej mocno i dziko płynie ta krew, która w onej familii z Faerie pochodziła. Najpotężniejsza to wiedźma w całym Chrześcijaństwie czy spośród pogan, a i w Środkowym Świecie z każdym zmierzyć się może. Śmierci nie podlega, a drażliwa jest okropnie: nikt nie wie z Ładem czy z Chaosem stoi, czy jeno ze sobą. Powiadają, że Artura uniosła, kiej leżał ranion śmiertelnie, leczyć go i chować, aż czas jego przyjdzie, coby wrócił. Może i tak, a może to jeno chytra sztuczka, coby mu do onego powrotu sposobności nie dać. Och, nijak radości nie czuję, żem pod jeden dach z nią trafił.

Ciągle żadnego dowodu. Morgan mogła tu przybyć, żeby pomóc Alfrikowi w rozwikłaniu problemu Holgera, ale mogła także wpaść w jakiejś innej sprawie, nie mającej z tym nic wspólnego. Jednak mimo wszystko wyglądało to dość dziwnie.

Do sypialni wszedł goblin.

– Łaskawy książę ucztę dla zamkowych sług wydaje – powiedział. – Ty, krasnoludzie, proszony jesteś.

– Hummm... – Hugi pogładził się po brodzie. – Dzięki wielkie, nie. Nie czuję się za dobrze.

Goblin uniósł bezwłose brwi.

– Nie będzie to dobrze widziane, jeśli ucztą wzgardzisz – powiedział.

Hugi wymienił spojrzenia z Holgerem. Duńczyk skinął głową. Być może był to wybieg, mający usunąć krasnoluda z drogi, ale nawet jeśli tak, to nie było sposobu na wyłganie się z tego.

– Idź, Hugi – powiedział. – Zabaw się.

– No, tak. Uważaj na siebie. – Hugi podreptał za goblinem. Holger zapalił fajkę i ułożył się w wannie, żeby trochę pomyśleć. Czuł się tak, jakby był schwytany w pajęczą sieć. Bardzo delikatna, nawet miła, ale nie możesz się wydostać. Ogarnęła go panika, chciał krzyczeć i uciekać.

Zdusił ją w sobie. W tej chwili nie mógł nic zrobić, mógł tylko udawać, że wszystko jest w porządku. Poza tym jego podejrzenia były oparte na tak wątłych podstawach. A jednak...

Został mu dostarczony nowy strój balowy. Włożył go, guziki i klamry pozapinały się same. Ledwo skończył, okrągła klamka u drzwi uformowała się w metalowe usta i powiedziała:

– Jego Wielmożność Książę prosi o pozwolenie wejścia.

– Jiip! – powiedział Holger. Potem, odzyskując panowanie nad sobą – P-p-proszę wejść.

Najwyraźniej niewolnicy, których właściwie nie wypadało dostrzegać, wchodzili i wychodzili bez pytania o zgodę, podczas gdy wyżej postawieni wzajemnie szanowali swoje prawo do samotności.

Faryzeusz wszedł, jego blada, rzeźbiona twarz rozciągnięta uśmiechem.

magała pewnego wysiłku umysłowego przy nakładaniu, jednak wszystko, aż po same buty, pasowało podejrzanie dobrze. Spakował na nowo dodatkowe ubiory oraz zbroję i przytroczył je z powrotem do konia. Ogier parsknął cicho, gdy Holger podniósł się w strzemieniu, żeby nań wsiąść, potem powoli podszedł do kopii.

– Nigdy bym nie przypuścił, że konie są takie mądre – powiedział Holger głośno. – No dobrze, zrozumiałem aluzję.

Wziął kopię i oparł koniec drzewca o podpórkę, która, jak stwierdził, zwisała z siodła, potem ujął wodze w lewą dłoń i cmoknął. Papillon ruszył w stronę słońca.

Dopiero po pewnym czasie Holger zauważył jak dobrze sobie radzi z jazdą konno. Jego doświadczenie w tym względzie ograniczało się dotychczas do kilku dość nieszczęsnych prób w wypożyczalniach. Teraz przypomniał sobie, że zawsze twierdził, iż koń jest wielką, niezdarną rzeczą, zajmującą tylko przestrzeń, którą w przeciwnym przypadku mógłby zająć inny koń. Dziwna była ta natychmiastowa sympatia, jaką poczuł do tego wielkiego, czarnego potwora. Jeszcze dziwniejsza była łatwość, z jaką jego ciało przystosowało się do siodła. Jakby przez całe życie był kowbojem. Pogrążył się w myślach na ten temat i znowu stał się niezdarny. Papillon parsknął. Holger mógłby przysiąc, że była to drwina. Wyrzucił więc z głowy wszelkie wątpliwości i skupił się na wybieraniu drogi między drzewami. Mimo że podążali ścieżką – wydeptaną przez jelenie? – las był tak gęsty, że jechało się dość niewygodnie, szczególnie z kopią.

Słońce schodziło coraz niżej, aż w końcu spoza czarnych pni i gałęzi przeświecało tylko kilka czerwonych pasm. Do diabła, przecież to niemożliwe, żeby gdziekolwiek w Danii istniała tak rozległa puszcza. Czyżby, będąc nieprzytomnym, został przywieziony do Norwegii? Laponii? Do Rosji, na bramy Piekieł? A jeśli kula spowodowała zanik pamięci, trwający być może całe tygodnie? Nie, to niemożliwe. Rana była zbyt świeża.

Westchnął. Takie zmartwienia nie wytrzymywały konkurencji z myślami o jedzeniu. Zastanówmy się, ze trzy wędzone dorsze i kufel zimnego Carlsberga... nie, bądźmy amerykańscy i zamówmy stek z kością, obłożony zasmażaną cebulką...

Papillon stanął dęba. Niemal wyrzucił Holgera z siodła. Przez gąszcz poszycia i narastającą ciemność nadchodził lew.

Holger wrzasnął. Lew zatrzymał się, wyginając ogon i pomrukując groźnie z głębi ukrytego w grzywie gardła. Papillon niespokojnie zatańczył i zaczął uderzać kopytem w ziemię. Holger uświadomił sobie, że opuścił kopię, kierując ją w stronę wielkiego kota.

Z głębi lasu dobiegało przeciągłe wycie wilka. Lew stał nieruchomo. Holger nie bardzo miał ochotę dyskutować z nim na temat pierwszeństwa na tej ścieżce. Poprowadził Papillona bokiem, mimo że koń sprawiał wrażenie gotowego do walki. Gdy minęli lwa, Holger poczuł wielką chęć puszczenia się galopem. Gdyby to jednak zrobił, z pewnością, przy takim świetle zostałby wysadzony z siodła przez jakiś konar czy gałąź. Pocił się.

Nadeszła noc. Zaczęli błądzić. Błądziły też myśli Holgera. Niedźwiedzie, wilki i lwy – nie ma takiego miejsca na ziemi, w którym te zwierzęta występują razem – może poza jakimiś odległymi rejonami Indii. Ale przecież tam w Indiach nie rosną europejskie drzewa, prawda? Próbował przywołać w pamięci lektury Kiplinga. Nic mu nie przychodziło do głowy, poza niejasnymi przypomnieniami, że wschód jest wschodem, a zachód zachodem. Potem gałąź uderzyła go w twarz i zajął się przeklinaniem.

– Wygląda na to, że spędzimy noc pod gołym niebem – powiedział w końcu. – Pięknie.

Papillon szedł dalej, jeszcze jeden cień w pełnej dźwięków ciemności. Holger słyszał puchacze i odległe ochrypłe piski, które mogły być głosem żbika, i wycie wilków. A to? Co to było? Złośliwy chichot, tuż nad ziemią.

– Kto to? Kto tam jest?

Oddalający się tupot małych stóp. Wraz z nim uleciał śmiech. Holger zadrżał. Równie dobrze można jechać dalej, zdecydował.

Noc znacznie się ochłodziła.

Nagle niebo wybuchnęło gwiazdami. Holger potrzebował dobrej chwili na to, żeby zrozumieć, że wyjechali na polanę. Przed nimi migotało światełko. Dom? Zmusił Papillona do ruszenia kłusem.

Kiedy dotarli na miejsce, Holger zobaczył chatę, niezwykle prymitywną, ze ścianami z oblepionej gliną wikliny i dachem z darni. Blask płonącego wewnątrz ognia odbijał się czerwienią od dymu, uciekającego przez otwór w szczycie dachu, sączył się przez maleńkie okienka z okiennicami i wyciekał przez szpary wokół krzywych pni. Holger ściągnął wodze i językiem zwilżył wargi. Serce mu waliło, jakby znowu stanął przed lwem.

A jednak...

Zdecydował, że najrozsądniej będzie zostać w siodle. Uderzył w drzwi końcem kopii. Otworzyły się ze skrzypieniem. Stała w nich zgarbiona postać, czarna na tle wnętrza chaty. Dobiegł go głos starej kobiety, wysoki i skrzekliwy.

– A tyś kto? Kto zawitał do Matki Gerdy?

– Chyba się zgubiłem – powiedział Holger. – Czy znajdzie się u pani wolne łóżko?

– Och. Och, tak. Piękny młody rycerz, jak widzę, tak, tak. Stare mogą być te oczy, ale Matka Gerda dobrze widzi kto po nocach puka w jej drzwi, dobrze, dobrze widzi. Dalej, jasny panie, zejdź z konia i skorzystaj z tej ubogiej gościny, którą biedna, stara kobieta może ofiarować i nie musisz się mnie obawiać, ani ja ciebie, nie w moim wieku, ale wiedz, że był taki czas... ale to było zanim się narodziłeś, a teraz ze mnie tylko stara, samotna babcia, rada wszelkim wieściom o wielkich zdarzeniach za ścianami tej skromnej chatki. Chodź, chodź, wyzbądź się obaw. Bardzo proszę, wejdź do środka. Niełatwo tu o schronienie, tutaj, na krańcu świata.

Holger przecisnął się obok niej do wnętrza lepianki. Nie zauważył nikogo innego. Bez wątpienia mógł się tu bezpiecznie zatrzymać.

Rozdział II

Usiadł przy rozklekotanym stole z nieheblowanego drewna. Oczy piekły go od dymu, zbierającego się pod krokwiami. Jedyne wewnętrzne drzwi wiodły do stajni, w której teraz przywiązany był jego koń, poza tym budynek składał się tylko z tej jednej izby, z klepiskiem zamiast podłogi. Z płonącego na wielkim kamieniu ognia padało przyćmione światło. Rozglądając się wokół, Holger zauważył kilka krzeseł, słomiany materac, trochę narzędzi i różnych utensyliów oraz czarnego kota, siedzącego na zupełnie nie pasującej do tego wnętrza, wielkiej i ozdobnej drewnianej skrzyni. Żółte oczy kota ani razu nie mrugnęły i nawet na moment się od niego nie oderwały. Kobieta, Matka Gerda, mieszała coś w żelaznym kotle, zawieszonym nad ogniem. Była to zgarbiona, sucha i pomarszczona staruszka, ubrana w strój, przypominający postrzępiony worek. Jej siwe włosy zwisały rzadkimi kosmykami wokół zapadniętej twarzy, ozdobionej nosem jak haczyk i nieustannie wyszczerzonymi w bezsensownym uśmiechu pieńkami zębów. Ale jej oczy były twardą, połyskliwą czernią.

– Ach, tak, tak – powiedziała – nie takim jak ja, biednym starym kobietom wypytywać o to, co nieznajomi radzi by trzymać w ukryciu. Wielu jest takich, co wolą sekretnie przemierzać te niespokojne ziemie przy krańcu świata i ty sam możesz być jakimś rycerzem z Faerie w ludzkim przebraniu, gotowym położyć czar na język zbyt ciekawy. Jednakże, dobry panie, czy mogę się ośmielić i spytać o twe imię? Nie twe własne, oczywiście, jeśli wolisz nie wyjawiać go takiej starej babinie jak ja, która życzy ci dobrze, choć musi przyznać, że wiek się na niej odcisnął i czasem paple odrobinę za dużo, ale imię jakiekolwiek, żebym mogła zwracać się do ciebie odpowiednio i z należnym szacunkiem.

– Holger Carlsen – odpowiedział.

Tak podskoczyła, że niemal wywróciła kociołek.

– Co powiedziałeś?

– A co...? – Czyżby był ścigany? Czyżby to była jakaś wyjątkowo dzika okolica w Niemczech? Wymacał sztylet, na wszelki wypadek zatknięty za pas. – Holger Carlsen! No i co z tego?

– Och... nic, dobry panie. – Gerda odwróciła wzrok, potem znów spojrzała na niego, szybkim, ptasim spojrzeniem. – Tyle tylko, że Holger i Carl są imionami co nieco głośnymi, jak ci wiadomo, jednak by

słoniowej, nos był lekko łukowaty, w kącikach czerwonych ust i w czarnych, błyszczących oczach czaiła się arogancja. Hm! Książę miał szczęście.

W oczach Alfrika błysnął gniew, znikając jednak niemal natychmiast.

– Dzień dobry, sir 'Olgerze. Jak samopoczucie? – Gdy pochylił głowę w ukłonie, jego ręce wykonały kilka dziwnych gestów.

– Doskonale, panie – Holger odkłonił się. – Mam nadzieję, że wasze również...

– O, tu jesteś, niegrzeczny chłopaku. Czyżbyś chciał schować się przede mną? – Meriven chwyciła ramię Duńczyka. Skąd, do diabła, ona się tu wzięła? – Chodźmy, konie już gotowe, polowanie na nas czeka. – Odciągnęła go, zanim zdążył nabrać powietrza w płuca.

Spędzili kilka miłych godzin, wypuszczając sokoły na żurawie, dzikie pawie i jakieś mniej znajome Holgerowi ptaki. Meriven wesoło trajkotała i Holger musiał się śmiać razem z nią. Ta anegdota o polowaniu na bazyliszka... no cóż, niezbyt nadawała się do opowiadania w mieszanym towarzystwie, ale była rzeczywiście śmieszna. Holger bawiłby się jeszcze lepiej, gdyby nie to, że znowu nie dawała mu spokoju jego pamięć. Ta kobieta z księciem – przecież on ją z n a ł!

Miał możność widzieć ją tylko przez chwilę, ale jej obraz stał mu wyraźnie przed oczyma. Wiedział, że jej głos jest niski, sposób bycia wyniosły, kapryśny, że czasem bywa uprzejma, a czasem okrutna, ale że wszystkie jej nastroje to tylko barwy, mieniące się na powierzchni niewzruszonej woli. Meriven wypadła dość blado w porównaniu z... z... jak ona się nazywa?

– Jesteś smutny, mój panie. – Dziewczyna z Faerie położyła swoją dłoń na jego dłoni.

– Och, nie. Nie. Zamyśliłem się tylko.

– Wstydź się! Pozwól, że czaru użyję, żeby myśl odegnać, jest ona dzieckiem troski i ojcem smutku. – Meriven zerwała z drzewa zieloną gałązkę, zgięła ją i machnęła, wypowiadając przy tym kilka słów. Gałązka stała się harfą. Meriven zagrała na niej, śpiewając mu pieśni miłosne. Kołysały go one przyjemnie, a jednak...

Gdy, wracając, zbliżali się już do zamku, Meriven nagle chwyciła go za ramię.

– Tam, patrz! – szepnęła. – Jednorożec! Rzadko się teraz w tych stronach pokazują.

Zobaczył piękne, białe zwierzę, przemykające się między drzewami. Na rogu wisiał zabłąkany pęd bluszczu. Chwileczkę. Holger wytężył wzrok, starając się pokonać półmrok. Tam z boku ktoś chyba idzie?

Meriven sprężyła się jak pantera.

– Jeśli podkradniemy się bliżej... – szepnęła. Jej koń ruszył naprzód, bezgłośnie stawiając kopyta na miękkim mchu.

Jednorożec stanął, obejrzał się na nich i już go nie było – jasny cień, gwałtownie niknący z pola widzenia. Meriven zaklęła z zupełnie niekobiecą wymyślnością. Holger nic nie powiedział, gdyż zobaczył kto towarzyszył jednorożcowi. Na chwilę jego oczy spotkały się z oczami Alianory. Teraz również jej już nie było.

– No cóż, takie jest życie – Meriven wróciła do niego i pojechali dalej razem. – Och, nie martw się tak bardzo, mój panie. Może później zbierzemy grupę i wytropimy tę bestię.

Holger chciałby w tej chwili być nieco lepszym aktorem. Nie może pozwolić, żeby odgadła, że narosły w nim nagle podejrzenia. Jednocześnie sam musiał je dobrze przemyśleć. Nie chodziło o to, że nagle miał jakieś nowe powody, żeby myśleć źle o Faerie: po prostu widok Alianory coś w nim poruszył. Potrzebna mu była rada Hugiego.

– Wybacz mi, pani – powiedział – chciałbym wziąć kąpiel przed obiadem.

– Och, moja wanna jest dostatecznie duża dla nas obojga i kilku przyjemnych ćwiczeń, których mogłabym cię nauczyć – zaproponowała.

Holger żałował, że nie ma hełmu, który zakryłby mu uszy. Czuł, że są rozżarzone.

– Chciałbym się też chwilę zdrzemnąć – tłumaczył się niezręcznie. I w przypływie natchnienia: – Muszę być w jak najlepszej formie na później. Dla ciebie. Mam przecież tylu konkurentów.

Elfia muzyka otoczyła go, wdarła się w niego. Nie znał majestatycznych układów tanecznych, które obserwował wokół siebie, ale Meriven szybko nauczyła się kroku foxtrota i Holger stwierdził, że nigdy nie miał lepszej partnerki. Nie bardzo wiedział jak długo trwał ten bal. W pewnej chwili wymknęli się we dwoje do ogrodu, pili z fontanny, z której tryskało wino, śmiali się i już nie wrócili. Reszta nocy była równie przyjemna jak najlepiej wspominane z tych, które miał już za sobą, albo nawet bardziej.

Rozdział VIII

W tej krainie nie istniały prawdziwe poranki czy wieczory, jasne dni ani ciemne noce. Jej mieszkańcy zdawali się regulować te sprawy według własnego widzimisię. Holger budził się powoli i w znakomitym nastroju. Stwierdził, że jest znowu sam. W idealnie właściwym momencie drzwi się otworzyły i wszedł goblin, niosąc tacę ze śniadaniem. Musieli chyba użyć magii, żeby poznać jego gust kulinarny – żadnych kontynentalnych nonsensów, tylko dobre, amerykańskie śniadanie: jajka na szynce, grzanki, gryczane ciastka, kawa i sok pomarańczowy. Gdy już wstał i ubrał się, przyszedł Hugi. Minę miał dość zafrasowaną.

– Gdzie ty byłeś? – spytał Holger.

– Och, spałem tamój w ogrodzie. Wydało mi się, że najwłaściwiej tak będzie, gdy ty... hmmm... byłeś zajęty. – Krasnolud usiadł na podnóżku – brązowa plama, zupełnie nie na miejscu w tym złocie, szkarłacie i purpurze. Pogładził się po brodzie. – Cosik tu wisi w powietrzu i mnie się to nie podoba.

– Po prostu jesteś do nich uprzedzony – powiedział Holger. Myślał przede wszystkim o tym, że umówił się z Meriven na polowanie z sokołami.

– Och, oni potrafią pięknie się pokazać i w głowie ci zawrócić różnymi winami i pannicami wielce chętnymi – wymamrotał Hugi – jeno że przyjaźni między ludźmi a Faerie nigdy za wiele nie było, a nynie, kiej Chaos k'wojnie się zbiera to już najmniej. Ja tam swoje wiem. A i zobaczyłem co nieco, kiej w onym ogrodzie leżałem. Wielkie błyski światła na najwyższej wieży i postać jakoby demona odlatującą w dymie, a smród czarnoksięstwa był taki, że mało, a krew by mi się w żyłach ścieła. A później jeszcze inna postać z zachodu w pośpiechu nadleciała, lądowała na wieży i wlazła do środka. Tak mi się widzi, że książę dziwadło jakoweś nieczyste na pomoc zawezwał.

– No cóż, pewnie tak – powiedział Holger. – Mówił mi, że tak zrobi.

– Baw się, baw – mamrotał dalej Hugi. – Raduj się w paszczy wilka siedząc. A kiej twoje martwe ciało krukom na pożarcie wywloką, nie gadaj żem cię nie ostrzegał.

Holger wyszedł na schody i zaczął schodzić w dół. Resztki obiektywizmu zmusiły go do rozważenia słów krasnoluda. To rzeczywiście mógł być podstęp, który miał go tu tutaj zatrzymać, aż będzie za późno... Za późno na co? Przecież gdyby planowali coś złego, mogli go z łatwością zasztyletować albo otruć. Potrafił stawić czoła jednemu z ich rycerzy – który zaatakował go prawdopodobnie tylko dlatego, że Holger miał tarczę jakiegoś tajemniczego paladyna o herbie z trzech serc i trzech lwów – ale przecież nie dałby rady tuzinowi. Dałby im radę? Opuścił dłoń na rękojeść miecza. Dobrze było mieć coś takiego przy sobie.

Meriven nie ustaliła dokładnej godziny – chyba nikt tu nie mierzył upływu czasu. Holger włóczył się przez chwilę po głównej sali audiencyjnej. Potem przyszło mu do głowy, że mógłby odszukać księcia i spytać go, czy jest coś nowego w jego sprawie. Wypytał ponurego kobolda-niewolnika i dowiedział się, że pokoje pana tego zamku znajdują się w północnym skrzydle, na pierwszym piętrze. Pogwizdując wesoło wspiął się na szerokie schody, przeskakując po trzy stopnie na raz.

Dotarł na górę w tym samym momencie, w którym z położonych naprzeciw drzwi wyszedł Alfrik w towarzystwie jakiejś kobiety. Holger widział ją tylko przez chwilę, gdyż od razu weszła z powrotem do pokoju, jednak i tak był oszołomiony. Ten świat wydawał się pełen istot o nadzwyczajnej urodzie. Była człowiekiem, wyższa i pełniejsza w kształtach niż kobiety z Faerie; długie, ciemne jak noc włosy nosiła zwinięte pod złotym diademem; biała, atłasowa suknia zamiatała podłogę. Jej twarz miała bladość kości



rzec prawdę to nigdy nie było mówione jakoby jeden był synem drugiego, jako iż ich ojcami byli Pepini Godfred, czy raczej powinnam powiedzieć odwrotnie... jednak, w pewnym sensie król jest ojcem swego wasala i...

– Nie jestem żadnym z tych gentelmanów – powiedział Holger, żeby położyć tamę potokowi słów. – To czysty przypadek, że się tak nazywam.

Odprężyła się i z kociołka nałożyła mu miskę gulaszu. Zaatakował go natychmiast, nie zawracając sobie głowy martwieniem się o zarazki czy trucizny. Dostał również chleb i ser, które musiał odcinać swym nożem i jeść palcami, a także kufel wyjątkowo dobrego piwa. Minęło sporo czasu, zanim wyprostował się, odetchnął i powiedział:

– Dziękuję. Uratowało mi to życie, a przynajmniej rozsądek.

– To nic, panie, prostacka to strawa dla takiego jak ty, co często z królami i książętami jadać musiał i słuchał minstreli z Prowansji, ich pieśni i sztuczek wymyślnych, a ja, mimo że stara i niewprawna, to jednak na twą cześć pozwolę sobie...

– Pani piwo jest wyśmienite – powiedział Holger pośpiesznie. – Nie wiedziałem, że istnieje tak znakomity gatunek. Chyba... – zamierzał powiedzieć: „Chyba wasz lokalny browar jakimś cudem ominęła dotychczas zasłużona sława", ale przerwała mu z przebiegłym chichotem:

– Och, zacny sir Holgerze, z pewnością musisz być rycerzem, jeśliś nie wyższego nawet stanu, tak przenikliwym i spostrzegawczym jesteś człowiekiem. W jednej chwili przejrzałeś małe sztuczki biednej starej kobiety. I jakkolwiek większość z podobnych tobie wzdraga się na takie niewinne zaklęcia i nazywa je wymysłami Szatana, choć po prawdzie w podstawach swoich nie różnią się one wcale od cudotwórskich praktyk niektórych świętych, którzy czynią swoje cuda zarówno dla pogan, jak i chrześcijan, to jednak musisz być świadom ilu tutaj na tych pogranicznych ziemiach para się taką pomniejszą magią, tyle dla swej własnej ochrony przed siłami Środkowego Świata, ile dla wygody i zysku, i sam pojmujesz w swej łaskawości, że nie byłoby to bardzo sprawiedliwe palić biedną starą poczciwinę za wyczarowanie odrobiny piwa, żeby ogrzewało jej stare kości w zimowe noce, podczas gdy tylu jest i to tak potężnych czarowników, otwarcie frymarczących czarną magią, na których kara ciągle nie spada i...

A więc jesteś wiedźmą?, pomyślał Holger. A ja to powinienem zauważyć. Co ona mu wmawia? Co to za maskarada?

Pozwolił jej mamrotać dalej, zastanawiając się ze zdumieniem nad językiem. Była to dziwna mowa, w jego własnych ustach twarda i dźwięczna, archaiczny francuski z dużą domieszką słów niemieckich – język, który być może byłby w stanie powoli rozszyfrować w książce, jednak z pewnością nie potrafiłby w nim mówić i to z taką łatwością, jakby to robił od dziecka. W jakiś sposób przeniesienie do... – gdziekolwiek to było – wyposażyło go w umiejętność porozumiewania się w lokalnym dialekcie.

Nigdy nie miał specjalnego upodobania do czytania beletrystyki – science fiction czy innej, jednak coraz silniej i silniej był pchany ku stwierdzeniu, że jakiś nieprawdopodobny splot wydarzeń przerzucił go w przeszłość. Ta chata, ta starucha, która przyjęła jego rycerski ekwipunek za zupełnie naturalny, i język, i ta bezkresna puszcza... Ale g d z i e się znajdował? W Skandynawii nigdy nie mówiono w ten sposób. Niemcy, Francja, Brytania?... Jeśli jednak znalazł się w średniowieczu, to co tu robił lew, albo co znaczyła ta rzucona mimochodem wzmianka o życiu na granicy magicznej krainy, Faerie?

Dał spokój spekulacjom. Kilka bezpośrednich pytań bardziej może tu pomóc.

– Matko Gerdo? – zaczął.

– Tak, zacny panie. Z każdą posługą, jaką mogę ci wyświadczyć zaszczyt spływa na ten skromny dom, więc tylko wypowiedz swe pragnienia, a w wąskich granicach moich możliwości uczynię wszystko, czego sobie życzysz. – Pogłaskała kota, który nieprzerwanie obserwował Holgera.

– Możesz mi powiedzieć, który teraz jest rok?

– Och, dziwne pytanie zadajesz, dobry rycerzu, i pewnie to ta rana na twej głowie, odniesiona niechybnie w heroicznej walce z jakimś potwornym trollem lub olbrzymem zmąciła trochę pamięć mego do-

Ciągnął dalej flirt w tym stylu przez cały bankiet, który zdawał się trwać wiele godzin. Gdy wreszcie się skończył, towarzystwo przeszło na tańce, do sali chyba nawet większej niż jadalna. Jednak gdy tylko zabrzmiała muzyka, książę Alfrik odciągnął Holgera na bok.

– Chodź teraz ze mną na chwilę, szlachetny panie – powiedział. – Lepiej od razu, w cztery oczy, przedyskutujmy twój problem, żebym miał trochę czasu nad nim pomyśleć. Później jak przypuszczam, nasze panie raczej nie pozwolą ci cieszyć się spokojem.

– Dziękuję, panie – powiedział Holger, nieco niezadowolony. W tej chwili rzeczywistość niezbyt go obchodziła.

Nieśpiesznym krokiem wyszli do ogrodu, znaleźli ławkę, skrytą pod świecącymi gałęziami wierzby i usiedli. Przed nimi pląsała woda w fontannie, z tyłu śpiewał słowik.

– Powiedz, co chciałeś rzec, sir 'Olgerze – zachęcił Alfrik.

Nie było powodu, żeby cokolwiek ukrywać. Jeżeli Faryzeusz posiadał moc, która jego, Holgera, mogła wysłać z powrotem do domu, to powinien dokładnie orientować się w sytuacji. Tylko jak zacząć? Jak można opowiedzieć cały świat?

Holger starał się, jak potrafił. Alfrik od czasu do czasu pomagał mu jakimś bardziej szczegółowym pytaniem. Ani razu nie okazał zdziwienia, jednak gdy Holger skończył, zamyślił się głęboko. Oparł łokcie na kolanach i wyjął sztylet z białego metalu, który nosił przy pasie. Obracał go jakby bezwiednie w palcach i Holger przeczytał wygrawerowaną na nim inskrypcję. „Płomienne Ostrze". Zastanawiał się, co to może znaczyć.

– Dziwna opowieść – powiedział Alfrik. – Najdziwniejsza z tych, które dotąd słyszałem. Jednak myślę, że jest w niej prawda.

– Czy... czy możecie mi pomóc, panie?

– Nie wiem, sir 'Olgerze – zwracanie się do ciebie w ten sposób w dalszym ciągu wydaje się najbardziej odpowiednie. Nie wiem. W przestrzeni jest wiele światów, czarownicy i astrologowie od dawna zdają sobie z tego sprawę, ale wielość wszechświatów to całkowicie odrębna koncepcja, o której tylko niejasne wzmianki można znaleźć w pewnych starożytnych pismach. Jeżeli słuchałem cię, nie popadając w obezwładniające zdumienie, to tylko dlatego, że ja sam czyniłem pewne spekulacje na temat istnienia innej Ziemi, takiej, jaką ty opisujesz. To ona może być źródłem pewnych mitów i legend, jak opowieści o Fryderyku Barbarossie czy wielkie, epickie pieśni o cesarzu Napoleonie i jego herosach. – Jakby do siebie Alfrik wymruczał kilka linii:

Gerard li vaillant, brigadier magnes,
tres ans tut pleins ad esté an Espagne
combattant contre le Grande-Bretagne.

Wstrząsnął się i ciągnął dalej nieco żywszym tonem:

– Leży w mej mocy przywołanie duchów, które mogą udzielić rad. Zajmie to bez wątpienia trochę czasu, zrobimy jednak co będziemy mogli, żeby okazać ci gościnność. Myślę, że możemy mieć poważne nadzieje na ostateczny sukces.

– Naprawdę jesteście, panie, aż nadto dla mnie uprzejmi – powiedział Holger zakłopotanym tonem.

– Nie – Alfrik machnął ręką. – Wy, śmiertelni, nie wiecie jak nużące może się stać życie nie mające końca i jak chętnie wita się w nim takie, jak to, urozmaicenia. To ja powinienem ci podziękować.

Wstał, uśmiechając się.

– A teraz, jak sądzę, chętnie wrócisz na tańce – powiedział. – Baw się dobrze, przyjacielu.

Holger wracał w upojnym nastroju. Zbyt pochopnie oceniał ten Środkowy Świat. Nikt nie mógłby być równie układny i uprzejmy jak Faryzeusze. Lubił ich!

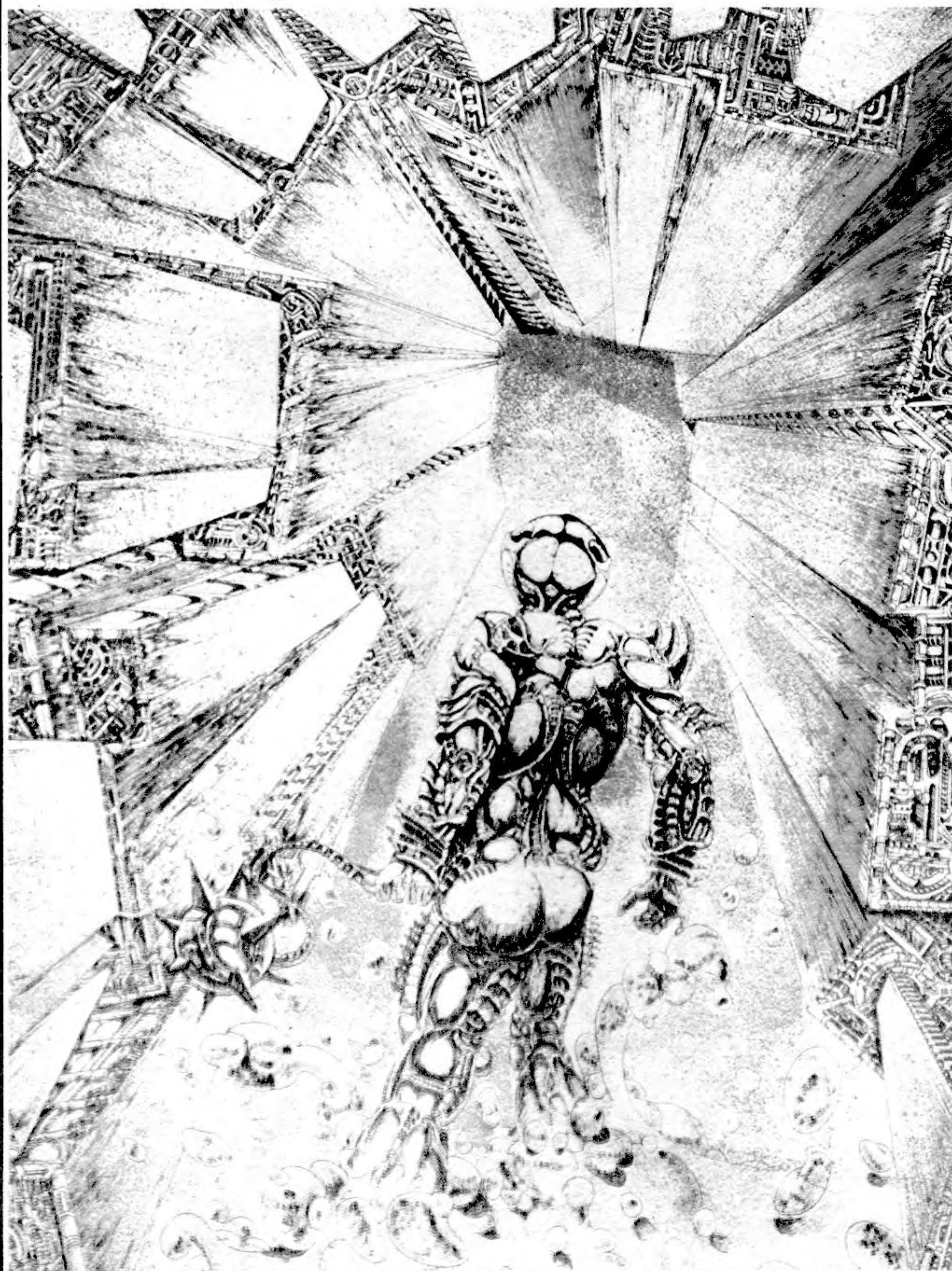
Gdy wszedł do sali balowej, Meriven oderwała się od grupy kilku innych pań. Zawisła mu na ramieniu i powiedziała kokieteryjnie:

– Sama nie wiem dlaczego to robię, panie rycerzu. Odszedłeś, nie mówiąc ani słowa i zostawiając mnie zupełnie samą.

– Teraz postaram się to nadrobić – powiedział Holger.

Juraj Maxon

Już niedługo w naszej Galerii








GALERIA

kawami, purpurowa kamizela z atłasu, karminowe, obcisłe portki, krótka, błękitna peleryna, czarne pantofle z aksamitu, wszystko wyszywane złotą nicią, ozdobione kamieniami i obszyte miękkim, dziwnym futrem – ten strój jeszcze bardziej poprawił jego samopoczucie. Zauważył, że w rogu pokoju leży broń i wyposażenie towarzyszące, łącznie z mieczem o półokrągłym jelcu. Dobrze to świadczyło o takcie Alfrika, jakkolwiek nie leżało tu chyba w zwyczaju zabieranie broni na obiad.

– Zaiste godnie się prezentujesz, sir Holgerze – podziwiał Hugi. – Może jakieś damy tutejsze zawojujesz. One tu nie od tego, powiadają.

– Chciałbym wiedzieć dlaczego wszyscy oni stali się nagle tacy przyjaźni – powiedział Holger. – Czy Faryzeusze nie mają, łagodnie mówiąc, na pieńku z ludźmi? Czemu Alfrik tak się dla mnie stara?

– Tego ci nie powiem, chłopcze. Może to jeno sidła na ciebie zastawione. A może bawi go świadczyć ci grzeczności. Nie zgadniesz co oni z Faerie pomyślą albo zrobią. Sami siebie nie znają, ani też dbają o to.

– Czuję się winny, że pozwalam, żebyś ty tutaj samotnie siedział i żeby Alianora koczowała w lesie.

– Och, pewnikiem przyniosą mi jakieś jedzenie, a i pannie lepiej być, gdzie jest. Wiem, co ona zamyśliła. Ja tutaj radą i czynem mam ci dopomagać, zaś ona za murami czeka, żeby zrobić co będzie mogła w razie potrzeby.

Pojawił się goblin, służalczo anonsując, że obiad został podany. Holger poszedł za nim przez dymnobłękitne sale i w końcu znalazł się w pomieszczeniu tak ogromnym, że niemal nie widział jego przeciwnego końca i sufitu. Panowie i damy z Faerie otaczali stół jak tęcza, w której wymieszano kolory. Wokół krzątali się niewolnicy, skądś dobiegała muzyka, rozmowy i śmiech tańczyły ponad ciszą, która w jakiś sposób ciągle wisiała w powietrzu.

Holger został posadzony po lewej stronie Alfrika, po swojej lewej mając dziewczynę, przedstawioną mu jako Meriven. Wrażenie, jakie zrobiła na nim jej twarz i figura było tak wielkie, że ledwo usłyszał imię. Usiadł, czując watę w kolanach i spróbował nawiązać rozmowę.

Odpowiedziała ochoczo, mimo nieporadności jego starań. Z tego, co udało mu się dotychczas usłyszeć Holger wywnioskował, że rozmowa była tutaj subtelną sztuką: szybka, błyskotliwa, poetycka, cyniczna, zawsze ze śladem złośliwości, zawsze poddana złożonym zasadom, których jeszcze nawet nie zaczął pojmować. No cóż, pomyślał, nieśmiertelni, którzy nie mieli nic innego do roboty poza polowaniami, magią, intrygami i wojnami z czystej konieczności musieli rozwijać sofistykę. Nie słyszeli tutaj o widelcach, ale jedzenie i wiele gatunków win było symfonią. Gdyby tylko Meriven nie przyciągała tak jego myśli. Był to typowy *embarras de richesses.*

– Doprawdy – szepnęła, przykuwając jego wzrok tymi dziwnymi oczami, które u niej jakoś mu nie przeszkadzały – dzielnym jesteś człowiekiem, skoro tutaj przyszedłeś. To śmiertelne uderzenie, które zadałeś swemu przeciwnikowi, och, to było naprawdę piękne!

– Widziałaś? – spytał ostro.

– Tak, w Czarnej Studni. Obserwowałam cię. A co do tego, czy tylko żartowaliśmy, czy też naprawdę nastawaliśmy na twe życie, no cóż, sir 'Olgerze, dla młodego człowieka nie zawsze jest dobrze wiedzieć zbyt wiele. Odrobina niepewności chroni go przed ociężałością. – Zaśmiała się słodko. – Ale co cię tu sprowadza?

Uśmiechnął się.

– Również młode damy zbyt wiele nie powinny wiedzieć – odpowiedział.

– Ach, okrutnik! Jednak jestem rada, że przyjechałeś. – Zwracając się do niego, użyła formy, jaka była używana między przyjaciółmi. – Mogę tak do ciebie mówić, szlachetny panie? Jest między nami pokrewieństwo dusz, nawet jeżeli od czasu do czasu znajdujemy się w stanie wojny.

– Najdroższy nieprzyjaciel – powiedział Holger. Opuściła wzrok, uśmiechając się z uznaniem. Jego własne oczy również jakby miały tendencję do wędrowania w dół – ten jej dekolt! Przeszukał pamięć, starając się znaleźć więcej cytatów z Szekspira. Sytuacja była jakby dla nich stworzona.

broczyńcy; ale po prawdzie, choć rumienię się musząc to wyznać, takie rachuby dawno mi się już wymknęły, tym bardziej że czas często bywa wielce nieodgadniony tutaj, na skrzydle świata odkąd...

– Nieważne. A co to za kraj? Jakie królestwo?

– Zaprawdę, jasny rycerzu, zadajesz pytanie nad którym wielu uczonych łamało sobie głowy i wielu wojowników łamało głowy sobie nawzajem. Heee, heee! Długi czas to pogranicze było przedmiotem dysputy między synami ludzi i ludem Środkowego Świata i srożyły się wojny i wielkie czarnoksięskie spory, a teraz mogę tylko rzec, że zarówno Faerie, jak i Święte Imperium roszczą sobie do niego prawa i żadne z nich tu naprawdę nie włada, jakkolwiek prawa ludzi wydają się nieco mocniejsze przez to, że nasza rasa rzeczywiście się tu osiedla i zostaje; a może jakieś pretensje do tych ziem i Saracenowie mieć mogą, zważywszy, że mówi się jakoby ich Mahound sam był złym duchem, przynajmniej chrześcijanie tak twierdzą. Co, Grimalkin? – poklepała szyję kota.

– No więc... – Holger rozpaczliwie czepiał się resztek cierpliwości. – Gdzie mogę znaleźć ludzi... chrześcijan, powiedzmy... którzy mi pomogą? Gdzie jest najbliższy król, książę albo ktokolwiek taki?

– Jest miasto niezbyt wiele mil stąd według ludzkiej miary odległości – powiedziała – muszę jednak ostrzec, że przestrzeń tak jak czas, jest dziwacznie tu naruszona przez czarnoksięstwo wiejące od Faerie i czasem miejsce, ku któremu zmierzasz wydaje się niedalekie, a potem znów odpływa w rozległe i uciążliwe obszary najeżone niebezpieczeństwem, a i sama ziemia i droga, po której stąpasz nie są już takie same...

Holger zrezygnował. Gdy poniósł klęskę, potrafił się do niej przyznać. Albo ta wiedźma była bredzącą idiotką, albo z rozmysłem starała się go zmęczyć. W żadnym przypadku nie mógł liczyć na jakieś konkretne wiadomości.

– Jednak jeśli rada jest tym, czego potrzebujesz – powiedziała nagle Gerda – to mimo że moje własne myśli są częstokroć splątane, jak to w starych głowach bywa, a Grimalkin choć niezwykle sprytny, jest niemy, możliwym jest, żeby rada dla ciebie została przyzwana, a z nią razem sposób, który uszczerbek w tobie usunie i całym cię znów uczyni. Nie sróż się, jasny panie, jeśli odrobinę magii tu zaproponuję, gdyż biała ona jest... lub szara w najgorszym razie; gdybym była potężną czarownicą, czy myślisz, że ubierałabym się w te łachmany i mieszkała w takiej chacie? Nie, pałac ze złota byłby wtedy dla mnie, i słudzy na każdą okazję powitaliby ciebie. Jeśli, za twym przyzwoleniem, ducha mogłabym przywołać, tylko malutkiego duszka, on by ci powiedział to, co sam lepiej niż ja byś zrozumiał.

– Hmm – Holger uniósł brwi. No dobrze, teraz wszystko się wyjaśniło. Ona jest stuknięta. Lepiej jej potakiwać, jeśli ma zamiar spędzić tutaj noc.

– Jak sobie życzysz, matko.

– Teraz widzę, że naprawdę z przedziwnych miejsc musisz przybywać – powiedziała – gdyż nawet się nie przeżegnałeś, zaś inni rycerze nieodmiennie Najwyższego wzywają, i częstokroć wielkimi zaklęciami, za które ogień piekielny będą cierpieć, a przecież nie żyją nadmiernie bogobojnym życiem; musi jednak Imperium używać tych marnych nawet narzędzi, które znaleźć może na tym niegodziwym, nędznym świecie. Ty nie jesteś z takich, sir Holgerze, ani pod jednym, ani pod drugim względem, co może nasunąć pytanie, czy naprawdę nie pochodzisz z Faerie. Spróbujemy jednak coś zrobić w tej materii, jednak muszę cię uprzedzić, że duchy są istotami nieobliczalnymi i mogą w ogóle nie dać odpowiedzi, albo udzielić takiej, która ma więcej niż jedno znaczenie.

Kot zeskoczył ze skrzyni i Gerda ją otworzyła. W jej zachowaniu było jakieś dziwne szyderstwo i Holger mocno się zastanawiał do czego ona zmierza. Poczuł, że po plecach przebiega mu zimny dreszcz.

Wyjęła ze skrzyni kociołek na trójnogu, ustawiła go na podłodze i napełniła jakimś pyłem z butelki. Wyjęła również krótki pręt, wykonany chyba z hebanu i kości słoniowej. Mamrocząc i gestykulując narysowała wokół kociołka dwa koncentryczne kręgi i stanęła wraz z kotem między nimi.

– Ta linia w środku ma zatrzymać samego demona, a ta na zewnątrz wszelkie czary, jakie mógłby rzucić, bo one często bywają kapryśne, gdy są przyzywane tak pośpiesznie – wyjaśniła. – Muszę cię błagać, panie, żebyś nie modlił się, ani nie czynił znaku krzyża, bo demon natychmiast by odszedł i to w jak naj-

gorszym humorze. – Jej głos po prostu stwierdzał fakt, ale oczy połyskiwały w jego stronę i Holger żałował, że nie umie odczytywać ich wyrazu.

– Zaczynaj już – powiedział trochę zbyt ochryple.

Zaczęła tańczyć wokół wewnętrznego kręgu i wydawało mu się, że wychwycił coś z jej zaśpiewu. „Amen, amen..." Tak, wiedział jakie słowa teraz padną, chociaż nie potrafiłby powiedzieć skąd. „...malo a nos libera sed..." Nie potrafił też powiedzieć, dlaczego dostał gęsiej skórki. Przestała mówić po łacinie i przeszła na piskliwy język, którego nie mógł rozpoznać. Dotknęła różdżką kociołka. Zaczął się z niego wydobywać gęsty, biały dym, który niemal ją zasłonił, ale, co ciekawe, nie wypłynął poza zewnętrzny krąg.

– O Beliya'al, Ba'al Zebub, Abaddon, Ashmadai! – wrzasnęła. – Samiel, Samiel, Samiel!

Czy dym zgęstniał? Holger zerwał się z krzesła. Ledwie mógł dostrzec Gerdę przez zabarwioną na czerwono mgłę. Wydawało mu się, że coś jeszcze wisi nad kociołkiem, coś szarego i podobnego do węża, na wpół przezroczystego... na Niebiosa, zobaczył szkarłatne oczy, a ta postać przybrała kształt niemal ludzki!

Usłyszał jak mówi, świszczącym, nieczłowieczym głosem, a stara kobieta odpowiada w języku, którego nie znał. Brzuchomówstwo, powiedział sobie pośpiesznie, brzuchomówstwo i omamy, zrodzone w jego własnym, zamroczonym zmęczeniem umyśle, tylko to, tylko to. Papillon rżał i szarpał się w stajni. Holger opuścił dłoń ku nożowi. Ostrze było gorące. Czy magia, wymamrotał, pobudza prądy wirowe?

Istota w dymie świszczała i prychała i wyginała się gwałtownie. Rozmawiała z Gerdą bardzo długo, jak się zdawało. W końcu starucha podniosła różdżkę i zaczęła inny zaśpiew. Dym zaczął się przerzedzać, jakby wsysany z powrotem do wnętrza kociołka. Holger zaklął drżącym głosem i sięgnął po piwo.

Kiedy dym już całkowicie zniknął, Gerda wyszła poza krąg. Jej twarz była znowu bez wyrazu, obojętna, oczy na wpół przykryte powiekami. Jednak Holger zauważył jak drżała. Kot wypiął grzbiet, wyprężył ogon i splunął na niego.

– Dziwna odpowiedź – powiedziała po chwili zupełnie obojętnym głosem. – Dziwną dał mi demon odpowiedź.

– Co powiedział? – wyszeptał Holger.

– Powiedział... Samiel powiedział, że jesteś z daleka, z tak daleka, że człowiek mógłby do dnia Sądu Ostatecznego podróżować i nie dotrzeć do twego domu. Nie jest tak?

– Tak – powiedział Holger powoli. – Tak, myślę, że to może być prawda.

– I powiedział jeszcze, że pomoc w twych opałach, sposób wrócenia cię skąd przybyłeś, znajduje się w Faerie. Tam musisz się udać, sir... sir Holgerze. Musisz jechać do Faerie.

Zupełnie nie wiedział co odpowiedzieć.

– Och, to nie takie straszne jak wygląda – Gerda rozluźniła się nieco. Nawet zachichotała, czy raczej kaszlnęła. – Jeśli już cała prawda musi wyjść na jaw, to jestem w stosunkach nie całkiem nieprzyjaznych z księciem Alfrikiem, najbliższym z Panów Faerie. Jest trochę drażliwy, jak cały ich rodzaj, ale pomoże ci jeśli poprosisz, tak powiedział demon. A ja mogę dostarczyć przewodnika, żebyś szybko tam dotarł.

– D...dlaczego? – zająknął się Holger. – To znaczy, nie bardzo mogę zapłacić.

– Nie trzeba zapłaty – Gerda niedbale machnęła ręką. – Dobry uczynek może przez przypadek być mi policzony, gdy opuszczę ten świat dla innego, obawiam się o nieco cieplejszym klimacie. A w każdym razie, starej babci sprawia przyjemność pomaganie takiemu przystojnemu młodemu mężczyźnie, jak ty. Ach, był taki czas, jak to już dawno... Ale dość tego. Daj mi opatrzeć twą ranę, a potem jazda do łóżka.

Holger pozwolił, żeby przemyła zranienie i przywiązała, mamrocząc zaklęcia, okład z ziół. Był już zbyt zmęczony na sprzeciwianie się czemukolwiek. Jednak zostało w nim tyle ostrożności, żeby odrzucić propozycję zajęcia jej materaca i zamiast tego spał na sianie obok Papillona. Nie miało sensu kusić losu bardziej, niż to było konieczne. Ta chata była dziwna, łagodnie mówiąc.



czy Alfrik już zrozumiał, że Holger wcale nie jest tym, którego on chce zabić? A bez względu na to, czy zrozumiał, co się naprawdę dzieje pod maską tej gładkiej twarzy?

– Dziękuję waszej łaskawości – powiedział głośno.

– Z bólem muszę prosić, żebyś zostawił krzyż i żelazo na zewnątrz, ale znasz przecież nieszczęsną słabość naszej rasy – powiedział Alfrik dwornie. – Nie obawiaj się, dostaniesz inną broń w zamian.

– W waszym zamku, panie, nie mogą kryć się żadne groźby – odpowiedział Holger, dziwiąc się jak łatwo przychodzą mu kłamstwa.

Alianora przestąpiła z nogi na nogę.

– Przypilnuję twego dobytku, Holgerze – powiedziała. – Ja wolę zostać za bramą.

Alfrik i inni Faryzeusze zwrócili na nią swe szerokie, puste oczy.

– Toż to łabądziewa, o której tyle słyszeliśmy – książę uśmiechnął się. – Nie, piękna panno, złym byśmy się okazali gospodarzem, gdybyś również ty u nas schronienia nie znalazła.

Potrząsnęła z uporem głową. Alfrik lekko zmarszczył brwi.

– Czyżbyś odmawiała? – syknął.

– Odmawiam – powiedziała krótko.

– Ja tu przy niej ostanę – wtrącił się pośpiesznie Hugi.

– Nie, ty pójdziesz z sir Holgerem – powiedziała dziewczyna.

– Ale...

– Słyszałeś, co powiedziałam.

Alfrik wzruszył ramionami.

– Gdybyś zechciał do nas dołączyć, panie rycerzu... – zasugerował.

Holger zsiadł z konia i zdjął zbroję. Faryzeusze odwrócili wzrok, gdy dotknął swego miecza, w którym jelec tworzył ramiona krzyża. Papillon zarżał i spojrzał na ich konie. Alianora załadowała ekwipunek na ogiera i ujęła wodze.

– Poczekam na ciebie w lesie – powiedziała i odeszła razem z koniem. Holger patrzył za nią aż zniknęła mu z oczu.

Orszak wjechał do zamku. Dziedziniec był bardzo obszerny, z drzewami i kwiatami w donicach, szumiącymi wodą fontannami, muzyką i z powietrzem przesyconym zapachem róż. Holger zauważył grupę kobiet z Faerie, zebranych przed głównym budynkiem i przyglądających mu się uważnie. Na chwilę zapomniał o wszystkim innym. No, no... Warto było przemierzyć wszechświat, żeby chociaż przez chwilę na nie popatrzeć. Ukłonił im się, ciągle oszołomiony.

Alfrik kazał niskiemu, zielonoskóremu niewolnikowi zaprowadzić Holgera do jego kwatery.

– Oczekujemy cię na obiedzie – powiedział.

Holger i depczący mu po piętach Hugi przeszli wzdłuż długich, wysokich korytarzy, poskręcanych jak labirynt, ze ścianami jaśniejącymi przyćmionym światłem. Przez zwieńczone łukami wejścia widział fragmenty komnat, błyszczących drogimi kamieniami. Oczywiście, pomyślał, starając się zachować spokój ducha, co w tym dziwnego, jeżeli można takie rzeczy wyczarować wprost z powietrza...

Wspięli się na długie, biegnące łukiem schody, minęli obszerną salę i weszli do apartamentu, składającego się z kilku jakby wyjętych z baśni z tysiąca i jednej nocy pomieszczeń. Goblin ukłonił się w pas i wyszedł. Holger rozejrzał się. Połyskujące dywany, mozaiki z kamieni szlachetnych, gobeliny tkane złotą nicią. Wyjrzał przez balkonowe okna, wychodzące na wieloakrowy ogród. Stożkowe lampy płonęły czystym, nieruchomym światłem. Na jednej ze ścian wisiał gobelin, na którym sceny z wolna się zmieniały, opowiadając historię, od której Holger z lekkim drżeniem odwrócił oczy.

– Rzec można, niezgorzej sobie tutaj radzą – stwierdził Hugi. – Jeno cały ten kram z ochotą na mój stary dąb bym zamienił. Nieczyste są te mury.

– Bez wątpienia. – Holger wszedł do łazienki, w której znalazł wszelkie wygody własnego domu, mydło, bieżącą wodę, nożyczki, ostrza do golenia, szklane lustro, a jednak nic tu nie było takie, jak w domu. Mimo wszystko wyszedł z niej wyraźnie odświeżony. Na łóżku leżał strój, który najwyraźniej był przeznaczony dla niego – kiedy go włożył, leżał na nim jak druga skóra. Jedwabna koszula z długimi rę-

Rozdział III

Obudziwszy się, leżał przez jakiś czas w półśnie, aż przypomniał sobie gdzie jest. Senność natychmiast go opuściła. Usiadł z jękiem i rozejrzał się wokół.

Tak, stajnia! Prymitywne, mroczne pomieszczenie, wypełnione zapachem siana i gnoju, czarny koń, pochylający się nad nim i delikatnie trącający go pyskiem. Podniósł się na nogi, wyskubując z ubrania źdźbła siana.

Promienie słoneczne przecięły półmrok, gdy Matka Gerda otworzyła drzwi.

– Ach, dzień dobry, jasny panie – krzyknęła. – Zaprawdę spałeś snem sprawiedliwego, albo tym, co mówią, że jest snem sprawiedliwego, chociaż w moim życiu niejednokroć widziałam dobrych ludzi, co całą noc rzucali się bezsennie i ludzi podłych, którzy dach swym chrapaniem wstrząsali, i rankiem nie miałam serca cię budzić. Ale teraz chodź i zobacz, co na cię czeka.

Okazało się to być miską owsianki, znowu chlebem, serem i piwem i kawałem na wpół ugotowanego boczku. Holger zjadł wszystko z apetytem, a potem z tęsknotą pomyślał o papierosie i kawie. Na szczęście wojenne braki odzwyczaiły go nieco od tych przyjemności. Zadowolił się więc energicznym myciem w korycie z wodą na zewnątrz chaty.

Kiedy znowu wszedł do środka, stwierdził, że przybył nowy gość. Zauważył go dopiero, gdy jakaś dłoń szarpnęła jego spodnie i basowy głos zahuczał:

– Tum jest.

Holger spojrzał w dół i zobaczył krępego, brązowego jak ziemia mężczyznę z uszami jak uchwyty od kufli, z ogromnym nosem, białą brodą i bosymi, płaskimi stopami, ubranego w brązową kurtę i spodnie. Osobnik ten nie miał nawet trzech stóp wzrostu.

– To jest Hugi – powiedziała Matka Gerda. – Będzie twoim przewodnikiem do Faerie.

– Ummm... miło pana poznać – powiedział Holger. Potrząsnął twardą i ciepłą dłonią karła, co chyba wprawiło go w osłupienie.

– A teraz pora ruszać – powiedziała wesoło stara kobieta – jako że słońce już wysoko, a przed wami ciężka droga przez okolice wielce niepewne. Nie obawiaj się jednak, sir Holgerze. Hugi jest z leśnego plemienia i bezpiecznie doprowadzi cię do księcia Alfrika. – Podała mu owinięty w płótno tobołek. – Włożyłam tu trochę chleba, mięsa i innego pożywienia, gdyż dobrze wiem jak niepraktyczni wy, młodzi paladyni bywacie, wałęsając się po świecie i ratując piękne dziewice i nawet przez chwilę nie myśląc o tym, żeby zabrać ze sobą kawałek obiadu. Ach, gdybym była znowu młoda i dla mnie niczym by to było, bo co znaczy pusty brzuch, kiedy świat jest zielony, ale teraz już w swoich latach jestem i myśleć trochę muszę.

– Dziękuję, moja pani – powiedział Holger z zakłopotaniem.

Odwrócił się, żeby odjechać. Hugi pociągnął go z powrotem z zaskakującą siłą.

– A ty tu co? – ryknął. – W jednej jeno koszuli iść w las żeś zamyślił? Moc tu w onej knieі takowych, co wielce by radzi trochę żelaza w bogatego wędrowca wrazić.

– Ach... ach, tak. – Holger rozpakował swój bagaż. Matka Gerda zachichotała i wykuśtykała na zewnątrz.

Hugi pomagał mu zakładać we właściwy sposób średniowieczny strój. Obwiązał jego łydki pasami skóry, podczas gdy on sam przez głowę wciągał gruby kaftan. Potem, również sam, włożył kolczugę, która zabrzęczała i opadła mu na ramiona niespodziewanym ciężarem. A teraz popatrzmy – najwyraźniej ten szeroki pas zapina się na talii i wtyka się zań nóż, zaś pendent ma podtrzymywać miecz. Hugi podał mu pikowaną czapkę a potem normański hełm. Kiedy złocone ostrogi znalazły się na jego stopach, a purpurowy płaszcz na ramionach, Holger zaczął się zastanawiać, czy wygląda oszałamiająco czy po prostu idiotycznie.

– Dobrej podróży, sir Holgerze – powiedziała Matka Gerda, kiedy wyszedł z chaty.

– Ja... będę o tobie pamiętał w moich modlitwach – powiedział, pomyślawszy, że w tym kraju będzie to odpowiednie podziękowanie.

– A jakże, sir Holgerze, pamiętaj! – Odwróciła się od niego, wybuchając niepokojącym śmiechem i zniknęła we wnętrzu chaty.

Hugi mocniej ścisnął pas.

– No chodźże już, gamoniu pasowany, abo dzień cały tu zabawim – mruknął. – Komu do Faerie droga, trza mu mocno konia spinać.

Holger wskoczył na Papillona i pomógł wsiąść Hugiemu. Mały mężczyzna przysiadł na łęku siodła i wskazał na wschód.

– Tam jedziem – powiedział. – Ze dwa abo i trzy dni do Alfrikowego zamku nam zejdzie, tedy ruszajmy co żywo.

Koń ruszył z kopyta i wkrótce chata zagubiła się w lesie za nimi. Szlak zwierzyny, którym dzisiaj podążali był stosunkowo szeroki. Jechali pod wysokimi drzewami, w spokojnym zielonym świetle, pełnym szelestów i świergotów, stłumionych uderzeń podków o ziemię, skrzypienia skóry i pobrzękiwania żelaza. Dzień był zimny i jasny.

Po raz pierwszy od porannego przebudzenia Holger przypomniał sobie o ranie. Nie czuł bólu. Dziwaczny medykament rzeczywiście działał.

Jednak cała ta historia była tak niesamowita, że... Stłumił wszelkie pytania. Wszystko po kolei. W jakiś sposób – chyba, że śnił, a coraz bardziej w to wątpił, gdyż jaki sen mógłby być tak konsekwentny? – przeniósł się do świata spoza swego czasu, być może również spoza swojej przestrzeni. Świata, w którym wierzono w wiedźmy i duchy, w którym był przynajmniej jeden najprawdziwszy krasnolud i jedna szatańsko dziwaczna istota o imieniu Samiel. A więc, rozpatrujmy wszystko po kolei, rozważnie i powoli.

Zastosowanie się do rady nie było sprawą prostą. Nie tylko jego własna sytuacja, ale i przypomnienie domu, przypuszczenia na temat tego, co się tam mogło wydarzyć, okropny strach, że tutaj, w tym świecie mógłby zostać na zawsze uwięziony – to wszystko ścisnęło jego myśli jak obcęgi. Przypomniał sobie wyraźnie pełne gracji iglice Kopenhagi, wrzosowiska, plaże i odległe horyzonty Jutlandii, podniebną arogancję Nowego Jorku i złoconą zachodem słońca mgłę nad Zatoką San Francisco i kochanki i milion drobnych spraw, które były domem. Chciał uciec, biec wołając o pomoc, aż znowu trafi tam z powrotem, znowu odnajdzie ten dom. Nie, nic z tego! Był tutaj – i mógł robić tylko to, co było tutaj możliwe. Jeżeli ten książę w Faerie (czymkolwiek to miejsce mogło być) jest w stanie mu pomóc, nadzieja jeszcze nie zgasła. A na razie może być tylko wdzięczny losowi, że nie ma zbyt bujnej wyobraźni i niełatwo traci zimną krew.

Spojrzał na owłosionego człowieczka, który jechał przed nim.

– To bardzo uprzejmie z twojej strony – powiedział. – Chciałbym móc się jakoś odpłacić.

– Nie, ja to w wiedźminej służbie czynię – odpowiedział Hugi. – Nie żebym, uważasz, naprawdę był jej sługą. Jeno od czasu do czasu my leśni jej pomagamy – drwa narąbać, abo wody nanieść, abo sprawy jak ta załatwić. Potem ona dla nas w zamian robi. Rzec nie mogę, nie bardzo ja ją, starą sowę, lubię, jeno multum kufli jej przedniego piwa za to dostanę.

– Dlaczego, wydawała się... miła.

– Och, a jakże, gładki u niej język, kiej zechce, gładki – Hugi zachichotał ponuro. – Wżdy zbałamuciła i młodego sir Magnusa kiej go tu przyniosło, wiele i wiele lat temu. Toć ona czarną sztuką się para. Sprytna jest, choć nie tak potężna, jeno paru mniej znacznych demonów przyzwać może, a i myli się nierzadko w tych swoich czarach. – Uśmiechnął się szeroko. – Pomnę, czasu jednego chłopek taki z Westerdales za skórę jej zalazł i ona klęła się, że mu śnieć na zboże spuści. Czy to on błogosławieństwo miał kapłańskie, czy jej w tym niezdarność – tego nie wiem, ale długo natężała się i sapała i nic nie wskórała, jeno osty na polach wybiła. Nawet nadskakiwania panom ze Środkowego Świata, próbuje, może moc większą jej nadadzą, jeno potąd mały ma z tego zysk.

– Hmmm... – To nie brzmiało zbyt dobrze. – A co się stało z tym sir Magnusem? – spytał Holger.

– Och, krokodyle go w końcu zeżarły, widzi mi się.

Jechali dalej w ciszy. Wreszcie Holger spytał czym się zajmują leśne krasnoludy. Hugi odpowiedział,

Niedaleko wyrastało inne wzgórze, pokryte różami, na wpół schowane za pasmami mgły, jednak wyraźnie mające kształt kobiecej piersi. Hugi je wskazał.

– Elfi Pagórek – powiedział bardzo cicho. – W jego środku Elfy biesiady nieczyste urządzają, a kiej księżyc na niebie stoi wychodzą, żeby tańcować wkoło.

W tle na północ, południe i wschód rozciągał się las tak ciemny, że Holger ledwo mógł odróżnić pojedyncze drzewa.

– Tamój w Mrocznej Puszczy Faryzeusze łowy na gryfony i mantykory prowadzą – szepnął Hugi.

Z zamku zabrzmiała fanfara, daleki, zimny dźwięk jak szum rwącej rzeki. Zobaczyli nas, pomyślał Holger. Położył dłoń na rękojeści miecza. Alianora sfrunęła na ziemię i zmieniła się w człowieka. Jej twarz miała grobowy wyraz.

– Ty i Hugi – odchrząknął, przeczyszczając gardło – przyprowadziliście mnie tutaj i tysiąckrotnie wam za to dziękuję. Jednak teraz może lepiej już zawróćcie.

Alianora spojrzała w górę na niego.

– Nie – powiedziała po chwili. – Myślę, że jeszcze zostaniemy. Możemy być ci pomocni.

– Jestem dla was nikim – zająknął się. – Nic nie jesteście mi winni, zaś ja jestem winny wam więcej, niż zdołam kiedykolwiek zwrócić.

Szare oczy ciągle były bardzo poważne.

– Wydaje mi się, że jesteś kimś więcej niż nikim, nawet jeśliś sam tego nieświadom – powiedziała cicho. – Mam przeczucie co do ciebie, sir Holgerze. I ja przynajmniej zostanę.

– I ja także – sapnął Hugi, jednak nie wyglądał na zadowolonego. – A tyś chyba nie myślał, że ze mnie tchórz teraz wylezie, co?

Holger nie nalegał. Spełnił swój obowiązek, dając im szansę wycofania się, ale, na Boga, był szczęśliwy, że z niej nie skorzystali!

Brama zamku otworzyła się, zwodzony most bezszelestnie opadł. Znowu zabrzmiały fanfary. Z bramy wyjechał oddział, z proporcami i herbami, w pióropuszach, z kopiami kłującymi niebo. Holger wstrzymał konia i czekał, mocno ściskając włócznię. Więc to są władcy Faerie.

Ubrani byli w kolory, które zdawały się świecić na tle zmierzchu, w szkarłat, złoto, purpurę, zieleń, ale barwy każdego ze strojów iskrzyły się i migotały i zmieniały co chwilę. Niektórzy mieli na sobie kolczugi lub blachy ze srebrzystego metalu, wymyślnie ukształtowanego i grawerowanego, inni nosili tylko szaty i heraldyczne korony. Wszyscy byli wysocy, poruszali się z płynną gracją, której żaden człowiek, ani nawet kot nie mógłby dorównać. Zimna wyniosłość odbijała się w ich twarzach, dziwnie ukształtowanych, z wysokimi, skośnie ułożonymi kośćmi policzkowymi, szerokimi nozdrzami, wąskimi szczękami. Skórę mieli białą, włosy długie, błękitnosrebrne, mężczyźni w większości nie nosili zarostu. Gdy podjechali bliżej, Holger pomyślał, że są ślepi, gdyż ich skośne oczy były jednolitym błękitem. Wkrótce jednak doszedł do wniosku, że widzą lepiej niż on.

Jadący na czele zatrzymał się i skłonił nieznacznie głowę.

– Witaj, panie rycerzu – powiedział. Jego głos był piękny, brzmiał bardziej jak śpiew, niż jak mowa. – Ja zwę się Alfrik, książę Alfarlandu w Królestwie Faerie. Nieczęsto zdarza się, żeby śmiertelny zawitał do nas w gości.

– Witajcie, panie. Skierowała mnie do was wiedźma Matka Gerda, która, jak ufam, jest uniżoną sługą waszej łaskawości. – Gładkie zdania same formowały się w ustach Holgera. – Uważa ona, że wasza mądrość może rozwikłać dręczący mnie problem. I tak oto przybywam, żeby prosić o przysługę.

– Ach tak. Rad to słyszę. Ty i twoi słudzy możecie zostać tak długo, jak będziecie chcieli, a ja dołożę wszelkich starań, żeby rycerzowi o twojej pozycji pomóc w miarę mojej mocy.

O mojej pozycji? Holger był przekonany, że stwór, który ich zaatakował był jednym ze sług księcia. Trzy serca i trzy lwy zdawały się nie cieszyć popularnością w Środkowym Świecie. Pozostawało pytanie,

Przez chwilę zastanawiał się czego mieszkańcy Faerie – Faryzeusze, jak zdaje się byli tu nazywani, niewątpliwie dlatego, że tutejsza niepiśmienna ludność pozmieniała i pomyliła biblijną historię prawdziwych Faryzeuszy – czego oni używali zamiast stali. Stopów aluminium? Zapewne sztuka magiczna potrafiła wydobyć aluminium z boksytów. Może berylu, magnezu, miedzi, niklu, chromu, manganu...

Mimo że bez wątpienia poprawna, jednak wizja czarnoksiężnika-Elfa ze spektroskopem była dostatecznie zabawna, żeby umysłowi Holgera do końca przywrócić równowagę. Zdumiał swoich towarzyszy, roześmiawszy się głośno.

– No cóż – powiedział, sam nieco zdziwiony swym brakiem wrażliwości – zobaczymy, co tu mamy.

Ukląkł i podniósł zasłonę hełmu. Zionęła na niego pustka. Zbroja była pusta. Pewnie przez cały czas.

Rozdział VII

Faerie wydawała się zupełnie dzika – wzgórza, lasy, nie uprawiane doliny. Holger spytał krasnoluda, dziwnie cichego odkąd przekroczyli granicę półmroku, czym żywią się jej mieszkańcy. W odpowiedzi usłyszał, że część żywności i napojów po prostu wyczarowują, część otrzymują z innych, podległych im rejonów Środkowego Świata, czasem także polują na dzikie bestie, zamieszkujące tutejsze lasy. Wszyscy są czarownikami i wojownikami, zaś cała praca spada na barki niewolników, wziętych spośród koboldów, goblinów i innych poślednich ras. Dalsze pytania pozwoliły Holgerowi dowiedzieć się, że Faryzeusze nie znali starości ani chorób, jednak twierdzono, że nie mają duszy. Nie wyglądają na towarzystwo, o jakim się marzy, pomyślał.

Starając się znaleźć solidne oparcie dla myśli i zapomnieć o tej pustej zbroi, leżącej w trawie wśród asfodeli, zaczął teoretyzować. Zdawał sobie sprawę, że jego wiedza matematyczno-fizyczna jest dość powierzchowna, miał jednak nadzieję, że jest zdolny do wyciągnięcia logicznych wniosków. Musi być jakieś wytłumaczenie dla istnienia tego świata!

Zarówno podobieństwa, takie jak identyczne gwiazdozbiory, jak i różnice między tym a jego własnym światem, których aż nadto miał teraz wokół siebie, wykluczały możliwość przeniesienia na inną, znajdującą się gdzieś w kosmosie planetę. To znaczy, w tym kosmosie, w którym istniała również jego Ziemia. Podstawowe prawa natury, jak grawitacja czy prawa rządzące reakcjami chemicznymi, nadal obowiązywały, jednak tutaj miały chyba klauzule zezwalające na istnienie mocy magicznych. Możliwe jest chyba założenie, że magia to nic innego, jak bezpośrednia kontrola umysłu nad materią. Nawet tam, skąd przybył niektórzy ludzie wierzyli w telepatię, telekinezę i tak dalej. Być może w tym świecie w pewnych, sprzyjających okolicznościach siły mentalne były silniejsze niż te, które rządzą materią nieożywioną... Doszedł do tego punktu i zorientował się, że właściwie nie doszedł do niczego, nadając tylko inne nazwy temu samemu zespołowi zjawisk.

No cóż, siły siłami, g d z i e w takim razie się znalazł? A może powinien spytać k i e d y? Na innej Ziemi? Może rzeczywiście jakieś dwa obiekty mogą zajmować tę samą przestrzeń w tym samym czasie, nie oddziałując na siebie wzajemnie. A jeśli jakieś dwa obiekty, to i jakieś dwa wszechświaty, wraz ze wszystkimi swoimi gwiazdami. Nie dwa, dowolna ich liczba. Znalazł się po prostu w jednym z nich: tak bliskim jego własnemu, że istniało między nimi jakieś połączenie. Jakie?

Westchnął i poddał się. Najpierw rzeczy najważniejsze. A w tej chwili rzeczą najważniejszą było utrzymanie się przy życiu w krainie, w której chyba niejeden miał coś za złe człowiekowi, noszącemu jako herb trzy serca i trzy lwy.

Z półmroku powoli wychynął zamek. Mury wznosiły się na zawrotną wysokość, dachy były szpiczaste, z wieloma załomami, zwieńczone strzelistymi, smukłymi wieżami: dzikie piękno, jak lód na zimowej puszczy. Biały kamień wyglądał jak koronki, tak delikatne, jakby można go było rozpuścić oddechem. Jednak gdy podjechali bliżej Holger zobaczył, że mury były bardzo masywne. Wzgórze, na którym zamek się wznosił otaczała fosa, a chociaż nie wpływała do niej żadna rzeka, woda krążyła, grając niestrudzenie.

że jego lud żyje w lesie – który wydawał się być niezmiernie rozległy – żywiąc się grzybami, orzechami i tego typu rzeczami i że mają umowę o wzajemnej pomocy z pomniejszymi leśnymi zwierzętami jak króliki czy wiewiórki. Nie posiadają wrodzonych zdolności magicznych, tak jak prawdziwi mieszkańcy Faerie, ale z drugiej strony nie muszą się obawiać żelaza ani srebra, ani świętych symboli.

– Nam nic do wojen na tych niepewnych ziemiach – powiedział Hugi. – Patrzym swego jeno życia, a niechaj tam Niebiosa, Piekło, Ziemia i Środkowy Świat drą się, kiej taka ich wola. A kiej ci panowie dumni wzajem się trupem zimnym i sztywnym położą, my tu będziem, jakeśmy byli. A bodaj ich wszystkich kiła zeżarła! – Holger pomyślał, że ta rasa była dogłębnie obrażona afrontami, których doznała zarówno od ludzi, jak i od mieszkańców Środkowego Świata.

– No, teraz to już nic nie wiem – powiedział z wahaniem. – Jeżeli Matka Gerda nie ma dobrych zamiarów, dlaczego miałbym stosować się do jej rady i jechać do Faerie?

– Juści, dlaczego? – Hugi wzruszył ramionami. – Pomnij jeno, ja żem nie gadał, co ona zawżdy zła była. Jak ona urazy do cię nijakiej nie chowa, toć może i zwidziało jej się prawdziwie ci dopomóc. Nawet książę Alfrik pomóc może, dla zabawy samej z zagadki takowej, jaką widzi mi się mu niesiesz. Nijak za nimi nie trafisz, co zrobią. Sami nie wiedzą, ani dbają o to. Żyją w dziczy i dlatego w wojnie po ciemnej Chaosu stronie staną.

To w dalszym ciągu ani trochę nie pomogło. Faerie było jedyną nadzieją na powrót do domu, jaką mu dano, a przecież było możliwe, że jest wpędzany w pułapkę. Dlaczego jednak ktoś miałby zawracać sobie głowę łapaniem takiego, jak ja cudzoziemca bez grosza przy duszy...

– Hugi – spytał – czy chętnie wpędziłbyś mnie w tarapaty?

– Nie, wrogiem mi przecie nie jesteś, a i widzę, żeś dobry człowiek, nie jak tacy, których mogę nazwać. – Hugi splunął. – Ja nie wiem co Matka Gerda zamyśla, a i nie dbam o to za wiele. Rzekłem jeno, co wiem. Jeśli chcesz jechać do Faerie, poprowadzę.

– A co się stanie potem, to już cię nie obchodzi?

– Prawda. Nauczylim się w cudze sprawy nosa nie wściubiać.

W jego dudniącym basie zabrzmiała gorycz. Holger pomyślał, że mógłby ją wykorzystać dla swoich celów. Spotykał się już z ludźmi o rozbudowanym kompleksie niższości. A Hugi z pewnością mógłby być bardziej pomocny niż tylko jako przewodnik nie wiadomo dokąd.

– Pić mi się chce – powiedział. – Zatrzymamy się na chwilę? Wydaje mi się, że słyszałem jak coś stuka w tym zawiniątku z jedzeniem.

Hugi oblizał wargi. Ściągnęli cugle i rozwiązali podarunek od wiedźmy. Tak, kilka glinianych flaszek. Holger odkorkował jedną z nich i podał krasnoludowi, żeby napił się pierwszy. Hugi był wyraźnie zaskoczony. W pełni jednak wykorzystał sytuację, jego grdyka poruszała się z błogością pod śnieżnobiałą brodą, aż wreszcie beknął i oddał flaszkę Holgerowi.

Podczas dalszej drogi Hugi usilnie się nad czymś zastanawiał.

– Niezwyczajne masz maniery, sir Holgerze – powiedział w końcu. – Ty chyba nie z rycerzy Imperium jesteś, a i nie Saracen.

– Nie – powiedział Holger. – Pochodzę z dużo dalszych stron. Tam, skąd jestem, uważamy, że jeden człowiek jest równie dobry jak każdy inny.

Podobne paciorkom oczy przyjrzały mu się uważnie spod krzaczastych brwi.

– Przeraźliwe rzeczy gadasz. Kto krajem włada, jeśli pospólstwu z panami mieszać się wolno?

– Dajemy sobie radę. Każdy ma głos w rządach.

– Nie może to być! Wżdy jedno gadanie z tego, a roboty nijakiej.

– Przez długi czas próbowaliśmy innej drogi, ale władcy z urodzenia byli często tak słabi, głupi albo okrutni, że pomyśleliśmy, iż my już nie możemy być gorsi. Dzisiaj w moim kraju król robi niewiele więcej niż tylko przewodniczy. A większość narodów w ogóle królów się pozbyła.

– Hmmm... dziwaczna to mowa, i po prawdzie, hmm, widzieć mi się zaczyna, żeś może sam z sił Chaosu.

– Co to znaczy? – spytał Holger. – Niewiele wiem o waszych sprawach. Mógłbyś mi wyjaśnić?

Pozwolił krasnoludowi paplać przez dłuższy czas, niewiele się przy tym dowiadując. Hugi nie był zbyt mądry, poza tym żył w głębokiej puszczy. Dowiedział się jednak, że trwały tu ciągłe zmagania między pierwotnymi siłami Chaosu i Ładu. Nie, to nie były dokładnie siły. Sposoby życia? Ziemskie odbicia duchowego konfliktu między Niebem i Piekłem? W każdym razie, najważniejszymi rzecznikami Ładu byli ludzie, jakkolwiek większość z nich tylko nieświadomie, a niektórzy – wiedźmy, czarnoksiężnicy, złoczyńcy – zaprzedali się Chaosowi. Część, dość niewielka, istot pozaludzkich również opowiadała się za Ładem. W przeciwnym obozie był niemal cały Środkowy Świat, do którego, jak się zdawało, należały takie krainy jak Faerie, Trollheim, jak również Olbrzymi – rzeczywiste dzieła Chaosu. Wojny między ludźmi, takie jak długo ciągnący się konflikt między Saracenami, a Świętym Imperium pomagały tylko Chaosowi. Pod panowaniem Ładu ludzie żyliby w pokoju i harmonii, ciesząc się wolnością, której tylko on mógł nadać prawdziwe znaczenie. Jednak taki porządek rzeczy był tak obcy mieszkańcom Środkowego Świata, że bez przerwy mu się przeciwstawiali i starali się objąć wciąż nowe kraje swym mrocznym panowaniem.

To wszystko było dla Holgera tak mgliste, że zmienił temat rozmowy na bardziej konkretne aspekty polityki. W tym również Hugi okazał się niezbyt przydatny. Holger zrozumiał, że krainy ludzi, w których przeważał Ład, leżały na zachodzie. Były podzielone na Święte Imperium Chrześcijan, kraje Saracenów na południu i różne pomniejsze królestwa. Faerie, najbliższa część Środkowego Świata, znajdowała się niezbyt daleko na wschód. Ten obszar, na którym właśnie się znajdowali był spornym pograniczem, gdzie wszystko mogło się zdarzyć.

– Wiedz, że dawnymi czasy – powiedział Hugi – zaraz po Upadku, niemal wszystko pod Chaos podlegało. Jeno wypierany był, krok po kroku. Najdalej był wyparty, kiej Zbawiciel żył na ziemi, jako że z ciemności nic mu się ostać nie mogło i sam wielki Pan pomarł. Jeno nynie gadka chodzić poczyna, iże Chaos siły zebrał i k'wojnie nowej się gotuje. Ja tam nie wiem.

Hm. Nie istniała możliwość natychmiastowego oddzielenia prawdy od zmyślenia. Jednak ten świat miał tak dużo wspólnego ze światem Holgera, że musiał istnieć między nimi jakiś związek. Może od czasu do czasu następował chwilowy kontakt, choćby przez takich jak on sam, wracających potem z opowieściami, które stawały się podstawą legend? Czy istoty z mitów tutaj, w tym świecie, istniały w rzeczywistości? Przypominając sobie niektóre z nich, Holger miał nadzieję, że jednak nie. Nie zależało mu specjalnie na spotkaniu z ziejącym ogniem smokiem czy trójgłowym olbrzymem, bez względu na to, jak interesującymi oni byli z zoologicznego punktu widzenia.

– Och, jeszcze coś – powiedział Hugi. – Musisz ostawić przy bramie swój krucyfiks, jeśli go nosisz i swoje żelazo. Takoż świętych słów na zamku nie wypowiadaj. Oni z Faerie nie ustoją przeciw nim, jeno jeśli takowych użyjesz, wynajdą sposoby, iżby zły omen na cię spuścić.

Holger zastanawiał się jaki był miejscowy status agnostyka. Został oczywiście wychowany jako luteranin, ale od lat już nie był w kościele. Jeżeli już musiało się to komuś przytrafić, dlaczego to nie był dobry katolik?

Hugi ciągle mówił. I mówił. I mówił. Holger starał się po przyjacielsku uczestniczyć w rozmowie, jednak w granicach przyzwoitości. Zaczęli opowiadać sobie różne historyjki. Holger wyciągnął wszystkie kiepskie dowcipy, jakie był w stanie sobie przypomnieć. Hugi ryczał ze śmiechu.

Na obiad zatrzymali się przy strumieniu o porosłych mchem brzegach. Hugi niespodziewanie nachylił się i położył dłoń na ramieniu Holgera.

– Panie rycerzu – powiedział patrząc w ziemię – rad byłbym wyświadczyć ci przysługę, jeśli zechcesz.

Holger z trudem zachował spokój.

– Dziękuję, na pewno mi się przyda.

– Nie wiem, jako lepiej ci postąpić. Może dążyć do Faerie za wiedźminą radą, może szybko w drugą stronę ruszać. A i wywiedzieć się nie mam sposobu. Aleć znam w boru kogoś, przyjaciela wszytkim co tam żyją, kto wieści wszelkie po kraju chodzące słyszał i dobrą radą może ci służyć.

– Gdybym mógł go spotkać, to byłoby... byłoby mi bardzo pomocne, Hugi.

nie wygiętej szyi. Jednak coś w tym zwierzęciu było niewłaściwego, zbyt długie nogi, za mała głowa. Jeździec ubrany był w pełną płytową zbroję, twarz krył za opuszczoną przyłbicą. Kita białych piór kołysała się na szczycie hełmu, tarcza była pusta i czarna, poza tym wszystko błyszczało nocnym błękitem. Zatrzymał się i czekał, aż Holger podjedzie bliżej.

Gdy Duńczyk był kilkanaście metrów od niego, zniżył kopię.

– Stój i opowiedz się! – Jego głos miał wibrujące, metaliczne brzmienie, niezupełnie ludzkie.

Holger ściągnął wodze. Papillon zarżał wyzywająco.

– Zostałem przysłany przez wiedźmę Matkę Gerdę z wiadomością dla księcia Alfrika.

– Najpierw chcę zobaczyć twój herb – powiedział brązowy głos. – Nikt tu nie wjeżdża nieznany.

Holger wzruszył ramionami, żeby ukryć niepokój. Sięgnąwszy w dół, odpiął tarczę z miejsca, w którym wisiała i wsunął ją na lewe ramię. Hugi ściągnął z niej płócienny pokrowiec.

– Oto jest.

Rycerz cofnął konia, spiął go ostrogami i runął na Holgera.

– Broń się! – wrzasnął Hugi. – On dybie na twoje życie!

Papillon odskoczył w bok, a Holger wciąż się gapił. Jeździec przemknął obok z głuchym dudnieniem kopyt. Zawrócił konia i znowu ruszył, z grotem kopii skierowanym wprost w gardło Holgera.

Potem – instynktowna reakcja. Holger zniżył własną kopię, ścisnął Papillona kolanami i podniósł tarczę jako osłonę. Czarny ogier skoczył naprzód. Postać wroga zbliżała się ze straszliwą prędkością. Grot jego kopii obniżył się i mierzył teraz w brzuch Holgera. Duńczyk opuścił tarczę i mocno wcisnął stopy w strzemiona.

Zderzyli się z hukiem, który zbudził echa wśród wzgórz. Tarcza przylgnęła Holgerowi do żołądka. Niemal wypuścił kopię, gdy jej grot trafił w zasłonę hełmu przeciwnika. Ale drzewce tamtego pękło, a on sam chwiał się w siodle. Papillon naparł. Obcy przetoczył się przez zad swego konia.

Jednak wstał natychmiast, z szybkością zadziwiającą przy pełnej zbroi. Jego miecz świsnął, wyskakując z pochwy. Ciągle nie było czasu na myślenie. Holger musiał pozwolić swemu ciału, żeby działało za niego. Zdawało się wiedzieć, co robi. Wyciągnął miecz i ciął spieszonego wroga. Ostrza zderzyły się z brzękiem. Rycerz zamierzył się na jego nogę, Duńczyk odbił cios w ostatniej chwili. Sam z kolei chlasnął z góry w pierzasty hełm. Metal zadzwonił głośno i przeciwnik się zachwiał.

Zbyt niewygodne, uderzenie z góry. Holger skoczył na ziemię. Stopa zaplątała mu się w strzemię i runął na plecy. Obcy podbiegł do niego. Holger kopnął. I znów szczęk metalu, wojownik upadł. Wstali obaj jednocześnie. Ostrze miecza zadzwoniło na tarczy Holgera. On sam z kolei ciął w szyję, starając się znaleźć szczelinę między płytami zbroi. Rycerz sieknął nisko, mierząc w nie chronione nogi. Holger odskoczył. Tamten runął na niego, tnąc potężnie z góry. Holger zablokował cios w powietrzu. Ramię zadrżało mu od siły uderzenia. Jednak rycerzowi z Faerie miecz wypadł z dłoni. Natychmiast wyciągnął nóż i doskoczył do Holgera.

Szeroki miecz Holgera nie był przeznaczony do pchnięć, jednak Duńczyk zauważył szczelinę nad naszyjnikiem i wbił w nią sztych. Sypnęły się iskry. Metalowa postać zatoczyła się, opadła na kolana i, z ostatnim szczękiem, zwaliła się, nieruchoma, w trawę.

Półprzytomnie, z szumem w głowie, Holger rozejrzał się wokół. Zobaczył, że biały koń galopuje na wschód. Opowiedzieć wszystko księciu, pomyślał. Potem Hugi zaczął tańczyć i wiwatować wokół niego, zaś Alianora zawisła mu na ramieniu, pociągając nosem i powtarzając jak wspaniale sprawił się w tej walce.

Ja?, pomyślał. Nie, to nie byłem ja. Ja nie mam pojęcia o mieczach i kopiach.

Więc kto, w takim razie, zwyciężył w tym pojedynku?

Alianora pochyliła się nad nieruchomą postacią.

– On nie krwawi – powiedziała ochryple. – Jednak jest zabity, bo Faryzeusze nie mogą przetrwać rany zadanej kutym żelazem.

Holger odetchnął głęboko. Zaczynał myśleć już trochę jaśniej. Dostrzegł błędy, jakie popełnił: tak, powinien zostać na koniu i użyć go jako dodatkowego oręża. Następnym razem będzie bardziej uważał.

Ziewnęła. – Idziemy spać?

Skulili się razem pod osłoną szałasu, szukając swego ciepła, gdy nadszedł nocny chłód. Kilka razy Holger budził się, szczękając zębami i czuł Alianorę, oddychającą równo obok niego. Była słodkim dzieckiem. Gdyby nigdy nie znalazł drogi powrotnej...

Rozdział VI

Następnego ranka ruszyli w dół, szybko, mimo niebezpiecznej drogi. Hugi wrzeszczał, gdy kopyta Papillona ześlizgiwały się ze stromizny, a potem huśtali się nad skrajem wiejącej chłodem otchłani. Alianora unosiła się wysoko ponad nimi. Znalazła sobie mrożącą krew w żyłach zabawę – wisząc w powietrzu zmieniała się w człowieka, przybierając z powrotem łabędzią postać w ostatnim momencie, w którym jeszcze mogła przerwać upadek. Obserwując to Holger bardzo zapragnął uspokojenia, jakie dawała fajka. Jednak nie mógł jej zapalić, dopóki Hugi nie pokazał mu jak korzystać z krzesiwa, które Holger miał w sakiewce przy pasie. Do diabła, dlaczego oni w tym świecie nie mają zapałek?

Wędrowali przez sosnowy las. W pewnej chwili, jak nadciągająca burza, zamknął się nad nimi półmrok. Gęstniał z każdym dziwnie stłumionym krokiem. Holger zastanawiał się, czy na końcu drogi w ogóle będą w stanie cokolwiek widzieć. Skóra cierpła mu na myśl o przedzieraniu się na ślepo przez krainę trolli, wilkołaków i Bóg jeden wie czego jeszcze.

W miarę, jak schodzili powietrze stawało się coraz cieplejsze. Gdy w końcu wynurzyli się z lasu było balsamiczne, przepełnione kadzidlanym zapachem nieznanych Holgerowi kwiatów. Wjechali do otwartej, pofałdowanej doliny. Hugi głośno przełknął ślinę.

– No, to myśmy już w Faerie – zamruczał. – Jakim sposobem stąd wyjedziem, to już insza sprawa.

Holger obrzucił zamyślonym spojrzeniem otaczający ich krajobraz. Mimo że słońce już się skryło, noc, której się tak obawiał, nie zapadła. Nie potrafił zidentyfikować źródła światła, ale widział niemal tak wyraźnie, jak w dzień. Niebo było wieczorne, głęboko błękitne i ten sam błękit nasycał powietrze, jakby jechali pod wodą. Trawa była wysoka i miękka, ze srebrzystą poświatą na bladej zieleni, wśród niej białe kwiaty błyszczały jak gwiazdy. Asfodele, pomyślał Holger. Skąd to wiedział? Tu i ówdzie dostrzegał krzaki białych róż. Samotnie lub zagajnikami stały drzewa, wysokie, smukłe, z mleczną korą i liśćmi koloru trawy. Nieśpieszne powiewy wiatru poruszały nimi, wydobywając delikatne dzwonienie. W tym zwodniczym, nie dającym cienia świetle nie potrafił prawidłowo ocenić odległości. W pobliżu płynął strumień, który nie szemrał, ale grał – jakąś nie mającą końca melodię, opartą na obcej skali. Nad wodą unosiły się zawirowania powietrza, fosforyzujące bielą, zielenią, błękitem.

Papillon parsknął i zadrżał. Nie podobało mu się to miejsce.

Ja już to widziałem, myślał Holger, taki sam chłodny, spokojny błękit ponad bladymi drzewami i wzgórzami, które wtapiają się w niebo. Ale gdzie? Gdzie jeszcze wiatr wiał tak śpiewnie i rzeka dźwięczała jak szklane dzwoneczki? Czy w jakiejś dawnej wizji, półsennej, półprawdziwej, która nadeszła letnią nocą w Danii, a może jeszcze dawniej, w latach już zapomnianych? Nie wiem i sądzę, że chciałbym się dowiedzieć.

Jechali dalej. W tej nie ulegającej żadnym zmianom poświacie czas wydawał się płynny i niestały, mogli tak wędrować minutę albo stulecie. Niematerialny krajobraz przepływał wokół nich, a oni wciąż jechali. Aż wreszcie łabędzica spadła z nieba jak kula, wylądowała z trzepotem skrzydeł i stała się Alianorą. Na jej twarzy malował się strach.

– Widziałam rycerza, który zdąża w tę stronę – powiedziała łapiąc powietrze. – Rycerza z Faerie. Nie wiem, jakie są jego zamiary.

Holger poczuł, że jego serce zaczęło walić jak młot, zachował jednak pozór całkowitego spokoju.

– Niedługo się dowiemy.

Obcy wyjechał zza wzniesienia. Siedział na wysokim śnieżnobiałym koniu o rozwianej grzywie i dum-

– Nie jego, jeno ją. Innego rycerza k'niej bym nie zawiódł, lubieżność im jeno we łbach i ona nie bardzo ich lubi. Ty jednak... hmm... tobie nie mogę być złym przewodnikiem.

– Dziękuję, przyjacielu. Jeśli kiedyś będę mógł coś dla ciebie zrobić...

– Nic to – warknął Hugi. – Dla swego honoru ja to czynię. I zważaj przy niej na maniery, gamoniu jeden!

Rozdział IV

Skręcili na północ i jechali przez kilka godzin, z których większość Hugi spędził na wspominaniu swych podbojów wśród kobiet jego rasy. Holger słuchał jednym uchem, udając nabożne osłupienie, na które te historie faktycznie zasługiwały, jeżeli chociaż połowa z nich była prawdziwa. A naprawdę był pogrążony we własnych rozmyślaniach.

Wjechali na tereny położone nieco wyżej i las stał się bardziej otwarty, ukazując łąki pełne dzikich kwiatów i słonecznego światła, szare, porośnięte mchem głazy rozrzucone między kępami drzew, tu i ówdzie daleki widok na ciągnące się w siną dal wzgórza. Wiele strumieni przecinało tę okolicę, połyskujących i szemrzących w swym pośpiesznym biegu ku dolinom, z tęczami, mieniącymi się nad nimi w miejscach gdzie spadały z urwisk. Zimorodki fruwały tam jak małe, błękitne błyskawice, wysoko na niebie szybowały jastrzębie i orły, klucz dzikich gęsi wzbił się z krzykiem z trzcin na jeziorze, przemknęły gdzieś zające, przebiegł jeleń i para niedźwiedzi. Białe chmury rzuciły cienie na wielobarwną, sfałdowaną krainę, zimny wiatr dmuchnął Holgerowi w twarz. Podobała mu się ta wędrówka. Nawet zbroja, która z początku trochę mu ciążyła, teraz stała się jakby jego drugą skórą. I w jakiś niewyraźny sposób w tej przestrzeni było coś bliskiego, znajomego, jakby kiedyś dawno często tu bywał.

Próbował sięgnąć w głąb pamięci. Czy to było w Alpach, a może na wysokiej norweskiej *saetere*, albo na górskich łąkach wokół Góry Rainier? Nie, to było coś więcej niż tylko podobieństwo. Te pograniczne obszary były mu niemal znane. Jednak obrazu nie udało się przywołać i odrzucił to odczucie jako jeszcze jeden przypadek *déjà vu*.

Jeśli jednak jego przejście do tego świata nauczyło go nowego języka, równie dobrze mogło jego mózgowi zrobić jeszcze jakieś psikusy. Na chwilę uczepiła się go szalona myśl, że może jego jaźń została przeniesiona w cudze ciało. Spojrzał w dół na swe wielkie, żylaste ręce i sięgnął dłonią, żeby dotknąć znajomego wgniecenia na grzbiecie nosa, pamiątki tego wielkiego dnia, w którym dopomógł pobić drużynę Politechniki 36 do 24. Nie, bez wątpienia był ciągle sobą. I dość rozpaczliwie potrzebował golenia.

Słońce stało już nisko, kiedy przebyli ostatnią łąkę i zatrzymali się wśród drzew nad brzegiem jeziora. Woda odbijała światło i jej powierzchnia zdawała się płonąć. Z sitowia wzbiło się stado dzikich kaczek.

– Tu możem czekać – powiedział Hugi. Ześlizgnął się na ziemię i roztarł pośladki. – Uff! – skrzywił się – biedny, stary tyłek.

Holger również zeskoczył z konia, samemu odczuwając skutki długiej jazdy. Nie miało sensu pętanie wiernego jak pies Papillona, przerzucił mu tylko wodze przez grzbiet i ogier z zadowoleniem zaczął się pożywiać.

– Ona wkrótce przybędzie, widzi mi się – zamruczał Hugi. – W tej tu okolicy gniazdo sobie zrobiła. A kiej czekać musimy, odświeżyć gardło by się zdało.

Holger wyjął z juków flaszkę z piwem.

– Jeszcze mi nie powiedziałeś kim ona jest – zauważył.

– Alianora, łabądziewa. – Piwo zagulgotało w gardle krasnoluda. – Lata tam i siam po lesiech, a nawet i do Środkowego Świata czasem, i wszyscy wieści głośne i szeptane jej opowiadają. Szczerym jest nam przyjacielem. Aaaach! Może i wiedźma ze starej Matki Gerdy, ale piwowarka nad wszelkie porównanie!

Papillon zarżał. Holger odwrócił się i zobaczył długi, plamistożółty kształt, sunący w stronę jeziora. Lampart! Zanim zdążył pomyśleć, już trzymał w dłoni miecz, gotów do odparcia ataku.

– Nie, nie, wstrzymaj się – Hugi usiłował złapać go za ramię, nie mógł jednak sięgnąć tak wysoko, więc zadowolił się nogami. – On przybywa w pokoju! Nie pójdzie na ciebie, póki pannie zła nie wyrządzisz.

Lampart zatrzymał się, usiadł i zaczął ich obserwować zimnymi, bursztynowymi oczami. Holger na powrót wsunął miecz do pochwy. Skóra zaswędziała go od potu. Zaledwie ta dzicz zaczęła mu się wydawać znajoma, a już musiało zdarzyć się coś takiego.

Nad ich głowami załopotały skrzydła.

– To ona! – krzyknął Hugi. Zaczął podskakiwać, wymachując rękami. – Hej, hej tam, siądź przy nas!

Na ziemię sfrunęła łabędzica, siadając nie dalej niż kilka stóp od nich. Był to największy okaz, jaki Holgerowi zdarzyło się widzieć. Promienie wieczornego słońca płonęły złotem na jej piórach. Holger niezdecydowanie ruszył do przodu, zastanawiając się, w jaki sposób należy się przedstawiać łabędziowi. Ptak zatrzepotał skrzydłami i cofnął się przed nim.

– Nie, nie lękaj się, Alianoro – Hugi wskoczył między nich. – Szlachetny to rycerz, mówić jeno z tobą przybył.

Łabędzica zatrzymała się, podniosła wysoko łeb, rozłożyła skrzydła i stanęła na końcach łap. Jej ciało wydłużyło się, szyja skurczyła, skrzydła stały się węższe.

– Jesu Kriste! – wrzasnął Holger i przeżegnał się.

Na miejscu łabędzia stała kobieta.

Nie, dziewczyna. Nie miała więcej niż osiemnaście lat: wysoka i smukła, opalona na brąz, z kasztanowymi włosami opadającymi luźno na ramiona, wielkimi szarymi oczyma, kilkoma piegami na zuchwało zadartym nosku i szerokimi, łagodnymi ustami – była piękna! Niemal nie myśląc o tym, co robi Holger rozluźnił rzemień pod brodą, zdjął hełm i czapkę i ukłonił się nisko.

Nieśmiało podeszła bliżej, trzepocząc długimi, smolistoczarnymi rzęsami. Jej jedynym ubiorem była krótka tunika, pozbawiona rękawów i ściśle przylegająca do ciała, wyglądająca na utkaną z piór. Bose stopy bezszelestnie stąpały po trawie.

– Więc tyś to, Hugi – powiedziała. W jej miękkim kontralcie dość wyraźnie słychać było ślady gardłowej wymowy, do której Holger przyzwyczaił się słuchając krasnoluda. – Witaj. I ty, panie rycerzu, jako żeś przyjacielem mego przyjaciela.

Lampart przycupnął, machnął ogonem i obrzucił Holgera podejrzliwym spojrzeniem. Alianora uśmiechnęła się i podeszła, żeby podrapać go w szyję. Otarł się o jej nogi, mrucząc jak silnik Diesla.

– Ten długi młodzian zwie się sir Holger – oznajmił Hugi z powagą. – A ty, synu, sam możesz widzieć, iże to łabądziewa we własnej postaci. Posilim się?

– Hmm... – Holger szukał odpowiednich słów. – To wielka radość móc cię poznać, szlachetna pani. – Rozmyślnie starał się użyć jak najbardziej wyszukanej formy – ona wyraźnie się go obawiała, a lampart ciągle był w pobliżu.

– Och, nie – uśmiechnęła się i odprężyła. – To ja się winnam radować. Niewielu ludzi widuję, tym bardziej tak dzielnych rycerzy. – W jej głosie nie było kokieterii, próbowała jedynie dorównać jego uprzejmości.

– Och, jedzmy nareszcie – huknął Hugi. – Brzuch mi już ze szczętem do krzyża przywarł.

Usiedli na darni. Zęby Alianory wgryzały się w twardy ciemny chleb z równą łatwością jak zęby krasnoluda. Nikt się nie odezwał do końca posiłku. Słońce dotykało już niemal horyzontu i długie cienie zdawały się sięgać aż po kraniec świata. Gdy skończyli jeść, Alianora spojrzała prosto na Holgera i powiedziała:

– Jakiś człowiek cię szuka, panie rycerzu. Saracen. Jest ci on przyjacielem?

– Ach, hmm... Saracen! – Holger zamknął usta, aż szczęknęły zęby. – Nie. Ja... ja jestem z daleka. Nie znam nikogo takiego. Musisz się mylić.

– Być może – powiedziała Alianora ostrożnie. – Co cię tedy tu do mnie sprowadza?

Holger powiedział o swych wątpliwościach, o tym, że nie wie czy może ufać wiedźmie. Dziewczyna zmarszczyła brwi, mała fałdka między dwiema czarnymi kreskami.

– Tego, boję się, nie umiem ci powiedzieć. – Wyglądała na zmartwioną. – Jeno z ciemnym towarzy-

rza opadały ku sosnowemu lasowi. Alianora zabrała się z zapałem do budowy szałasu. Hugi zaczął przygotowywać kolację i Holger poczuł się bezużyteczny. Obserwował jednak z przyjemnością, jak dziewczyna się krząta.

– Jutro – powiedziała, gdy po zapadnięciu zmroku usiedli wokół ogniska – wchodzimy do Faerie. Potem już wszystko w rękach losu.

– Dlaczego tam na wschodzie jest tak ciemno? – spytał Holger.

Alianora spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Zaiste z daleka musisz przybywać, albo jakiś urok został na ciebie rzucony – powiedziała. – Wszyscy przecież wiedzą, że Faryzeusze nie mogą znieść światła dnia, i dlatego wieczny zmierzch u nich panuje. – Skrzywiła się. Blask ogniska kładł się czerwienią na jej młodej twarzy, wydobywając ją z rozciągającego się wokół, jęczącego wiatrem mroku. – Jeśli Chaos zwycięży, może ów półmrok na cały świat będzie położony i nikt już nie zobaczy promieni słońca, ni zielonych liści, ni kwiatów. Tak, myślę, że naprawdę stoję po stronie Ładu. – Zawahała się. – A jednak w Faerie przedziwne piękno się kryje. Sam zobaczysz.

Holger spojrzał na nią poprzez płomienie. Światło odbijało się w jej oczach, muskało włosy i łagodne łuki ciała, a dalej tkało jej płaszcz z ciemności.

– Nie chciałbym być wścibski – powiedział – ale nie mogę zrozumieć, dlaczego taka ładna dziewczyna jak ty żyje w dziczy wśród... wśród ludu, który nie jest jej własnym.

– Och, nie ma w tym nijakiej tajemnicy. – Zapatrzyła się w rozżarzone głownie. Jej głos ledwo do niego docierał poprzez wycie nocnego wiatru. – Krasnoludy znalazły mnie w lesie, niemowlęciem jeszcze. Pewnie byłam dzieckiem jakiegoś zagrodnika, skradzionym w łupieżczym napadzie. Częsta to rzecz w tych stronach. Rabusie na niewolnicę myśleli mnie wychować, potem znudziło im się i w gęstwinie zostawili. Więc mali ludzie, i przyjazne im zwierzęta, mnie wychowali. Byli dobrzy, przyjaźni i dużo mnie nauczyli. W końcu darowali mi ten łabędzi strój, który, jak mówili, kiedyś należał do Walkirii. Za sprawą jego mocy mogę, choć zwykłym człowiekiem urodzona, zmieniać się tak, jak widziałeś i dzięki temu żyć bezpiecznie. Teraz idź gdzie chcesz, powiedzieli. Ale mnie nie ciągną zadymione siedziby ludzi. Tutaj są moi przyjaciele, i przestrzeń, i niebo, którym mogę się radować. I to wszystko.

Holger skinął głową powoli.

Alianora spojrzała na niego.

– Ty jednak niewiele nam powiedziałeś o sobie – uśmiechnęła się niepewnie. – Gdzie jest twój dom i jak się tu dostałeś, nie idąc przez ziemie ludzi ani przez Środkowy Świat, bo przecież zobaczyłbyś po drodze jakie one są?

– Sam chciałbym to wiedzieć – powiedział Holger.

Przez chwilę czuł chęć opowiedzenia jej wszystkiego, całej swej historii, ale prędko z tego zrezygnował. Prawdopodobnie nic by z tego nie zrozumiała. Poza tym, dobrze jest mieć w zapasie jakąś tajemnicę.

– Myślę, że rzucono na mnie czar – powiedział. – Mieszkałem tak daleko, że w moim kraju nigdy nawet nie słyszeliśmy o żadnym z tych miejsc. I nagle, jednej chwili, znalazłem się tutaj.

– Jak twój kraj się nazywa? – nalegała.

– Dania.

Zaklął pod nosem, gdy wykrzyknęła:

– Słyszałam o twoim królestwie! Mimo że odległe, szeroką cieszy się sławą. Chrześcijański kraj, leżący na północy Imperium, tak?

– Hmmmm... no... to nie może być ta sama Dania. – Akurat! – Moja leży w... – Nienawidził myśli, że musi jej kłamać w żywe oczy. Żeby chociaż półprawda... Chwileczkę, kiedyś włóczył się po Stanach... – Ja myślę o miejscu w Południowej Karolinie.

Potrząsnęła głową.

– Zdaje mi się, że ty coś skrywasz. No cóż, skoro taka twa wola. My z pogranicza nauczyliśmy się nie być zbyt ciekawi.

nymi, zwisającymi do kolan ramionami. Jego głowa była duża i okrągła z płaskim nosem, szpiczastymi uszami i ustami jak cięcie nożem. Skórę miał bezwłosą i szarą.

– Ach, toż to Unrich! – krzyknęła Alianora. – Nie myślałam, że zapuszczacie się tak daleko na wzgórza.

– Och, psyslim tu, a jakze. – Stwór przykucnął i przyjrzał się uważnie Holgerowi okrągłymi oczami. Ubrany był tylko w skórzany fartuch, w dłoni trzymał młot. – Stolnie nowo rąbiem tamój. – Machnął ręką w stronę połowy okolicznych pagórków. – Złoto tu lezy, w onych wzgózach.

– Unrich jest gnomem – wyjaśniła Alianora. – Przez rodziny borsucze go poznałam.

Nowo przybyły był równie żądny nowych plotek, jak chyba każdy w tym świecie. Historia Holgera musiała być opowiedziana od samego początku. W końcu gnom potrząsnął głową i splunął.

– Niezbyt psyjazny to gród kaj idzieta – powiedział. – A nynie scególnie, kiej Środkowy Świat swoje hordy woła.

– Tak – powiedział Hugi – zimne na Alfrikowym zamku powitanie mogą nam zgotować.

– Powiadajo, elfy i trolle psymieze zawarły. A kiej one klany społu sie schodzo, cósik duzego sie gotuje.

Alianora nachmurzyła się.

– Nie bardzo mi się to podoba – powiedziała. – Słyszę, że czarni magowie przez granicę coraz śmielej chodzą, ku sercu Imperium nawet. Tak to wygląda, jakby bastion Ładu runął i Chaos do woli mógł się po świecie rozlewać.

– Ony bastion to było święte zaklęcie, na Cortanie połozone. Jeno nynie ony miec lezy kajś pogzebany, z dala od óc wselakich. A kiejby go i wykopać, to nie uświadcys takiego, co by nim robić zdołał – powiedział Unrich z nutą pesymizmu w głosie.

Cortana, pomyślał Holger. Gdzie ja słyszałem to imię?

Unrich sięgnął do kieszeni fartucha i, ku zaskoczeniu Holgera, wyjął niezgrabną, glinianą fajkę i mieszek czegoś, co wyglądało jak tytoń. Skrzesał ogień kilkoma uderzeniami krzemienia o stal i zaciągnął się głęboko. Holger przyglądał się temu pożądliwie.

– Smocza to jakowaś sztuczka, to twoje zianie dymem – powiedział Hugi.

– Ja to lubie – odparł Unrich.

– I zupełnie słusznie – wtrącił się Holger. – „...kobieta jest tylko kobietą, a dobre cygaro to rytuał."

Wszyscy troje spojrzeli na niego uważnie.

– Nie słyszałem nigdy o ludziach, którzy w ten sposób demony udają – powiedziała Alianora.

– Pożycz mi fajki – powiedział Holger do Unricha – i patrzcie wszyscy!

– Ta za dobra, by ji dawać. – Goblin zanurkował w jaskinię i chwilę później wrócił z dużą fajką z wrzośca. Holger ubił, zapalił i zaczął wypykiwać radosne chmury. Nie przypuszczał, żeby w fajce był tytoń – ziele było mocne jak wszyscy diabli, ale nie gorsze niż to, co palił we Francji przed wojną czy w Danii w jej trakcie. Hugi i Unrich chichotali, Alianora zanosiła się śmiechem.

– Ile za to chcesz? – spytał Holger. – Mam zbywającą opończę i wymienię ją na tę fajkę z krzesiwem i mieszkiem tytoniu – tego ziela do palenia.

– Zgoda! – powiedział Unrich natychmiast. Holger zaczął podejrzewać, że mógł ubić lepszy interes. Och, niech mu będzie.

– Mógłbyś mieć tyle przyzwoitości, żeby dorzucić trochę jedzenia – powiedziała Alianora.

– Kiej to ty prosis – Unrich znowu zniknął we wnętrzu jaskini.

Alianora spojrzała na Holgera ze współczuciem.

– Wy ludzie, jesteście mało praktyczną rasą – westchnęła.

Ruszyli znowu w drogę, bogatsi o kilka bochenków chleba, ser i wędzone mięso. Mimo że okolica stawała się coraz bardziej nierówna i dzika, Papillon zdawał się zupełnie tego nie odczuwać. Ponura ciemność na wschodzie wyrastała przed nimi jak niematerialny mur. Pod wieczór zatrzymali się w miejscu, które było chyba grzbietem tego łańcucha – poniżej, porośnięte z rzadka kępami drzew i krzaków wzgó-



stwem się zadałeś, panie rycerzu. Matka Gerda to nie jest dobra dusza, a i każdy tu wie jak przewrotny potrafi być książę Alfrik.

– Więc sądzisz, że lepiej, żebym do niego nie jechał?

– Tego nie twierdzę. – Była naprawdę strapiona. – Nic nie wiem o jaśnie panach z Faerie. Znam jeno kilkoro pomniejszych ze Środkowego Świata, kilka koboldów i skrzatów, jedną czy dwie leśne rusałki i innych takich.

Holger zamrugał. I znowu się zaczynało. Zaledwie zaczynał sobie wyobrażać, że jednak jest przy zdrowych zmysłach, że jego sytuacja, jakkolwiek nieprawdopodobna, jest jednak wytłumaczalna, gdy oni znowu zaczynali swoje, mówiąc o rzeczach nadprzyrodzonych, jakby były częścią codziennego życia.

No cóż... być może były, tutaj. Przecież, do cholery, sam przed chwilą widział jak łabędź zmienia się w człowieka. Złudzenie czy nie, nie przypuszczał, żeby coś podobnego mógł kiedykolwiek zobaczyć u siebie.

Początkowy szok i wynikające z niego otępienie powoli, ale wyraźnie ustępowały. Całym swoim jestestwem zaczął sobie zdawać sprawę jak daleko jest od domu, i jak jest samotny. Zacisnął pięści, powstrzymując przekleństwa albo płacz.

Starając się zająć sobie czymś głowę, spytał:

– Mogłabyś mi powiedzieć coś więcej o tym Saracenie?

– Ach, on. – Dziewczyna zapatrzyła się w wieczorne odblaski światła na jeziorze. Nad nim, w ogromnej ciszy, przemykały jaskółki. – Ja go nie widziałam, jeno las pełen jest tej opowieści, krety mamroczą ją w swoich norach, borsuki innym powtarzają, potem łapią ją zimorodki i kruki i wykrzykują na cały świat. Słyszę zatem, że kilka już tygodni samotny wojownik, Saracen ze stroju i wyglądu wnosząc, jeździ tam i siam po tych stronach wypytując o chrześcijańskiego rycerza. Nie zdradził po co go szuka, jeno rycerz ten, jak go Saracen opisuje, twojej jest postaci: jasny olbrzym na czarnym koniu, noszący znak... – Spojrzała na Papillona. – Nie, twoja tarcza jest zakryta. Herb, o którym on mówi to trzy serca i trzy lwy.

Holger zesztywniał.

– Nie znam żadnych Saracenów – powiedział. – W ogóle nikogo tutaj nie znam. Przybyłem ze stron bardziej odległych, niż jesteście w stanie zrozumieć.

– Może to wróg twój jakowyś, śmierci twej szukający? – spytał Hugi z zainteresowaniem. – A możeć on przyjaciel?

– Powiedziałem już, że go nie znam! – Holger uświadomił sobie, że krzyknął. – Przepraszam. Czuję się jak dziecko we mgle.

Oczy Alianory rozszerzyły się zdziwieniem.

– Dziecko we mgle? Ach, tak. – Jej chichot brzmiał słodko. – Ładne powiedzenie.

Gdzieś w zakamarku pamięci Holger odnotował na przyszłość, że popularne w jego świecie powiedzonka tutaj mogą uchodzić za mądrość pierwszej wody. Jednak przede wszystkim myślał o Saracenie. Kimże on, do diabła, jest? Jedynym muzułmaninem, jakiego kiedykolwiek znał był nieśmiały, maleńki Syryjczyk w wielkich okularach, studiujący na tym samym wydziale. Ten Saracen w żadnym wypadku nigdzie by nie myszkował, szczególnie ubrany w jedną z tych metalowych skorup!

On, Holger, ze względu na konia i ekwipunek musi być brany za kogoś, kto przypadkowo go przypomina. A to mogło oznaczać prawdziwe kłopoty. Nie ma sensu samemu szukać tego saraceńskiego wojownika. Z pewnością nie ma sensu!

Ogarnęło go pełne rezygnacji przygnębienie.

– Pojadę do Faerie – powiedział. – Chyba nie mam żadnego wyboru.

– A i najlepszy to wybór dla śmiertelnika – powiedziała Alianora grobowym głosem. Pochyliła się ku Holgerowi. – A ty po której stronie się opowiadasz? Ładu czy Chaosu?

Holger zawahał się.

– Nie lękaj się – ponagliła. – Ja prawie z każdym żyję w pokoju.

– Ładu, jak sądzę – powiedział z namysłem – chociaż niewiele wiem o tym świe... o tym kraju.

– Tak i myślałam – powiedziała Alianora. – Ja też jestem człowiekiem i chociaż stronnicy Ładu często moczymordami i nieokrzesańcami bywają, to jednak myślę, że ich sprawa bliższa mi niż Chaosu. Pójdę tedy z tobą, panie rycerzu. Być może w Środkowym Świecie będę ci mogła służyć jakąś pomocą.

Holger zaczął protestować, ale ona podniosła szczupłą rękę, żeby go uciszyć.

– Nie, nie, ni słowa już o tym. Niewielka w tym groźba dla mnie, która umiem latać. A poza tym... – zaśmiała się. – Poza tym to może być piękna przygoda, jak myślę.

Nadciągała noc, niosąc gwiazdy i rosę. Holger zrobił sobie posłanie z koca spod siodła. Alianora odeszła, mówiąc, że woli spać na drzewie. Długo leżał, obserwując gwiazdozbiory. Były znajome, ponad nim rozciągało się letnie niebo północnej Europy. Jednak jak daleko był dom? I czy odległość w ogóle miała jakiekolwiek znaczenie?

Przypomniał sobie, że mimowolnie się przeżegnał, gdy Alianora przybierała ludzką postać. Nigdy dotychczas, w ciągu całego swego życia tego nie zrobił. Czy był to tylko wpływ średniowiecznego otoczenia, czy może część tego, co nieświadomie zyskał – znajomości języka, umiejętności konnej jazdy i Bóg wie jeszcze czego? Tym głębsza była samotność, gdy nie znało się nawet siebie samego.

Tutaj nie było komarów. Nawet za drobne łaski należy dziękować. Chętnie jednak powitałby chociaż jednego, jako przypomnienie domu.

W końcu usnął.

Rozdział V

Wyruszyli wczesnym rankiem, Holger i Hugi na Papillonie, Alianora zaś leciała nad nimi jako łabędź, wznosząc się i zataczając kręgi, znikając za drzewami, żeby po chwili znów ukazać się w pionowym locie ku niebu. Wraz ze słońcem podnosił się też nastrój Holgera. Przynajmniej gdzieś jechał i to, zdaje się, w niezłym towarzystwie. Około południa, kierując się ciągle na wschód, dotarli w wyższe rejony wzgórz, w wietrzną, dziką okolicę, pełną poznaczonych bliznami głazów, wodospadów i wąwozów, porośniętą wysoką, twardą trawą i zagajnikami poskręcanych drzew. Holgerowi zdawało się, że horyzont przed nimi jest ciemniejszy niż być powinien.

Hugi ochrypłym głosem zaryczał pełną sprośności piosenkę. Holger, nie chcąc być gorszy, odpłacił mu takimi balladami jak „Szkocki domokrążca" i „Bękart – król Anglii", tłumacząc je z łatwością, która jego samego zadziwiła. Krasnolud ryczał ze śmiechu. Holger zaczął właśnie „Les Trois Orfèvres", gdy padł na niego cień. Spojrzał w górę i zobaczył, że łabędzica krąży nad jego głową, słuchając z zainteresowaniem. Zakrztusił się.

– Hej, śpiewaj no dalej – ponaglił Hugi. – To sprośne jak rzadko.

– Zapomniałem, jak to dalej idzie – powiedział słabo Holger.

Drętwiał na myśl o spojrzeniu w twarz Alianorze, gdy zatrzymają się na obiad. Stanęli w końcu obok gęstych krzaków zasłaniających wejście do jaskini. Dziewczyna, znów w ludzkiej postaci, podeszła do nich lekkim krokiem.

– Droga z tobą, sir Holgerze, pełna jest muzyki – uśmiechnęła się.

– Ummmmm... dziękuję – wymamrotał.

– Chciałabym, żebyś sobie przypomniał co stało się z trzema złotnikami – powiedziała. – Okrutne to było z twojej strony zostawiać ich tam na dachu.

Spojrzał na nią z ukosa. W szarych oczach nie było nic poza szczerością. No cóż, jeżeli dotychczas wiodła życie wśród niezbyt przecież subtelnego małego ludu... Nie miał jednak dostatecznie dużo odwagi.

– Spróbuję sobie przypomnieć – powiedział fałszywie.

Krzaki za nimi zatrzeszczały i zobaczyli, że z jaskini wyłania się jakaś istota. W pierwszej chwili Holger pomyślał, że jest ona zdeformowana, jednak później doszedł do wniosku, iż jest to całkiem normalny przedstawiciel jakiejś nieczłowieczej rasy. Był nieco wyższy niż Hugi i znaczne szerszy, z muskular-



Ryszard Gwinner

Hanna Hamer

Czarownica

– Kiiickiwoort!

Przenikliwy, drażniący ucho dźwięk wdarł się w ciszę pochmurnego poranka. Remex otworzył oczy i zatrzymał wzrok na ścianie gdzie zielonkawym światłem pulsował napis: CHWAŁA RYTUAŁOWI – SZCZĘDŹ CZAS. Natychmiast napiął i rozluźnił mięśnie, starając się nie pominąć żadnej partii ciała. Powtórzył ćwiczenie, po czym zerwał się jednym skokiem, stając nago na kwadracie z ciepłych płytek. Uważał, aby nie nastąpić na którąś z linii oddzielających ciepły kwadrat od letniej i zimnej reszty podłogi. Poprzedniego dnia musiał przez ten błąd wrócić do łóżka i zacząć wszystko od początku.

Gwałtownie wyrzucił przed siebie lewą rękę i prawą nogę. Stękał jednocześnie: „Chwała rytuałowi – szczędź czas". Prawa ręka i lewa noga – „chwała rytuałowi – szczędź czas". I jeszcze raz. I uśmiech. Pamiętać o uśmiechu! Wykrzywił usta, w tej samej chwili osadził go w miejscu niesamowity głos Strażnika Rytuału: „Zatrzymaj się. Wyrzuty kończyn niestaranne. Unoś ręce i nogi wyżej. Popraw rytmiczność. Powtórz ćwiczenie. Chwała rytuałowi". Remex zacisnął pięści i zdusił w ustach przekleństwo.

Wiedział, że pole siłowe powstrzyma go, jeżeli nie zastosuje się do poleceń wypowiadanych głosem, który docierał z niewiadomego źródła. Z wściekłością wykonał powtórnie Pierwsze Pionowe Ćwiczenie Dnia i poszedł się umyć. Odkręcając kurek pamiętał, żeby puścić najpierw zimną, a potem ciepłą wodę. Uważał też, żeby nie pomylić kolejności namydlania ciała, od góry do dołu i od środka na boki. W napięciu czekał na uwagi Strażnika, ale w łazience panowała cisza.

„A jednak jak chcę, to potrafię" – pomyślał z dumą.

Rozluźniony wszedł pod prysznic. Trzy minuty relaksu zanim znów do czegoś go zmuszą. Szmaragdowy kwadrat wibrował pod stopami. Przypomniał sobie, jak kiedyś, jako dziecko, stał w górskim strumyku; mrowienie ogarniało ziębnięte stopy, a on czuł się szczęśliwy. Teraz chodziło się tylko tam Gdzie Należało, a robiło to, co Konieczne i Celowe. Westchnął, po czym szybko wymamrotał: „Chwała rytuałowi". Przed upływem trzeciej minuty zdążył jeszcze przycisnąć się do szmaragdowej ściany, wibrującej podobnie jak płytki pod stopami. Opierał się mocno rękami o gładką powierzchnię, starając się nie myśleć o dzieciach, które powstaną z jego codziennej Daniny na Rzecz Przyszłych Pokoleń jak to nasieniobranie oficjalnie określano. Nie bardzo wiedział dlaczego tak bardzo tego nienawidził, przecież w gruncie rzeczy sam zabieg był dość przyjemny... Czuł, jak pod wpływem masażu sprawnie przeprowadzonego przez wysuwające się ze ściany liczne, ciepłe, wielokształtne macki, ciało zaczyna wbrew jego woli pulsować i nabrzmiewać. Zacisnął mocno powieki w chwili orgazmu. Stał przez chwilę bez ruchu nie otwierając oczu, aby nie dopuścić do wypłynięcia łez, negatywnie punktowanych przez Kontrolę Emocji. Kazano by mu odpocząć i straciłby kilka bezcennych minut.

„Szczędź czas! Szczędź czas!" – dźwięczało mu w głowie jak echo.

Uwolniony od wytworzonego sztucznie podniecenia czuł się pusty także psychicznie. Wkroczył ostrożnie z powrotem pod prysznic, uważając aby wsunąć pod strumień wody najpierw prawą nogę. Dawno już przestał zadawać sobie pytanie, dlaczego nie można zacząć od lewej. Myślenie zdecydowanie przeszkadzało w porannej toalecie. Należało zapamiętać kolejność Obowiązujących Czynności i nie pomijać żadnej z nich. Wtedy miało się to, o czym marzył każdy Simplitańczyk – spokój.

Wychodząc lewą nogą (nigdy prawą!) spod prysznica Remex usłyszał ostry dźwięk kontaktowca. Niezadowolony ze straty czasu wcisnął przycisk wideo, zastanawiając się, czy ukarano by go elektrowstrząsem, gdyby odważył się zareagować nietypowo. Na ekranie drżała sylwetka Medexa, kolegi z pracy i przyjaciela, który nie patrząc mu w oczy, powiedział:

– Nic mi dzisiaj nie wychodzi, stary. Nie potrafię nawet się ubrać. To jeszcze potrwa.

Remex tłumiąc współczucie odparł sucho:

– Już czwarty raz w tym tygodniu? Nie mogę bez przerwy...

– Proszę. Tylko ostatni raz.

– Zobaczę, ale nic nie obiecuję.

– Dziękuję, stary. Może będę mógł się odwdzięczyć.

– Spiesz się. Cześć! – Remex wyłączył wideo i pomyślał:

„Jest zbyt wrażliwy. Znów wyślą go do Uodparniacza".

Z Uodparniacza wracało się twardym albo nie wracało się wcale. Medex był wyjątkiem. Dalej przejmował się byle czym i dalej pakował się w kłopoty. Remex spojrzał na odliczas i zdrętwiał. Zostało tylko sześć minut na ubranie się i jedzenie. Następny posiłek dopiero wieczorem. Biegiem ruszył do kabiny ubiorów i przez pomyłkę o mało nie wcisnął guzika z napisem „czerwień". A przecież dzisiaj piątek. W piątki obowiązywał granat. Z koncentrycznych otworów z sykiem wydostała się ciemna chmura piany, otaczając go w ciągu minuty szczelnie dopasowanym kombinezonem. Wyszedł z kabiny przyczesując włosy – pięć razy w lewo i tyle samo w prawo. W kuchni zatrzymał się na moment wypatrując odpadków z kolacji. Właściwie powinien obejść pomieszczenie dwukrotnie i sprawdzić. Zaryzykował i wcisnął przycisk „śniadanie piąte". Wszystko w porządku. Odebrał piątkowy zestaw z szybu windy, przełknął szybko grzanki z serem, poparzył usta kawą i wrzucił naczynie do szybu. Jeszcze tylko pół minuty! Otarł usta i wybiegł z mieszkania zatrzaskując za sobą drzwi.

W głębi lasu, na niewielkiej polance stał prymitywny szałas. Wewnątrz, na krześle z mchu siedziała Gerolucja i karmiła piersią maleńkie, pomarszczone dziecko.

„A jednak udało się" – myślała z dumą. „Wbrew ohydnemu prawu Probówkowców wydałam cię na świat. Jesteś dwudziestym szóstym Simplitańczykiem urodzonym naturalnie, w trzecim walczącym pokoleniu. Przepowiednia mówi, że wyzwolenie przyniesie Simplitanii układ cyfr – 2 – 6 – 3. Na pewno chodzi o ciebie".

Zasłona z jałowca się uchyliła i do szałasu wszedł Polian. Gerolucja spojrzała na niego rozpromieniona.

– Usnął wreszcie – powiedziała z uśmiechem – okropny żarłok z naszego malca. Zbiera siły.

Polian położył jej rękę na ramieniu.

– Musimy znów uciekać. Obława zbliża się. Wóz matek i dzieci czeka na ciebie.

Gerolucja bez słowa otuliła niemowlę, ubrała się cieplej i szybko zebrała skromny dobytek. Polian popatrzył na nią z czułością.

– Jesteś dzielna – rzekł – i wiem, że zrozumiesz. Nadeszła moja kolej.

Spojrzała na męża przerażona. Jej oczy wypełniły się łzami.

– Dlaczego? – wyszeptała. – Dlaczego ty? Przecież zostałeś ojcem! Musisz bronić syna!

– Właśnie po to, żeby bronić nasze dzieci, ktoś musi stanąć w pierwszej linii – w głosie Poliana było zmęczenie. – Proszę, nie utrudniaj mi odejścia.

Gerolucja złożyła dziecko na mchu i przytuliła się do mężczyzny. Objął ją mocno, zaciskając powieki. Tuż koło szałasu zabrzmiało cykanie świerszcza. Gerolucja oderwała się od Poliana i schyliła po dziecko. Kiedy wstała – męża nie było w szałasie. Przywiązała sobie malca do pleców i wyszła w mrok.

Remex stał przed windą i z pasją szarpał metalową kratę. Dopiero po chwili przypomniał sobie, że nie wykonał dwóch skłonów w przód i w tył. Nie podał też obowiązującej formułki.

– Chwała rytuałowi – wychrypiał z wściekłością, zginając się w pasie. Drzwi ustąpiły i winda pomknęła sto dwanaście pięter w dół – prosto przed drzwi biura, w którym był zatrudniony. Wpadł do pokoju w tej samej chwili, w której zabrzmiał gong sygnalizujący początek pracy.

„Chwała rytuałowi – szczędź czas" – zabrzmiał znów metaliczny głos. Remex wzdrygnął się, jak co dzień, i podał komputerowi swój i Medexa numer identyfikacyjny wraz z godziną przyjścia do pracy. Następnie zabrał się do nanoszenia punktów ujemnych na karty spóźnień pracowników biura. Po tygodniu należało przedstawić punktację łączną i przesłać informację o gratyfikacjach i karach do centrali, gdzie porównywano wykazy Remexa z kartami komputerowymi.

„To zupełnie idiotyczne – myślał – zamiast robić coś sensownego dubluję pracę komputera. I to raczej ja się pomylę, nie maszyna i wlepią mi za karę następne rytualne ukłony. Czy nie przesadzają z dyscypliną? Cóż to ma za znaczenie, że się ktoś spóźni? Bojąc się ustawicznie kary i wysilając się jak ja w celu oszukiwania Kontroli, będzie tylko gorzej pracował. A jednak system uchodzi za sprawiedliwy. Tylko dlatego że jest podobno jednakowy dla wszystkich? Czy coś równie idiotycznego może być zarazem sprawiedliwe?"

Rozważania przerwał mu przenikliwy dźwięk Najważniejszego Wezwania. Biegiem rzucił się w stronę gabinetu sekretarza Władcy. Przez otwór w drzwiach wysuwał się rulon papieru, na którym widniał jego, Remexa numer identyfikacyjny. Podniósł wydruk do oczu i przeczytał: *Czterokrotne podanie fałszywych danych*. „To o Medexie" – przemknęło mu przez głowę. *Degradacja o dwa stopnie w hierarchii służbowej*. „O Simplitanio!" – jęknął w duchu. „Im chyba chodzi o pilnowanie wykonywania wyroków". *Obowiązują ponadto dwa nowe rytuały podczas spożywania posiłków. Opis w katalogu MX/12/003/7NNW/OO. Koniec.*

„No, to już rzeczywiście koniec" – pomyślał zrezygnowany. „Dwa rytuały więcej. Ja zwariuję!"

W tej samej chwili wpadł zdyszany Medex.

– Czytaj – warknął Remex podsuwając mu nieszczęsny papier pod nos.

Medex przebiegł tekst wzrokiem i wyjąkał zmieszany:

– Musimy to wyjaśnić. Przecież nie mogą ukarać cię za mnie.

Remex pokręcił głową.

– Nie ma nic do wyjaśniania. Wszystko wiedzą. Sfałszowałem dane i tyle.

– Ale zrozum – przekonywał Medex – punkty ujemne lecą za spóźnienia, a nie za moralną postawę. I jeszcze ta degradacja. Idziemy – dokończył z determinacją – powiem facetowi...

– Skąd wiesz, że to akurat facet?

– Zaraz się dowiemy.

Medex podszedł do drzwi, z których zwisał jeszcze rulon i delikatnie zapukał. Cisza. Zapukał mocniej. Żadnej reakcji. Kopnął i zaczął z furią walić pięściami. Remex patrzył na przyjaciela przerażony, a ten nagle cofnął się kilka kroków i uderzył w drzwi z impetem. Ustąpiły. Klamka była tylko z drugiej strony. Remex wszedł za kolegą do obszernego pomieszczenia. Medex gramolił się z podłogi, w pokoju znajdował się jedynie taśmociąg do przesyłania wydruków. Taśmociąg prowadził do następnego pokoju, identycznego jak poprzedni. Szli zaintrygowani przestając liczyć mijane sale.

Zatrzymała ich dopiero metalowa ściana z jaskrawoczerwonym opalizującym napisem STOP. Z odnogi taśmociągu spłynął rulon wydruku komputera. Medex podniósł go z podłogi i przeczytał na głos:

– Medex, nr identyfikacyjny 6574832223489. Kara za niesubordynację, przekroczenie przepisu przebywania w ściśle wyznaczonym rejonie, zdemolowanie drzwi, kwestionowanie zasadności wyroku Władzy – degradacja o trzy stopnie w hierarchii służbowej. – Pobladły upuścił papier.

Remex podniósł kartkę i czytał dalej:

– Remex, nr identyfikacyjny 6574832223490. Nadzór nad właściwym wykonywaniem obowiązków przez Medexa spowoduje awans o jeden stopień w hierarchii służbowej. Koniec.

Remex spojrzał na Medexa, który właśnie chwytał się za brzuch, jakby miał dostać torsji. Odwrócił się i pomyślał: „To już przesada. Też się boję, ale trzeba mieć trochę godności".

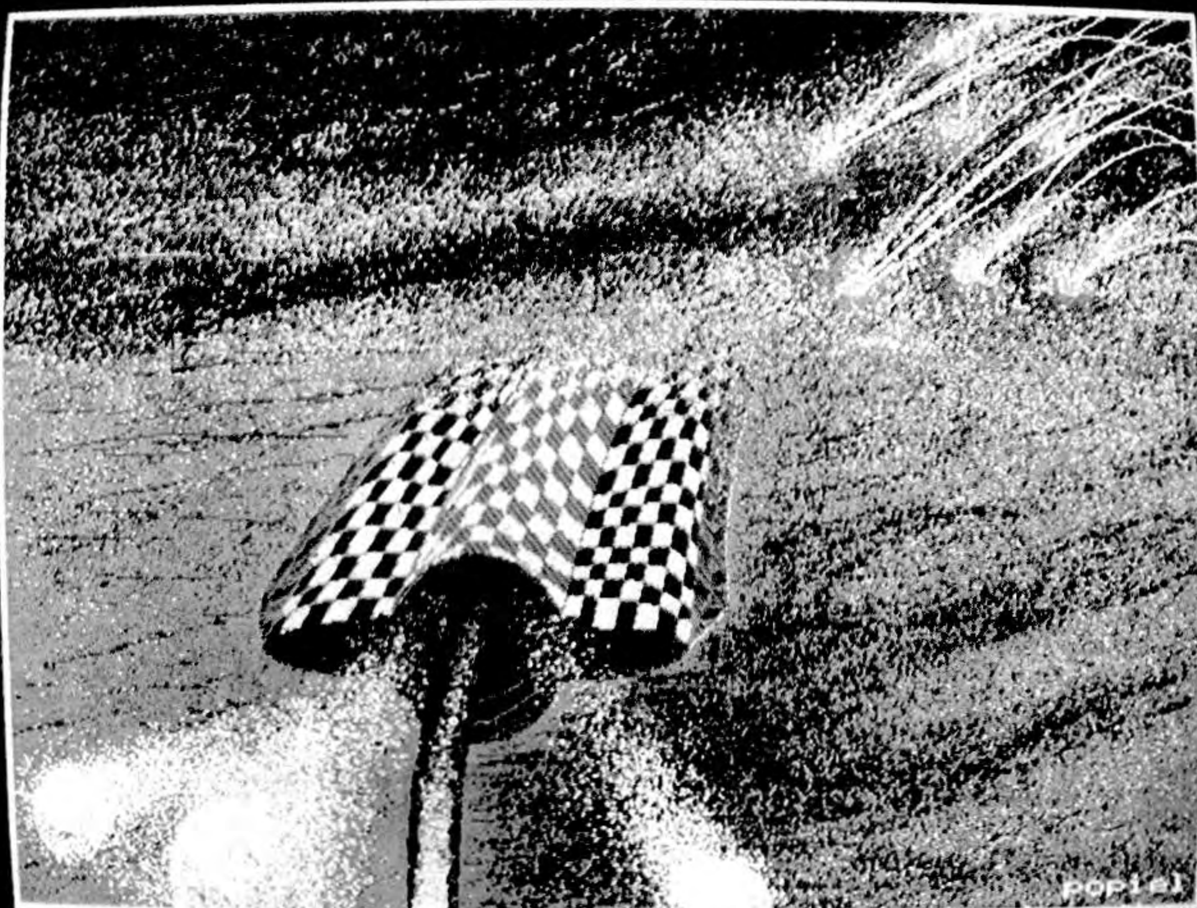
– Stary – przerwał ciszę Medex. – Wiesz, na czym mają polegać moje obowiązki? –

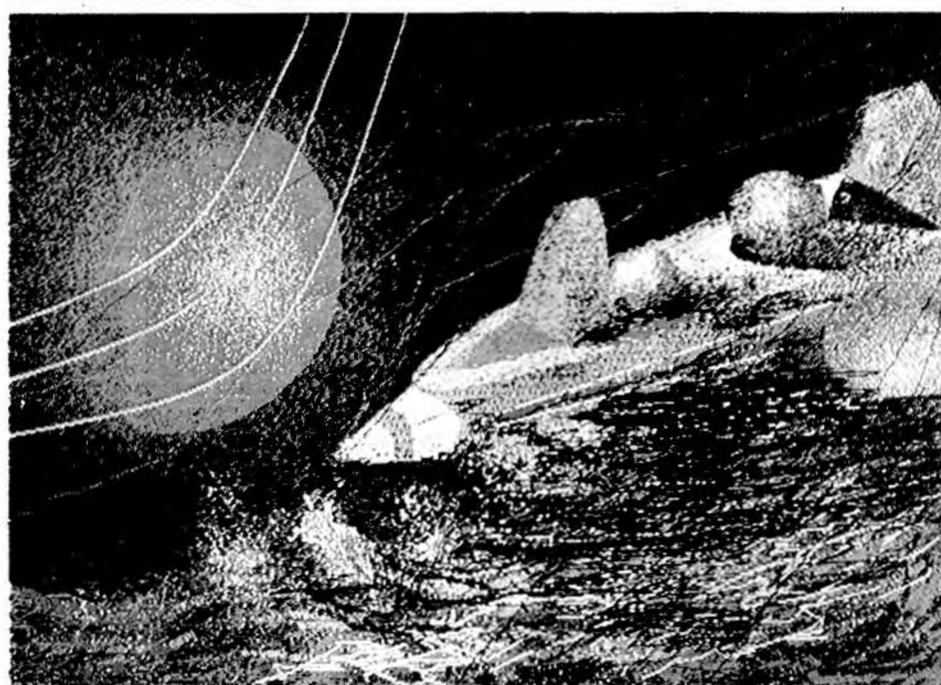
Remex wzruszył ramionami.

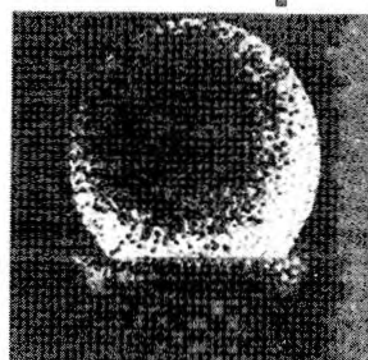
– Nie. Ale cokolwiek by to było za bardzo się rozklejasz. Chyba nie będą zmuszać cię do zabijania?

– Gorzej, stary – wyszeptał Medex.

– W tej samej chwili podłoga się zapadła i runęli w dół.



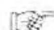




NACIŚNIJ

ENTER

...Traktujemy to nowe medium jako rzecz naturalną. Tak więc z pewnym niedowierzaniem słuchamy pytań w rodzaju: czy komputery musiały wkroczyć na teren sztuki. Czy nie byłoby słuszniej oddzielić dwie przestrzenie i sprawić, by rozwijały się niezależnie. Słowem, które zazwyczaj towarzyszy takiemu rozumieniu jest „odhumanizowanie". Jeśli uświadomimy sobie, że urządzenie to zostało wymyślone przez człowieka, a grafik sam, własnoręcznie przy jego użyciu, linia po linii i kolor po kolorze namalował obraz na ekranie monitora zarzut o odhumanizowaniu wydać się musi bezpodstawny. Sztuka bowiem niezależnie od stosowanych technik jest zapewne jednym z niewielu miejsc broniących się przed zagrożeniem wynikającym bezpośrednio z industrializacji świata. Jest ona obszarem, w którym chętnie manifestujemy swą integralność i humanistyczną obecność.



Gerolucja przedzierała się przez splątane, kolczaste krzewy. Twarz i ręce kobiety spływały krwią, ale dziecko na jej plecach spało spokojnie.

„Polian nie wie – myślała – jest tylko mężczyzną i nie może się dowiedzieć, jaką posiadam moc, bo ją utracę. Ale przecież mogę i muszę im pomóc. Powinnam zdążyć. Probówkowcy nigdy nie walczą w ciemności".

Świtało, kiedy dotarła na skraj lasu. Widok, który ujrzała, odebrał jej na chwilę dech. Wysokie postacie w kombinezonach układały na wozach zwłoki jej przyjaciół. Było po bitwie. Gerolucja uniosła ręce w górę i zacisnąwszy pięści poczęła szeptać zaklęcia. Jej naprężone ciało zadrżało. Zaczęły się z niej wyłaniać fantomy kobiet identycznych jak ona. Każda miała przywiązane na plecach dziecko. Z nieruchomym wzrokiem kobiety ruszyły w kierunku żołnierzy, którzy przerwali załadunek. Prawdziwa Gerolucja zbliżyła się do dowódcy, ten podniósł broń. Zmrużyła oczy. Skupiona wiązka promieniowania Gaa trafiła w jego ciało. Po upływie czterech sekund przekształcił się w dziwaczną roślinę. Gerolucja rozejrzała się. Z oczu fantomów płynął strumień promieniowania Gaa, ale wszyscy żołnierze stali wpatrując się w kobiety. Zachwiała się w przeczuciu klęski.

„Już wiem – przemknęło jej przez myśl – to tylko roboty. Użyli robotów do walki w ciemności i dlatego zaskoczyli naszych".

Energia Gero wyczerpywała się. Osuwając się na ziemię dostrzegła jeszcze zbliżające się sylwetki Probówkowców.

Fantomy rozpłynęły się w powietrzu. Mężczyźni otoczyli leżącą bezwładnie Gerolucję.

– Nie zabijać – przenikliwy krzyk powstrzymywał uniesione w górę ostrza – zawiązać jej oczy czarną burnu.

Jeden z żołnierzy oddarł rękaw swojego kombinezonu i pochylając się owinął nim głowę Gerolucji.

– Ostrożnie – wydawał kolejne polecenia ten sam donośny głos. – Przenieść ją na wóz razem z dzieckiem. I załadować ten poskręcany krzew leżący obok. Ostrożnie. Nie wolno ułamać ani jednej gałązki. Nie wolno uszkodzić go w żaden sposób. Uważajcie. Bardzo uważajcie.

Wykonywali polecenia starannie. Wozy z poległymi właśnie odjeżdżały. Na jednym z nich leżał Polian i nie widzącym wzrokiem patrzył w niebo.

Remex ocknął się w niewielkim pomieszczeniu. Obok leżał nieprzytomny Medex. Ze ścian sączyło się fioletowe światło. Rem potrząsnął ramieniem przyjaciela.

Ten otworzył oczy tocząc wokół błędnym wzrokiem. Nagle wyrzucił ręce w górę i zacisnął palce na gardle Remexa.

– Nie dostaniecie mnie – syknął – nie będę tego robił. Nigdy!

– Med, przestań – krztusił się Rem odrywając palce gniotące szyję – to przecież ja. Przestań!

Medex zamarł. Ukrył twarz w dłoniach.

– Przepraszam – wyjąkał – chyba tracę zmysły. Moim zadaniem będzie teraz zmuszanie kobiet, które bezprawnie urodziły dziecko, aby same pozbawiały je życia. Ostrzegali mnie w czasie ostatniej wizyty w Uodparniaczu, że zmuszą mnie do tego. Taka jest kara za niepodporządkowanie się prawu Probówkowców. To ma też być przestrogą dla innych. Musiałem już to zrobić podczas pobytu w Uodparniaczu, wiesz, ta moja karna zsyłka. Nie masz pojęcia, ile kobiet decydowało się na dziecko. Ja tego nie wytrzymam.

– Na razie – wtrącił uspokajająco Rem – nie ma tu żadnej kobiety. Właśnie – gdzie oni je trzymają? Wieki nie widziałem żadnej kobiety.

– Przez te wybryki z nieplanowanymi dziećmi zaczęli je izolować. Nie wiem, gdzie są, ale na pewno dobrze pilnowane. Właściwie tak lepiej. Na widok kobiety dzieje się ze mną zawsze coś dziwnego, jak podczas Daniny, ale to jest o wiele silniejsze. Nie mogę się opanować, działam instynktownie. Probówkowcy śmieli się. Oni tego nie czują.

Rem zastanowił się.

– Słuchaj, czy my mieliśmy naturalnych rodziców, czy też jesteśmy Probówkowcami?

– Tego się nie dowiesz – brzmiała odpowiedź. – Tajemnica. Kiedyś spróbowałem pytać, ale komputer zawsze odmawia odpowiedzi.

Gerolucję wprowadzono do wielkiej hali i posadzono na fotelu. Na jej rękach i nogach zatrzasnęły się metalowe obręcze. Na twarzy wciąż miała czarną burnu.

– Nie wiedzą, że utraciłam moc – pomyślała. – Chyba... chyba, że ten, kto widział mnie podczas emisji energii Gero nie jest mężczyzną, tylko robotem. W tym przypadku słusznie się mnie obawiają.

Ktoś zdjął jej przepaskę z oczu. Oślepiona światłem przymknęła powieki. Kiedy je znów otworzyła w sali nie było nikogo. Przed Gerolucją znajdowała się olbrzymia maszyna migająca tysiącami światełek. W głębi hali pracowały ogromne monitory, podzielone na setki sektorów. Widziała na nich obrazy z różnych miejsc planety: fragmenty pól, lasów, kosmodromu, zabudowań, korytarzy, wnętrza pokoi mieszkalnych i cel więziennych.

„Perfekcyjni szpicle" – pomyślała z niechęcią.

– Witaj w Centrum, Gerolucjo – zabrzmiał głuchy głos. – Kiedy odpoczywałaś zbadaliśmy twój mózg. Wiemy o tobie wiele. Rozumiemy też, że działałaś w szoku po śmierci męża. Jesteśmy gotowi wybaczyć, jeśli zgodzisz się na współpracę.

„Muszę być im do czegoś niezbędna" – pomyślała.

– Nie ma mowy o jakiejkolwiek współpracy dopóki nie oddacie mi syna.

– Czy nie za wcześnie na stawianie warunków?

– To właściwy moment – powiedziała twardo.

– Odzyskasz syna, jeśli odczarujesz krzew, porażony przez ciebie promieniowaniem Gaa.

„A więc mój syn żyje" – pomyślał z ulgą, po czym roześmiała się w głos.

– Czyżbyście sądzili, że nie potrafię przewidywać konsekwencji własnych działań? Jeśli oboje z synem jeszcze żyjemy, to znaczy, że ten, którego zaczarowałam, jest dla was wiele wart. Zgodzicie się na każdą cenę, aby go odzyskać. Kto to jest?

– Jeden z naszych najlepszych dowódców.

– I zwrócicie nam wolność za jego życie?

– Nie tak szybko.

– Jakie mam gwarancje, że nie zginiemy po odczarowaniu tego człowieka?

– Musisz nam zaufać. Nie wypuścimy cię, ale zachowasz życie.

– Chcę zobaczyć i dotknąć dziecko. Jeśli zrobiliście mu krzywdę, rozmowa nie ma sensu.

– Uważaj. Nadużywasz naszej cierpliwości.

– Wy mojej także. Nie powiem więcej ani słowa, dopóki nie zwrócicie mi chłopca.

Zapadła cisza. Do sali wszedł robot niosąc w metalowych ramionach płaczące niemowlę. Gerolucja wyprostowała się i powiedziała rozkazującym tonem:

– Rozkuj mnie natychmiast.

Robot złożył dziecko na jej kolanach i czekał. Światełka na jego głowie migotały podczas rozkodowywania informacji. W chwilę później pochylił się i uwolnił jej ręce i nogi. Chwyciła dziecko w ramiona tuląc je i uspokajając. Po czym nakarmiła malca, który ssał łapczywie, aż najedzony usnął. Wtedy rzekła:

– Zanim przystąpię do działania, muszę uzyskać odpowiedź na trzy pytania.

Hanna HAMER

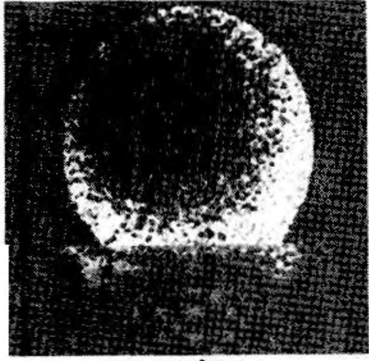
Ukończyła studia na Uniwersytecie Warszawskim. Jest doktorem psychologii, pracuje jako adiunkt w Instytucie Pedagogicznym Akademii Rolniczej i publikuje teksty popularnonaukowe w „Fikcjach i Faktach". W numerze 4/85 drukowaliśmy jej opowiadanie „Karaluch".

(mp)

– Słuchamy.
– Po pierwsze – kim jesteś? Po drugie – kim jest naprawdę ta tak ogromnie ważna dla was roślina? Nie lubię być traktowana jak osoba umysłowo upośledzona. Musisz mi powiedzieć, dlaczego ten ktoś jest wam tak niezbędny, że zawracacie sobie głowę zwykłą czarownicą. I po trzecie – dlaczego prześladujecie ludzi chcących mieć naturalne potomstwo? Skąd prawo, że dzieci muszą być sztucznie wyhodowane w probówkach?
– Wiesz oczywiście, że ceną za odpowiedzi na te pytania jest dożywotnia współpraca z nami? To są tajemnice państwowe.
– Wiem. Sądzę, że mogę wam się przydać. Poznanie prawdy nie zniszczy mnie przecież. Nie opłaci wam się mnie zabijać.
– Zgoda. Najpierw pytanie trzecie. Kombinacje przypadkowych genów stanowią marnotrawstwo potencjału inteligencji galaktycznej. Prowadzimy racjonalną hodowlę. Dlatego karzemy bezmyślne jednostki chcące nam przeszkodzić w rozwoju nadcywilizacji. Pytanie drugie. Ta, jak określiłaś – roślina – jest moim synem. Jesteś matką, więc powinnaś rozumieć moje uczucia. A kim ja jestem? Jestem władcą tej planety. Jedynym i nie zwyciężonym przez nikogo.
– Chciałabym cię zobaczyć – wtrąciła Gerolucja.
– To niemożliwe.
– Czego się obawiasz?
– Mój widok może być trudny do zniesienia.
– Simplitańska legenda czyni z ciebie potwora. Ale na podstawie tego, co z nami robisz, a nie wyglądu.
– Słyszeliśmy o przepowiedni, że kobieta, która ujrzy naszą twarz, ześle na nas nieszczęście.
– Czyżby władca był przesądny? – spytała ironicznie Gerolucja. – Jestem po prostu ciekawa, jak każdy. W jaki sposób mógłbym ci zagrozić? Jeśli zaspokoisz mój kaprys, spełnię twoją prośbę.
– A więc patrz!
Na olbrzymich monitorach zgasło światło, a kiedy zapaliło się ponownie, Gerolucja wydała przeraźliwy okrzyk. Z obydwu ekranów patrzył na nią wypukłymi oczami ogromny czarny pająk.
– Produkujecie mutanty – wyszeptała z przerażeniem.
– Nasza inteligencja, wasze kształty. Dopracowaliśmy się po wielu latach idealnego zestawu. Ten, którego zaczarowałaś stanowi optymalną krzyżówkę, a ponieważ w genetyce nic nie wiadomo na pewno, zależy nam na odzyskaniu go. Będzie panował po mnie.
– Nigdy. I nie odczaruję go teraz. Nie chciałabym zginąć zbyt szybko. Dopóki on ma obecną postać, jesteśmy z synem bezpieczni. Dobrze wiesz, że energia Gero może być wycofana tylko przez osobę, która ją wysłała.
– Dosyć! Zmienimy twoją decyzję. Następnym razem będziesz błagać o pozwolenie zastosowania swojej mocy.
Monitor zgasł. Gerolucja przytuliła dziecko. Nie broniła się, kiedy roboty pociągnęły ją do wyjścia. Jej długie, czarne włosy omiatały metalową podłogę. Strażnik-Probówkowiec rzucił się w jej stronę z czarną burnu w rękach, ale nie zdążył. Z oczu Gerolucji wytrysnął strumień energii Gero i mutant zamienił się w karłowatą roślinę. Jeden z robotów podniósł burnu i zasłonił nią oczy kobiety, nie dotykając jednak dziecka.
A zatem podczas wytwarzania fantomów i emisji promieni Gaa widział mnie tylko Pająk – pomyślała Gerolucja – zachowałam swoją moc.

Szli korytarzami wielokrotnie zmieniając kierunki. Zatrzymali się przed jednymi z tysięcy metalowych drzwi i robot otworzył je laserowym kluczem. Drugi skrępował drutem jej ręce, tak jednak, by mogła utrzymać syna. Wepchnęli ją do środka.
– To czarownica – powiedział robot do dwóch mężczyzn. – Nie chodzi o wykonanie wyroku na jej dziecku, ale z nią możecie robić wszystko. Jest wasza. Może być niebezpieczna, jeśli zdejmiecie jej burnu.
Trzask drzwi uświadomił Gerolucji, że musi działać.
– Kim jesteście – spytała. – Pewnie więźniami, jak ja. Nie wierzcie im i zdejmijcie mi zasłonę z twarzy. Nie mogę oddychać.
Medex podszedł bliżej i dotknął jej włosów.
– Jesteś kobietą – stwierdził – prawdziwą kobietą. Od miesięcy nie dotykałem kobiety.
Przysunął twarz chłonąc jej zapach. Gerolucja cofnęła głowę.
– Zostaw ją – ostrzegł Remex. – Sam mówiłeś, że w takich sytuacjach przestajesz myśleć.
– Przestaję – zaśmiał się głupkowato Med.
– Uważaj, to podobno czarownica.
– Wszystkie są czarownicami – wymruczał Med rozwiązując Gerolucji ręce – wszystkie, bez wyjątku. Pilnuj tylko, stary, żeby nie zdjęła tej szmaty.
Kiedy cios w głowę powalił ją na ziemię, Gerolucja nie straciła przytomności, i nie upuściła dziecka. Medex wyrwał jej chłopca i cisnął Remowi na ręce, po czym rzucił się na kobietę, starając się zedrzeć z niej ubranie. Remex stał jak porażony. Nie potrafił zrozumieć, co dzieje się z przyjacielem. Nigdy nie zetknął się z przemocą w stosunku do kobiety. Gerolucja broniła się jak szalona, ale słabła coraz bardziej. Med uderzył ponownie. I wtedy Remex otrząsnął się z odrętwienia, położył niemowlę na podłodze i spróbował odciągnąć przyjaciela. Med oderwał się na moment, by wymierzyć mu cios. I wtedy Rem rzucił się na Medexa tłukąc jego głową o ścianę.
Odzyskawszy przytomność Gerolucja ściągnęła z twarzy burnu. Zobaczyła Remexa klęczącego nad zwłokami oprawcy. Remex wpatrywał się w martwą twarz kolegi potrząsając głową. Wstała z trudem, podeszła do niego i położyła mu dłoń na ramieniu. Spojrzał na nią bezradnie.
– To nie była jego wina – powiedziała cicho. – Zrobili z niego zwierzę i oni ponoszą za to odpowiedzialność. Dziękuję ci. Odpocznij teraz.
Rem wpatrywał się w nią w skupieniu.
– Odpocznij teraz – powtórzyła – jesteś zmęczony.
Kiedy się ocknął, Gerolucja spała oparta o ścianę. Podniósł się zwinnie i wyjął delikatnie dziecko z jej rąk. Potem usiadł blisko, aby podtrzymywać ramieniem opadającą głowę kobiety. Długie czarne włosy oplotły mu twarz. Siedział nieporuszony z przymkniętymi oczami starając się oddychać w rytm jej oddechu. Czuł jak serce bije mu coraz szybciej. Nie wiedział, czy chce, aby czas się zatrzymał i trwał w nieskończoność czy też, aby śpiąca obok kobieta zbudziła się i przerwała dziwny nastrój. Gerolucja otworzyła oczy i wzrok jej padł na syna przytulonego do piersi Remexa. Usiadła prosto i poprawiła włosy.
– Bez względu na to, kim jesteś, zdaje się, że można mieć do ciebie zaufanie – powiedziała zmieszana.
– Jak to – „bez względu na to, kim jestem?"
– Nie wiem, czy jesteś Probówkowcem czy Człowiekiem.
– A co to za różnica?
– Probówkowcy to mutanci. Są bezpłodni. Ludzie są im potrzebni jedynie jako dostawcy materiału genetycznego do eksperymentalnych krzyżówek.
– Wiesz dużo więcej niż ja. Z tego, co powiedziałaś wynika, że jestem Człowiekiem. A ty... czy ty jesteś – zająknął się – stąd? Powiedz, gdzie oni trzymają kobiety? Jak to się stało, że się tu znalazłaś?
– Nazywam się Gerolucja. Nieważne, jak się tu znalazłam, ale jak się stąd wydostać.
– Znasz sposób?
– Jest tylko jeden. Jeśli pójdziesz ze mną, może się uda.
– Jak chcesz stąd wyjść?
– Ufasz mi?
– Nie wiem. Ale pójdę z tobą.
– Przysięgnij więc, że nie opuścisz nas w żadnej sytuacji, nawet jeśli dokonam czegoś, co wzbudzi w tobie lęk. Przysięgnij, że bezpieczeństwo mojego syna stanie się także twoim celem.
Rem był zaskoczony. Ale po chwili powiedział:

☞



NACIŚNIJ



ENTER

...Za jeden z najważniejszych powodów gwałtownego rozwoju graficznych technik komputerowych uważa się ogromne i wciąż niezaspokojone potrzeby komercyjne. Nie znaczy to jednak, że rynek jest jedynym stymulatorem ekspansji komputerów w dziedzinie zarezerwowanej dotąd dla pędzla i farby...



– Przysięgam.

Gerolucja uniosła ręce i zawołała:

– Teraz, o Władco, mogę podjąć się odczarowania twojego potomka.

Rem spojrzał pytająco, ale nie odezwał się już ani słowem. Przytuliła do piersi kwilące dziecko. Czekali. Po chwili na progu stanął robot.

– Władca czeka – powiedział.

Szli labiryntem korytarzy. Nie była to trasa, prowadząca do centrum komputerowego. Podłoga pod stopami stawała się coraz bardziej puszysta, ściany zdobione były coraz bardziej bogato. Rem rozglądał się zdumiony. Zatrzymali się przed wspaniałymi drzwiami. Na środku urządzonej z przepychem sali spoczywał pokręcony krzew.

– Czy zdecydowałaś się przyjąć nasze warunki? – zabrzmiał głuchy głos.

– Tak – odparła Gerolucja – Ale mam prośbę. Warunkiem udanego seansu jest moje pełne poczucie bezpieczeństwa. Dlatego chcę, aby ten człowiek pozostał z nami.

– Jeśli takie jest twoje życzenie, Remex może pozostać.

– Uprzedzam, że po odczarowaniu twój syn będzie nadal pod wpływem energii Gero, którą mogę w każdej chwili uaktywnić, także na odległość. Zanim zdecydujesz się nas zgładzić upewnij się, czy jest on rzeczywiście wyzwolony.

– Pozostaniesz przy życiu, podobnie jak twoje dziecko, ponieważ nigdy nie będziemy mieli pewności, czy nie zastosowałaś zaklęcia działającego z opóźnieniem. Zaczynaj.

Gerolucja złożyła syna w ramiona Remexa i koncentrowała się przez chwilę. Następnie zbliżyła się do krzewu. Gładziła wszystkie jego gałęzie wprowadzając je w stan wibracji. Potem wyprostowała się i unosząc ramiona wyrzekła wolno i wyraźnie:

Dwa – sześć – trzy – jest twoim przeznaczeniem,
Dwa – sześć – trzy – choć łączy się z cierpnieniem,
Dwa – sześć – trzy – wykonasz, co rozkażę,
Dwa – sześć – trzy – a teraz p r z e o b r a ż a m!

Remex oglądał tę scenę z szeroko otwartymi oczami. Krzew drżał. W pewnej chwili wyprysnęła z niego świetlna wiązka energii trafiająca prosto w oczy Gerolucji, która stała nieporuszona. Krzew zmieniał się w młodego mężczyznę, leżącego na podłodze bez przytomności. Jego ciało drżało. Remex popatrzył na to przerażony.

– Czy on żyje? – zabrzmiał głos pełen niepokoju.

– Oczywiście – odparła Gerolucja. – Za chwilę będziesz mógł to sprawdzić osobiście.

Młodzieniec ocknął się i jak lunatyk począł zbliżać się do czarodziejki. Nie odrywała od niego wzroku. Kilkakrotnie poruszył ustami, jakby zamierzał coś powiedzieć, ale wyraz jej twarzy nie zachęcał do rozmowy. Remex wyczuwał wokół siebie silne napięcie. Młodzieniec zatrzymał się o trzy kroki od Gerolucji. Jego rozszerzone źrenice zwęziły się nagle, cały skulił się jakby zapadając w siebie.

– Możesz już iść – powiedziała cicho. – Teraz jesteś odrodzony.

– Czekam na ciebie, synu – zabrzmiał głos Władcy.

Po wyjściu mutanta Gerolucja odebrała Remowi dziecko i tuląc je do siebie osunęła się na dywan.

– Nam również pozostaje tylko czekanie – odezwała się wyczerpana. – Lepiej usiądź.

– Czy wyjaśnisz mi wreszcie, co się tu dzieje?

– Później. Teraz pozwól mi usnąć i nie ruszaj się stąd ani na krok.

Czas mijał. Nagle otworzyły się drzwi i stanął w nich syn Władcy. Całe ubranie, twarz i ręce przybysza były spryskane krwią. Rem wydał okrzyk przerażeniem i Gerolucja otworzyła oczy. Na widok mutanta wstała.

– Zrobiłem wszystko, co kazałaś uczynić – powiedział z wysiłkiem mutant. – Zabiłem go.

– A laboratorium? – spytała.

– Nie ma potrzeby. Wszyscy mutanci, a więc i przebywające w laboratorium zarodki zginą w ciągu godziny.

– Nie uwierzysz mi, ale naprawdę nie wiedziałam, że wasza więź genetyczna jest aż tak silna – w głosie Gerolucji słychać było smutek.

– Stanowiliśmy jeden organizm. On był naszym sercem i mózgiem jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

– Chyba rozumiem – powiedziała wpatrując się ze współczuciem w jego twarz. – Gdybyś zechciał, mogłabym spróbować przedłużyć ci życie.

– Nie. Nie chcę. Wydałem odpowiednie rozkazy. Komputer przesterowany. Nikt nie będzie stawiał wam oporu. Dwa – Sześć – Trzy może przejąć władzę za pośrednictwem dowolnej osoby w każdej chwili. Wystarczy pokazać ten znak. – Wręczył jej małą metalową plakietkę ze starożytnym simplitańskim napisem, jarzącą się czerwonym blaskiem. – Ludzie zostali uwarunkowani na poddanie się rozkazom tego, kto pokaże im ten przedmiot. To wszystko. Czy mogę odejść?

– Chcę, żebyś wiedział – powiedziała z naciskiem Gerolucja – że nie powodowała mną żądza władzy. Próbuję po prostu ratować rodzaj ludzki.

– Jestem nikim. Nie musisz się przede mną tłumaczyć. Pozwól mi odejść.

Gerolucja skinęła głową. Mutant skłonił się i wyszedł.

Stała wpatrując się w drzwi, a Rem spostrzegł, że jest przejęta i zmieszana.

– Zwalniam cię z przysięgi, Remexie – powiedziała cicho. – Odchodzę z synem do domu, tam, gdzie cykają świerszcze. Wychowam mojego Dwa – Sześć – Trzy wśród ludzi, których kocham i wrócimy, kiedy nadejdzie czas. Weź ten znak – wręczyła mu plakietkę. – To symbol twojej władzy na tej planecie.

– Zostawiasz mnie? – spytał zaskoczony Remex przyjmując gorący, czerwony przedmiot.

– Tu jest twój dom. Wierzę, że potrafisz sprawić, aby ludzie przestali się wreszcie bać. Na pewno lepiej ode mnie wiesz, co im najbardziej przeszkadza.

– Na pewno – uśmiechnął się Rem po raz pierwszy. – W pierwszym rzędzie zniosę niemądre rytuały. Gdzie was szukać, gdybym... – zająknął się – gdybym potrzebował rady?

– Nie wiem gdzie się osiedlimy. Ale jeśli będziesz naprawdę chciał – spojrzała mu prosto w oczy – znajdziesz nas.

Rem wytrzymał jej spojrzenie.

– I jeszcze jedno – dodała. – Chcę, żebyś wiedział. Utraciłam moc Gero stosując ją w twojej obecności i stałam się zwyczajną kobietą. Mam teraz na imię Lucja. Ja i Dwa – Sześć – Trzy dziękujemy ci za pomoc. Żegnaj.

Zapadł zmierzch. Spośród gęstych drzew wyszedł na polanę młody mężczyzna. Długą chwilę wpatrywał w smugę dymu, bijącego w niebo z komina niewielkiego, drewnianego domu z surowych bali, po czym odetchnął głęboko i zdecydowanym krokiem ruszył do drzwi. Właśnie wtedy otworzyły się i na progu stanęła Lucja. Żadne z nich nie przemówiło. Mężczyzna postąpił krok do przodu i wziął kobietę w ramiona. Kiedy po godzinie wpadł do domu umorusany sześcioletni chłopak, siedzieli przy trzaskającym ogniu patrząc w płomienie.

– Czy ty jesteś Remi? – zapytał od progu.

Remex spojrzał na niego zaskoczony.

– Mama opowiadała o tobie. I mówiła, że przyjdziesz. Ona wie wszystko. Dlaczego tak długo zwlekałeś?

Rem wstał i podszedł do chłopca.

– Bo dopiero teraz nadszedł czas – powiedział poważnie. – Byliście we dwoje, ty masz sześć lat, a teraz... teraz będziemy żyli w trójkę. Spojrzał spod oka na Lucję i oboje wybuchnęli śmiechem.

Mały patrzył na nich zdziwiony. „Dorośli są dziwni" – pomyślał.

Hanna Hamer

W stronę Harlana

W roku 1987 minęło dwadzieścia lat od chwili, kiedy panowie z „Doubleday and Company" zdecydowali się na pewien szaleńczy krok, mianowicie wydanie zredagowanego przez Harlana Ellisona zbioru pt. „Niebezpieczne wizje". Szaleństwo owych biznesmenów polegało na tym, że przystali na to, aby opowiadania do wzmiankowej antologii zostały dla niej specjalnie napisane. Ba, zrobiono jeszcze więcej – dano redaktorowi całkowitą swobodę, jeśli chodzi o wybór tematyki i formy. Ten scedował swoje uprawnienia na wybranych przez siebie pisarzy, każąc im pisać o czym się żywnie podoba. Tu ktoś mógłby wykrzyknąć, że przecież pisarze zawsze piszą co i jak chcą. Niezupełnie...

Za ojca najbardziej uciążliwych tabu i konwencji powszechnie bywa uważany John W. Campbell, niekoronowany król wydawców SF. Z grubsza polegało to na tym, że J. W. Campbell nie życzył sobie w drukowanych przez siebie opowiadaniach seksu, polityki i eksperymentów formalnych. Wydawana przez niego fantastyka przypominała ulizanego harcerzyka i dla harcerzy była przeznaczona. Przeciwko tak pojętej literaturze zdecydowanie wystąpił Ellison.

Miał bardzo prosty pomysł. Doszedł do wniosku, że większość pisarzy, codziennie w pocie czoła produkujących drętwe historyjki o buncie robotów i inwazji galaktycznych potworów, stać na coś więcej. Trzeba im tylko popuścić cugli i zapewnić druk tego co napiszą. Stąd krok tylko do idei złożenia antologii z oryginalnych, specjalnie dla niej napisanych opowiadań. Nie zawiódł się – w jego antologii mamy to, czego ze świecą szukać u Campbella – seks, politykę i eksperymenty, a także mnóstwo innych rzeczy w rodzaju kazirodztwa, mistycyzmu czy ludożerstwa. Hm, ale czy tylko o to chodziło?

W „Niebezpiecznych wizjach" zgromadził Ellison kwiat współczesnej amerykańskiej SF – z dwoma tylko angielskimi wyjątkami (J. G. Ballard i Brian W. Aldiss). Mamy tam więc Roberta Silverberga, Damona Knighta, Frederika Pohla, Fritza Leibera, Lestera Del Reya i wielu innych. Trzydzieści dwa nazwiska i trzydzieści trzy opowiadania. Lepsze, gorsze, czasem zwalające z nóg. Autorzy z pasją oddali się burzeniu obowiązującego kanonu. Bohaterowie utworów fantastycznych zostali obdarzeni życiem, a także intelektem. Kosmicznego herosa zastąpił nerwicowy, wątpiący i myślący c z ł o w i e k.

Centralnymi, najbardziej znaczącymi dla całej problematyki antologii są (moim zdaniem) trzy opowiadania, mianowicie Philipa Jose Farmera „Jeźdźcy purpurowej wypłaty" (Riders of the Purple Wage), Philipa K. Dicka „Wiara ojców naszych" (Faith of Our Fathers), Theodore Sturgeona „Gdyby wszyscy ludzie byli braćmi, czy pozwoliłbyś jednemu z nich poślubić swoją siostrę?" (If All Men Were Brothers, Would You Let One Marry Your Sister?). Te opowiadania są niejako klinicznym przykładem ujawnionych przez Ellisona nowatorskich tendencji.

Pierwsze, autorstwa Philipa Jose Farmera, to długa story dziejąca się w Los Angeles roku 2166. Świat idealnej konsumpcji, nikt nic nie robi, a wszyscy biorą forsę – zupełnie jak w naszych snach. Poprzez kilka dni z życia Chibiabosa Winnegana, malarza kompozycji trójwymiarowych, poznajemy społeczeństwo zamieszkujące L.A. w latach sześćdziesiątych dwudziestego drugiego wieku. Obok spokojnych ludzi głównie rzucają się w oczy neohippisi i artyści – ci ostatni zażywają wręcz niezwykłego poważania, ponieważ znudzona bezczynnością ludzkość wróciła na łono sztuk pięknych. Rzecz cała miejscami pisana jest w stylu przypominającym „strumień świadomości", co poniektórym krytykom dało pretekst do oskarżenia Farmera o wtórność wobec Joyce'a.

Ale to nie jest najważniejsze. Zaskakujący jest fakt sięgnięcia po dorobek formalny prozy tzw. głównego nurtu, położenia nacisku na artystyczną perfekcję. Zostało przekroczone campbellowskie założenie stylistycznej i kompozycyjnej poprawności. Pojawia się coś więcej, to „coś" odróżniające rzemieślnika od artysty. I jeszcze jedna sprawa – współczesność tematu. Źródłem prawdziwej inspiracji był dla Farmera nie Joyce, lecz życie w Los Angeles połowy lat sześćdziesiątych, z jego ożywieniem intelektualnym, buntem wobec władzy mamony i ruchem „dzieci-kwiatów". W opowiadaniu zawarł groteskowy obraz tego świata, wyśmiewając cechujący go blichtr, snobizm i pustosłowie. Wartości prezentowane przez „zbuntowanych" zdają się być raczej produktem nudy, niż autentycznym krzykiem duszy. No cóż, zbawiciele świata z roku 1968 robią teraz pieniądze bądź dogorywają w przytułkach dla narkomanów.

Philipa K. Dicka „Wiara ojców naszych" to intrygujące, poczęte w duchu Orwella, studium totalitaryzmu, nieprzypadkowo umieszczone w realiach azjatyckich. Władza absolutna przekształca się w absolut – na świat zstępuje istota o cechach Boga i staje na czele rządzącej struktury. To krzywe spojrzenie na wschodni typ mentalności, obdarzający władzę przymiotami boskości. Z tego kręgu nie ma ucieczki – poznanie całej prawdy o systemie oznacza dla głównego bohatera śmierć, jedyną szansę wyzwolenia.

Dick ostrzega przed absolutyzowaniem władzy, ponieważ grozi to jej alienacją i zaistnieniem jako byt osobny. Ujawnia też złowieszczą rolę techniki, która, jak to dawniej bywało, zamiast ułatwiać życie, w rękach reżimu staje się zmorą nękającą człowieka. Stawia pytanie o istotę i sens władzy – i naszą wobec niej postawę.

Życie społeczne obfituje w zakazy i tabu, narzucone przez prawo, religię czy obyczajowość. Istnieje mnóstwo zachowań, nie akceptowanych przez społeczeństwo – stąd, zdaniem freudystów, tyle w życiu osobniczym zahamowań i kompleksów. Theodore Sturgeon poważył się zaatakować jedno z ważniejszych (a może najważniejsze) – kazirodztwo. Opisał on cudowną planetę Vexvelt, gdzie wszyscy żyją w cudownej harmonii, radośni i wyzbyci kompleksów dzięki pozbawionemu problemów, „rodzinnemu" życiu seksualnemu – ojciec z córką, brat z siostrą itp. Zgroza! Całość ubrał w dość klasyczną formę – zniesienie na Vexvelcie tabu kazirodztwa tłumaczy naukowo wywiedzionymi wnioskami, biorąc przykłady z natury, gdzie owo tabu nie obowiązuje. A przecież ludzie są jej częścią...

Opowiadania innych autorów poruszają podobnie „niebezpieczne" tematy – seksualizm, Obcych, psychologię mordu, ludożerstwo, destrukcyjną rolę techniki (co to są frelki? To nowy rodzaj zboczenia seksualnego, polegający na obcowaniu cielesnym z astronautami, którzy są... kastratami! – Samuel R. Delany „Zawsze, a Gomora...", Aye, And Gomorrah...). Oczywiście, siła „Niebezpiecznych wizji" nie polega tylko na tym „radosnym świńtuszeniu", lecz także na artystycznej doskonałości, wysokiej literackiej jakości tekstów. Punkt ciężkości „science" zdaje się przesuwać na „fiction", co pozbawia opowiadania technologicznego schematyzmu i zbliża je do prozy „głównego nurtu".

Zdawał sobie z tego sprawę również Ellison. We wstępach, którymi opatrza każde opowiadanie, konsekwentnie stara się unikać nazwy „science fiction", zastępując ją terminem „speculative fiction". „Speculative" to „spekulatywny" bądź „spekulacyjny" – pochodzi od słowa „speculation" – „rozmyślanie, domysł, spekulacja". Z kolei „fiction" to „fikcja, fantazja". „Science", „nauka" zostaje odrzucona, zdegradowana, zarówno w definicji, jak i praktyce literackiej. Autorzy „Niebezpiecznych wizji" sięgają do obsesji i lęków współczesnego człowieka, przenosząc je w jutro, aby tym dokładniej im się przyjrzeć. I to jest główne novum tej rewolucyjnej/rewelacyjnej antologii.

Artystycznie ambitna antologia Ellisona odniosła komercyjny sukces. Dziwnie to brzmi w czasach, gdy kultura przekształca się w coś na kształt rozrywkowej papki dla ubogich duchem. Komercyjność staje się miarą wszystkiego. Ellison zdołał wypłynąć na fali intelektualnego poruszenia lat sześćdziesiątych. Wtedy ludzi, zwłaszcza młodych, naprawdę interesowało to co się wokół dzieje. Dziś sytuacja wróciła do normy, tzn. do bezmyślnego zobojętnienia, maskowanego łaknieniem sensacji. Taki boom na SF jest jednym z objawów ucieczki od rzeczywistości. Czy aby na pewno będzie można wrócić?

Dlaczego do tej pory nie ma polskiego wydania „Niebezpiecznych wizji"? Ba, oto jest pytanie godne tebańskiego Sfinksa. Kilka drobniejszych opowiadań było drukowanych w periodykach (np. R.A. Lafferty'ego „Kraina Wielkich Koni" w „Literaturze na Świecie", 1976/1), niestety, nie opublikowano żadnego z wyróżnionych przeze mnie trzech „centralnych" utworów. Pewnym wypełnieniem luki jest amatorskie wydanie antologii, niskonakładowe i piekielnie drogie, z niezbyt dobrymi (nawet jak na amatorski poziom) tłumaczeniami. Oficjalne wydawnictwa zachowują na temat „Niebezpiecznych wizji" dyplomatyczne milczenie. Prawdopodobnie, zgodnie z ostatnią praktyką stosowaną przy wydawaniu obcej literatury SF, czekają na śmierć sławnej pamięci Harlana Ellisona, aby w dwadzieścia pięć lat po tej szczęśliwej dacie wydać antologię bez konieczności uiszczania zainteresowanemu honorarium. Prawdopodobnie stanie się to około połowy przyszłego wieku, tak więc do tego czasu czekają nas przyjemne i s p o k o j n e sny. Dobranoc.

Jacek Inglot

Harlan Ellison: *Dangerous Visions*. Doubleday and Company, Inc., 1967.

Trudna droga do miasta

Motyw światów równoległych jest w literaturze fantastycznej tematem bardzo znanym, jeśli nie ogranym. Wykorzystała go również, w drugiej z wydanych u nas powieści, Ursula Le Guin, traktując jednak nieco inaczej niż zazwyczaj. Świat fantastyczny współistnieje w książce z rzeczywistym, podobnie jak w „Nie kończącej się opowieści" Endego. Nie jest krainą autonomiczną, raczej wytworem podświadomości bohaterów, ucieleśnieniem ich marzeń, tęsknot i lęków. Nie jest również kreacją – bardziej echem pewnego stanu ducha i umysłu. Powieść Le Guin krąży wokół ulubionego przez nią tematu: psychiki ludzkiej, choć tym razem autorka odbiega nieco od mistrzostwa osiągniętego w „Czarnoksiężniku z Archipelagu". Powraca znany stamtąd motyw samotności człowieka wobec własnych problemów, tym razem ubrany w woalkę baśniowej alegorii.

Chłopiec i dziewczyna spotykają się u granic zaczarowanej krainy ain, w miejscu początku, z którego wiodą w głąb tej krainy różne drogi. Baśniowy świat jawi się parze odtrąconych przez rzeczywistość bohaterów jako azyl, symbol bezpieczeństwa i ciepła – tu, jak we śnie, czas niemal stoi w miejscu, tu ciągle jeszcze pali się w kominku, przędzie i nosi wełniane pończochy. Jednak i w tę oniryczną wizję wkrada się zło, a raczej wkradło się już dawno temu, lecz było skrywane, tuszowane w jakiś nieczysty sposób, aby nie mącić obrazu piękna i spokoju. Irracjonalny strach nie pozwala mieszkańcom opuszczać wioski, odciętej od reszty świata. Inicjatywę muszą przejąć przybysze z zewnątrz, ale nie mogą współdziałać, gdyż są pełni wzajemnej niechęci. I właśnie o pokonaniu owej niechęci, o wychodzeniu sobie naprzeciw, które jest jedynym lekarstwem na samotność, mówi książka Le Guin. Chłopiec i dziewczyna, mężczyzna i kobieta, człowiek i człowiek – są zdani na siebie nawzajem; jedno umie wejść do krainy ain, drugie potrafi z niej wyjść, muszą sobie pomagać, gdyż inaczej zginą. Wiedząc o tym, przełamują wewnętrzne opory i wspólnie wychodzą naprzeciw złu, które czai się gdzieś w mrokach fantastycznego świata.

Zło jest w książce nierozerwalnie związane ze strachem – trudno dociec, co tu jest skutkiem, a co przyczyną. Mieszkańcy wioski odczuwają lęk przed jakąś ciemną siłą, przed czymś, czego nie są w stanie określić. Czy jest nią ślepy stwór, którego spotykają Hugh i Irena? Wzbudza on tylko obrzydzenie i litość, wydaje się bezbronny, i tym trudniej go zabić. Bohaterowie robią to w imię obrony krainy ain – krainy własnych marzeń i ideałów. Tak postawione ideały przestają ich jednak interesować, wiedzą, że więcej tu nie wrócą. Ale w baśniowym świecie krzepną ich siły do walki z przeciwnościami świata realnego. Fantastyczny kraj jest tylko początkowo sielanką, ucieczką od rzeczywistego koszmaru – potem sam się w koszmar przemienia, hartuje więc i uczy, jak się w nim odnaleźć. Do celu prowadzą zwykle drogi, a tych jest w powieści wiele – tyle, ile sposobów d o c h o d z e n i a do czegoś. Najważniejszą z dróg podąża się do Miasta-symbolu nadrzędnej wartości, ale mieszkańcy wioski, nawet otaczany powszechnym szacunkiem Mistrz, nie potrafią jej odnaleźć. Z zamiarem pomocy wyrusza para bohaterów, choć cel przyjdzie im zrealizować w zupełnie nieoczekiwany sposób. *Niejedna droga prowadzi do miasta* – pisze autorka w zakończeniu. Cała trudność polega na wyborze dróg właściwych.

Tyle na temat treści książki, tych jawnych i ukrytych. W sprawie formy trzeba wygłosić, gwoli prawdzie, kilka uwag bardziej krytycznych. Są w „Miejscu początku" momenty niejasne i zbyt, dla mnie przynajmniej, zawiłe. Zaciemniają one sens utworu, który powinien być wieloznaczny, ale i czytelny. Sylwetki mieszkańców krainy ain są ledwo zakreślone, gdy służą jako tło dla postaci pierwszoplanowych – zgoda, ale nie mogą być niewyraźne, gdy przez pryzmat ich uczynków (a te są również niejasne) przyjdzie nam oceniać postępowanie głównych bohaterów. A tak się dzieje w przypadku wysłania na wyprawę Ireny i Hugha (jako ofiary, czy katów?). Takich przykładów można by znaleźć w powieści więcej.

Za dużo tu również napomknięć, aluzji, do spraw, o których czytelnik wie niewiele i których nie może się nawet domyślić (konflikt między Mistrzem i Lordem). Chwilami odnosi się wrażenie, że autorka krąży wokół czegoś, co jest niewątpliwie dla niej i dla nas ważne, ale nie bardzo wie, jak to wyrazić. Zbyt wiele pada w „Miejscu początku" słów, może to właśnie sprawia, że książka zbyt się narzuca, abyśmy mieli się w niej zakochać. Niestety, to nie jest ta Le Guin, którą znamy, ale w końcu... drogi do miasta są wyboiste, a my łatwiej zauważamy potknięcia mistrzów, niż tych, którzy nigdy nie wznieśli się ponad przeciętność.

Grażyna Lasoń

Ursula K. Le Guin: *Miejsce początku.* Przełożyła Monika Dutkowska. Iskry, Warszawa 1987. Cena 180 zł.

Ponura robota

Zakrawa na banał stwierdzenie, że w polskiej SF tyle jest humoru, ile w raportach katowickich ekologów. Żyjąc w ciekawych czasach i rozliczając się z nimi, wolą nasi autorzy zachowywać powagę. I trudno im się dziwić – o raku nie informuje się pacjenta z beztroskim uśmiechem. Ale: trudno dziwić się czytelnikom, że domagają się także tekstów lekkich, wesołych, dających chwilę wytchnienia. Obserwując miłośników fantastyki odnoszę wrażenie, że czekają oni z utęsknieniem na autora, który potrafiłby wykorzystać konwencję SF do opowiedzenia kilku bezpretensjonalnych, dobrych dowcipów. Gotowi są przyjąć go z otwartymi ramionami i z miejsca ustawić obok niekwestionowanych mistrzów rodzimej fantastyki.

A wolne miejsce na piedestale kusi. Wielu debiutantów od dłuższego już czasu stara się napisać coś śmiesznego – niestety, efekty są przeważnie ponure. Swego czasu rokowałem największe szanse na zwycięstwo w tym wyścigu Grzegorzowi Babuli. Ponieważ ukazał się właśnie jego debiutancki tom opowiadań, pora rozliczyć warszawskiego autora z nadziei, które wzbudził swym debiutem w „Almanachu literackim Iskier".

Zbiorek, o którym mowa, zawiera aż szesnaście tekstów. Wśród nich znalazły się dwa opowiadania bezsprzecznie znakomite: „Rondo" i „Resocjalizacja". Wyraźnie widać w nich wpływ Bułyczowa, ale nie można z tego robić Babuli zarzutu. Podchwytując metodę mistrza – zderzenie siermiężnej, prowincjonalnej rzeczywistości z niezwykłością – dał czytelnikom doskonały, karykaturalny obraz zabitej dechami wioski, zaludniając ją galerią znakomicie skrojonych postaci. W dodatku – co jest w polskiej SF ewenementem – popisał się bezbłędnym wyczuciem polszczyzny. Jego dialogi są żywe i potoczyste, narracja skrzy się od niewymuszonego dowcipu słownego. Nie jest wprawdzie Babula aż tak wnikliwym i bezlitosnym obserwatorem ludzkich słabostek i małości jak pisarz rosyjski, większy nacisk kładzie na dowcip sytuacyjny – ale i tak w obu utworach odnosi pełny sukces. Czytelnik co parę zdań parska śmiechem, chwytając się za obolałą przeponę brzuszną.

Pozostałe czternaście utworów prezentuje się już znacznie gorzej, sprawiając wrażenie, jakby wyszły spod innej ręki. Żadne wprawdzie nie schodzi poniżej poziomu przyzwoitości, ale ich humor jest raczej ciężkawy. Zbyt często, jak na mój gust, wykorzystuje Babula koncepty banalne i ograne. Za czasów „Inwazji z Aldebarana" połączenie „UFO + alkohol" było oryginalne i zaskakujące, ale to było już trzydzieści lat temu („Pożytek z żony"). Sięga też Babula – co już wywołało u mnie niejaką irytację – po materiał z drugiego obszaru płatniczego, znany mu najwyraźniej jedynie z prasy i TV („Szpital w centrum"). Lubię Dave'a Allena między innymi za to, że nie próbuje dowcipkować na temat kryzysu i kolejek po mięso. Widać wie, że niezbyt by mu to wyszło.

Większość opowiadań Babuli to – używając klasyfikacji Tuwima – „numery na małe he-he". Dość sprawnie napisane, ale wywołujące co najwyżej przelotny uśmieszek. W zestawieniu z dwoma najlepszymi utworami zbioru brzmią banalnie i nieciekawie. Odnoszę wrażenie, że Babula nie bardzo potrafił znaleźć materiał, z którego dałoby się wycisnąć coś śmiesznego. Uparte rozgrywanie „na wesoło" żelaznych tematów SF – kontaktu z UFO i awarii komputera albo robota – nie rokuje chyba większych nadziei. Od dawna już poruszają je na terenie SF tylko najmarniejsi epigoni i początkujący wesołkowie. Zapewne lepszym pomysłem byłoby sparodiowanie stereotypów nowych, zaznaczających się w latach ostatnich. Ale to trudne i niewdzięczne zadanie, może więc nie powinienem mieć żalu do autora, że nawet nie spróbował go podjąć.

Jeden z mistrzów polskiego kabaretu zwykł mawiać, że nie ma bardziej ponurej roboty, niż wymyślanie dowcipów. Wiedział, co mówił. A już szczególnie ciężko o dobry dowcip w SF. Jeśli się nawet tam pojawia, to przeważnie jako przeszczep z innych konwencji. Osobiście sądzę, że fantastyka po prostu nie pozwala na poczucie humoru, że pisanie serio jest jednym z głównych wymogów konwencji. Pogódźmy się z tym. Nikt jakoś nie ma pretensji do romantyków, że nie napisali niczego do śmiechu. Widać SF nie służy do rozweselania, kawały opowiada się w zupełnie innych lokalach.

Sprawność warsztatowa pozwala uznać Babulę za jednego z najbardziej obiecujących debiutantów ostatnich lat. Zarazem jednak jawi mi się on jako najbardziej chyba zagubiony z młodych autorów. Większość z nich wie doskonale, czego chce, nie wie tylko jak się pisze. Grzegorz Babula jest przypadkiem odwrotnym. Ambicja, by zająć się zapuszczoną dziedziną humoreski SF, zaprowadziła go na rozdroże. O ile „Rondo" i „Resocjalizacja" są jego tekstami ostatnimi, a nie pierwszymi, ma szansę pójść jeszcze parę kroków dalej. Pytanie, czy obrana przez niego droga w ogóle dokąś prowadzi. Uważam, że nie. Ale bardzo bym się cieszył, gdyby Babula udowodnił mi w przyszłości, że się mylę.

Rafał A. Ziemkiewicz

Grzegorz Babula: *A to mistyka!* Seria „Fantastyka-Przygoda". Iskry, Warszawa 1988. Cena 320 zł.

Prus Bolesław

właśc. Głowacki Aleksander

(1847-1912)

Prozaik, publicysta

Urodził się 20 sierpnia 1847 r. w Hrubieszowie. Jego ojcem był Antoni Głowacki, zarządca w prywatnych majątkach ziemskich i Apolonia z Trembińskich. W 1866 r. zapisał się na Sekcję Matematyczno-Fizyczną Szkoły Głównej w Warszawie, w 1872 r. zaczął współpracować z „Niwą”, i „Opiekunem Domowym”, popularyzował różne dziedziny nauki, redagował dwutygodnik humorystyczno-satyryczny „Kolce”. Od 1874 r. związany z „Kurierem Warszawskim”, gdzie przez długie lata drukuje „Kroniki Tygodniowe” oraz powieści i opowiadania. W latach 1882-1883 redaguje dziennik „Nowiny”. Po śmierci redaktora Wacława Szymanowskiego, w 1887 r. przechodzi z „Kuriera Warszawskiego” do „Kuriera Codziennego”, drukując na jego łamach „Kroniki Tygodniowe” oraz „Lalkę” i „Emancypantki”. W 1895 r. po ukończeniu „Faraona”, podejmuje pierwszą dłuższą podróż zagraniczną do Berlina, Drezna, Karlsbadu, Norymbergi, Stuttgartu, Raperswilu, Paryża. W 1901 r. na skutek złego stanu zdrowia ogranicza prace literackie, od 1905 r. wiąże się na stałe jedynie z „Tygodnikiem Ilustrowanym”. W latach 1910-1911 piastuje stanowisko prezesa Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy Polskich. Umiera 19 maja 1912 r. w Warszawie.

Literackie koncepcje Prusa, które można określić mianem fantazji naukowych pojawiają się w **„Lalce”** (pierwodruk: „Kurier Codzienny” 1887/269-360, 1888/5-124, 157-215, 323-355, 1889/8-16, 30-142; wyd. os. Gebethner i Wolff, Warszawa 1890) oraz w nie ukończonym szkicu powieściowym **„Sława”** (powstałym ok. 1886 r., ogłoszonym jako „Sława. Nie znana powieść Bolesława Prusa”, w: „Tygodnik Ilustrowany” 1934/21-32, ze wstępem Z.Szweykowskiego, w: „Tygodnik Ilustrowany” 1935/9, wg późniejszego odnalezionego początku powieści; zob. też „Wydanie zbiorowe” tom 24, red. J.Chrzanowski i Z.Szweykowski, wyd. Gebethner i Wolff, 1948-1952). Mianem „fikcyjnej historii przyszłości” można określić dwie nowele: **„Zemsta”**(pierwodruk w: „Kurier Warszawski” 1908/1, zob. też: wyd zbiorowe t. 25.) oraz **„Wojna i praca”** (pierwodruk w: „Kurier Warszawski” 1903/1, zob. też „Wydanie zbiorowe” t. 4), a struktura fantastycznej przypowiastki filozoficznej pojawia się w noweli **„Sen”** (pierwodruk w: „Kurier Codzienny” 1890/355, wyd. os. Gebethner i Wolff, Warszawa 1931, zob. też „Wydanie zbiorowe” t. 4). Kontynuacje fantastyczno-naukowych wątków „Lalki” znajdujemy w nie opublikowanej i nie ukończonej powieści **„Przemiany”** (fragm. druk w „Tygodniku Ilustrowanym” w 1910).

Fantastyka naukowa w twórczości Bolesława Prusa wiąże się z narodzinami konwencji science fiction (opowieść o cudownym wynalazku w „Lalce”, „Sławie”, „Przemianach”), ale nie dotyczy wyłącznie prognoz techniczno-naukowych, nie sprowadza się do propagowania zasad ideologii pozytywistycznej, zbieżności pomiędzy doskonaleniem cywilizacyjnym i etycznym człowieka. Przeciwnie: refleksje Prusa są niezwykle głębokie, wielopłaszczyznowe i nader aktualne w sceptycznych wnioskach na temat roli techniki w życiu człowieka, funkcji „cudownych wynalazków”, postępu nauk ścisłych, losu uczonych, a także związków pomiędzy przyrostem wiedzy i sposobami jej praktycznego wykorzystania (ideologia, polityka etc.). Fantastyka naukowa ułatwia formułowanie ogólnych twierdzeń społecznych, filozoficznych, ale jednocześnie (co wynika m.in. z przyrodniczych zainteresowań Prusa) urasta do roli samodzielnego motywu jego twórczości (kontynuacja losów Geista miała być nie ukończona „Sława”, relacjonująca historię uczonego odkrywającego metal lżejszy od powietrza, człowieka, który *pracuje nad wielkim wynalazkiem, zrywa stosunki z bliźnimi, naraża się na niebezpieczeństwa i zrobiwszy odkrycie otrzymuje za nie sławę i nędzę*). Wspomniany wątek podejmuje powieść „Przemiany”, opisująca losy naukowca Pomorskiego, *pokaleczonego Wokulskiego, wynalazcy machin do latania, budującego maszynę z motorem parowym, jeżdżącą po ziemi jak wóz, pływającą po wodzie i pod wodą jak ryba, latającą w powietrzu jak okręt.* Wszelkie odkrycia, wynalazki, udoskonalenia – twierdzi Prus – nie tylko nie zacierają różnic społecznych, nie likwidują agresji, wojen, zaborczości, lecz przeciwnie – nawet je powiększają. Dostają się bowiem w ręce ludzi stojących u steru władzy, umiejących wykorzystać ich znaczenie praktyczne, manipulujących techniką dla utrzymania społeczeństwa w karności i posłuchu (podobny temat powraca również w „Faraonie”). Moralnie obojętnym narzędziom nadaje się treści o charakterze ideologicznym (machiny Pomorskiego służące do podboju świata jako broń masowej zagłady; próby praktycznego wykorzystania hydrometali profesora Geista). Trzeźwy realizm Prusa pozwolił z nieufnością traktować rosnącą rolę techniki w życiu człowieka, a tym samym eskalację zniszczenia, wyzwolenia instynktów wobec niezmiennego poziomu moralności. Co istotniejsze, wszystkie obserwacje pisarza dotyczą typowo polskich stosunków i problemów: trudności w finansowaniu badań naukowych, lekceważące stanowisko burżuazji obojętnej wobec programu ratowania gospodarki kraju (status Ochockiego w „Lalce”). Konwencja fantazji naukowej pozwala ukazać rolę emocji, którymi kieruje się człowiek w codziennym życiu (sława, zemsta, pożądanie, pragnienie władzy, dominacji nad innymi – cechy widoczne w kreacjach profesora Geista, Juliana – bohatera „Sławy”).

Nieco inaczej jest w przypowieściach filozoficznych Prusa („Sen”), w fikcyjnych historiach przyszłości („Wojna i praca”, „Zemsta”). Cudowny wynalazek uzasadnia powstanie okoliczności ilustrujących nadrzędną tezę utworu. W „Zemście” jest to akceptacja istniejącego porządku politycznego, odrzucenie rewolucyjnych metod walki, które mogłyby spowodować nieobliczalne konsekwencje społeczne. Germanizacja naszego kraju sprawia, że Polacy zostają *zmuszeni do postawienia nowych ideałów, zmodyfikowania swojego charakteru*, stwarzając nową, wolną ojczyznę słynącą z praworządności, pracowitości, służącą przykładem innym narodom (wizja Prusa sięga roku 2008, konfrontację dwóch planów czasowych umożliwia... diabeł pod postacią maga Istwana Ahamkary, który dysponuje „kinematografem nowego rodzaju”, będącym udoskonaloną wersją aparatu braci Lumière). W „Wojnie i pracy” umieszczenie akcji na fikcyjnej wyspie Oceanu Spokojnego oraz konfrontacja dwóch plemion Androwanów i Mojungów służy podobnej tezie, wykazaniu, że *potrzeba jest mocniejszą od nienawiści, a praca lepszą od najkorzystniejszej wojny.* „Sen” to przypowieść o nieskończoności poznania naukowego i uszlachetniającej roli cierpienia w życiu człowieka, związanej z kryzysem wartości pozytywistycznych, jaki daje się zauważyć w biografii i dorobku literackim Bolesława Prusa.

Bibliografia wybrana

– J.Kulczycka-Saloni, *Bolesław Prus* (w:) „Obraz Literatury Polskiej” (IV 2)

– Z.Szweykowski, *Twórczość Bolesława Prusa*, 1-2, Poznań 1947.

– E.Pieścikowski, *Bolesław Prus*, Warszawa 1977

– J.Kulczycka-Saloni, *Nowelistyka Bolesława Prusa*, Warszawa 1969

Recenzje wybrane

– Z.Szweykowski, *Powieść Prusa pt. „Sława”* (w:) „Ruch Literacki” 1934/4

– (T.W.) *Nie napisana powieść Prusa* (w:) „Słowo Pomorskie” 1934/128.

– (...) *Sława – nie znana powieść Bolesława Prusa*, (w:) „Tygodnik Ilustrowany” 1934/13.

– Z.Szweykowski, *„Lalka” Bolesława Prusa*, Warszawa 1927.

– H.Markiewicz, *„Lalka” Bolesława Prusa*, Warszawa 1967.

– J.Kulczycka-Saloni, *Dwie powieści kupieckie: „Au bonheur des dame” Emila Zoli, „Lalka” Bolesława Prusa*. (w:) „Przegląd Humanistyczny” 1961/1.

– Jan Sawa (M.Konopnicka), *List. Kochany panie Miller*, (w:) „Kurier Warszawski” 1908/12 (polemika w formie listu do bohatera utworu).

– K.Beylin, *Niemcy byli zawsze tacy sami. Co o tym mówi proroczа nowela?*, (w:) *„Kurier Codzienny” 1946/31.*

– *(...) (w:) „Kraj” 1900/47.*

Na co w życiu ludzkim są cierpienia, a na co radości?

Gdy to pomyślał, w marzeniu jego zaszła wielka zmiana: zamiast barwnej, jaśniejącej okolicy zobaczył ciemną kuźnię, w której pracowały dwie olbrzymie istoty nieokreślonej formy.

Jeden olbrzym dął miechem na ognisko, z którego wyskakiwały iskierki i zamykały je w granitowych kulach, dużych jak karmelicka bania.

– Dzień dobry! – rzekł student. – A co to robicie, majsterkowie?...

– Ja – odpowiedział ten od miecha – spędzam tu nasiona dusz.

– A ja – dodał drugi – zamykam je w ciała ludzkie.

– Fiu – gwizdnął student. – Ośmielam się wątpić, ażeby takie marne nasienie przebiło taką tęgą doczesną powłokę. Przecież ta granitowa kula ma ze trzy łokcie średnicy, jakimże więc sposobem drobne nasienie duszy może z niej wypuścić kiełek?

– Gdyby wam dać mniej grubą powłokę doczesną – mruknął drugi olbrzym – prędko byście się z nią załatwili, łajdaki!...

– Trzeci majster powie acanu jak to się robi – odpowiedział ten od miecha, widocznie łagodniejszy.

Teraz ubogi medyk zobaczył na progu kuźni trzecią, jeszcze posępniejszą istotę, która wykonywała dziwną pracę. Brała ona granitowe kule z zamkniętymi wewnątrz iskierkami i strasznym stalowym kolcem, za pomocą tysiącfuntowego młota, dziurawiła granit aż do środka. Za każdym uderzeniem granit jęczał i płakał krwawymi łzami. Ale wnet z jego wnętrza wydobywała się cieniutka łodyżka światła. Wtedy olbrzym wysadzał kulę z kuźni na powietrze, tam łodyżka rosła i pokrywała się gałązkami (albo więdła), a olbrzym brał znowu kulę, znowu wbijał jej kolec aż do środka, znów wydobywał nową łodyżkę światła, która wystawiona na powietrze znowu rosła.

I tak wciąż.

– Za pozwoleniem – rzekł do straszydła ubogi student, dotykając palcami czapki – a co to majsterek robi?

– Pomagam rozwijać się duszom – odpowiedział strach.

– Aż granit skwierczy – rzekł student.

– Ale za to spojrzyj acan co się robi z dusza...

Medyk wyszedł przed kuźnię i patrzył na stosy brył granitowych. Każda z nich miała po dwie, po trzy, a czasem i po dwadzieścia świetlnych łodyżek, na które stąd i owąd dmuchały wiatry. Gdy wiał wiatr łagodny i spokojny jak czysta radość ludzkiego serca, łodyżki pokrywały się mnóstwem gałązek i dokoła granitowej bryły tworzył się niby las światła. Lecz jeżeli wionął wiatr gwałtowny i palący jak namiętność, niektóre gałązki, ba! nawet cały las duszy – usychał.

A straszydło wciąż dziurawiło granit, który płakał i z kamiennego łona wypuszczał coraz nowe pędy.

– Któż pan jesteś, panie majster? – spytał student zdumiony i przerażony krwawą robotą.

– Ja jestem Cierpienie – odpowiedziało widmo z okrutnym kolcem. – Gdyby nie ja, dusze wasze zostałyby do końca świata ziarnkami maku, które śpią w bryle materii...

– Oj! Muszę mieć diabelną gorączkę – myślał student pędem uciekając od kuźni.

Ten stan rzeczy zaniepokoił go, więc rzekł:

– Spróbujmy rozumować trzeźwo, wedle wskazówek anatomii, fizjologii, farma-

kologii i akuszerii. Ponieważ mój mózg funkcjonuje nieprawidłowo, więc majaczy mi się, że nawet cierpienia mają swój cel, że powodują rozwój ludzkiego ducha. Gdybym zaś sądził rzeczy naukowo, w takim razie jasno rozumiałbym, że nie tylko w cierpieniu, ale nawet w całej naturze nie ma celu. Dowodzi przecież tego w sposób niezbity istnienie sutek piersiowych u mężczyn, tudzież ludzkie ucho zewnętrzne, które jest organem bezcelowym, ponieważ nie możemy się nim oganiać nawet przeciw muchom, jak to robią dajmy na to, krowy. Dalej... ponieważ jestem chory, więc marzy mi się, że nasze ziemskie życie przygotowuje duszę ludzką do życia wyższego, jak gimnazjum do uniwersystetu. Gdybym zaś był zdrów na ciele i umyśle, wierzyłbym z filozofem Hartmannem, że cały świat żyjący dąży do tego, ażeby unicestwić bezświadomy absolut, jak robaki w serze szwajcarskim dążą do zniweczenia szwajcarskiego sera. Ten zaś hartmannowski absolut, czyli bezświadomy ser szwajcarski, sam się stworzył, ale bezświadomie, po to, ażeby go zjadły i ażeby zjadły samych siebie, także bezświadomie.

Skończywszy rozumowanie, ubogi medyk zawołał z radością:

– Widzę, chwała Bogu, że moja gorączka nie musi być zbyt wielka, jeżeli nie przeszkadza mi myśleć ściśle i zgodnie z najnowszymi rezultatami filozofii.

Wtem spostrzegł, że stoi na niezmiernej płaszczyźnie białych, wełniastych obłoków, na środku której wznosił się przepiękny posąg jakiejś osoby, większy od największych gór ziemskich. Osoba ta miała błękitną szatę w mnóstwie fałdów, sięgających aż do stóp, ręce skrzyżowane na piersiach i twarz głęboko zamyśloną. Fałdy jej sukni wyglądały jak pasma wzgórz oddzielonych głębokimi przepaściami, po tych zaś wzniesieniach i zagłębieniach uwijały się istoty wielkości mrówek nadzwyczajnie podobne do ludzi w uczonych biretach i togach.

Ubogi student od razu pojął, że olbrzymia ta osoba jest obrazem Rzeczywistości i że łażące po niej mrówki usiłują za pomocą lunet, cyrklów, kątomiarów i odczynników chemicznych zbadać prawdziwy kształt tego posągu.

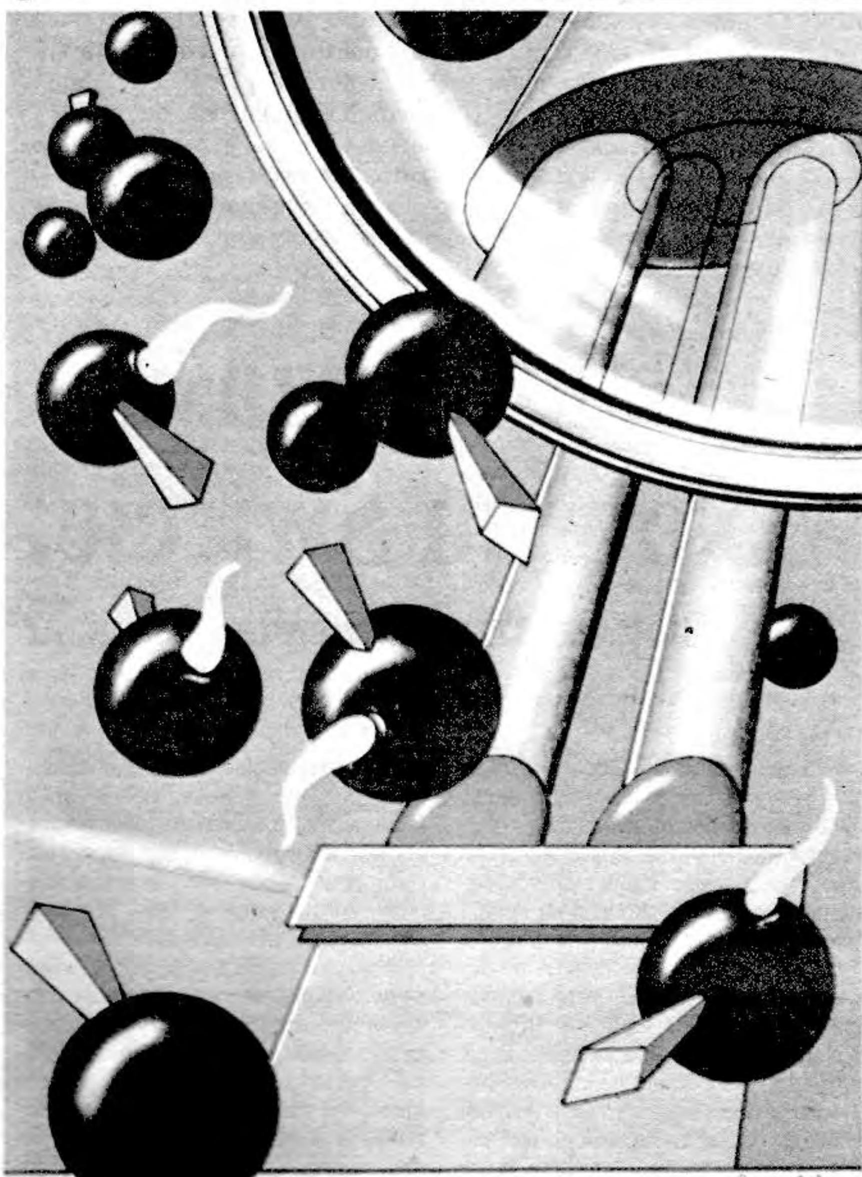
Widoczne było, że mrówki pracują usilnie i ze znajomością rzeczy. Na nieszczęście posąg był miliard miliardów razy większy od nich, skutkiem czego żaden badacz nie tylko nie mógł wzrokiem ogarnąć całości, ale nawet jakiejś większej cząstki. Mierzyli więc po omacku, z wielkim trudem i bardzo powoli tak, że nad poznaniem jednej fałdy pracowało kilkanaście pokoleń myląc się i kłócąc między sobą. Dla pojęcia formy Rzeczywistości należało zbadać kilkaset poziomych i pionowych przekrojów, których obwody tworzyły linię, długą na paręset wiorst. Tymczasem badano ledwie kilkanaście przekrojów i to w niższych częściach posągu, zrobiono zaś kilkanaście metrów.

Mimo to rozprawiano o całości, którą jedni uważali za figurę prawidłową i celową, inni zaś za martwą i bezwładną kupę wypadków – i ci byli najzuchwalsi.

– Mam lunetę – wołał jeden – tak potężną, że widzę przez nią aż koniec mego nosa, lecz nie dojrzałem myśli w naturze.

– Co tam luneta! – odparł drugi. – Ale ja zbadałem kilkanaście nagniotków wielkich ludzi i wcale nie znalazłem duszy.

– A ja nawet życia nie widzę w naturze – dodał trzeci – choć zrobiłem sztuczny mocz nie różniący się ciężarem i smakiem, kolorem, ani zapachem...



Andrzej Brzezicki

SEN

Bolesław Prus

– Każdy osieł robi to lepiej i taniej – przerwał mu właściciel lunety.

– Ale ja jeszcze w moim destylatorze uniwersalnym zrobię sztucznego człowieka...

Matematycy badali stopę Rzeczywistości, a ponieważ pracowali najdawniej i najporządniej, więc prędko skończyli swój kontur i odkryli w nim uderzającą prawidłowość. To upoważniło ich do wniosku, że całość musi być wysoce prawidłowa i twierdzili, że można zastosować ich formuły nawet do tych części posągu, których jeszcze żadne doświadczenie nie tknęło.

Ale badacze nagniotków i wynalazcy sztucznego moczu zakrzyczeli ich, więc praca posuwała się zwolna i wśród ogólnego zamętu.

Widząc to ubogi student pomyślał:

– Oczywiście jestem najdoskonalszy z ludzi, bo dokładnie zrozumiałem to, czego nie mogą pojąć najmędrsi. Rzeczywistość nie jest chaosem, ale całością nie tylko prawidłową, lecz i piękną, ja zaś...

W tym momencie (...) otworzył oczy...

Tym razem nie był już ani w krainie szczęścia, ani w ciemnej kuźni, gdzie wykuwano życie ludzkie, ani na płaszczyźnie obłoków, nad którą wznosiła się Rzeczywistość, ale na szpitalnym łóżku. Otaczali go koledzy, na których twarzach spostrzegł zdumienie i niepokój.

– Cóż mi się tak przypatrujecie? – zapytał.

– To ty mówisz? – zawołał jeden. – No, więc będziesz żył...

– A stałeś już obcasami w grobie – dodał drugi.

– Chyba na tamtym świecie – odparł rekonwalescent przypominając sobie dziwny sen.

– Aż na tamtym?... Cóż tam słychać?... Jakie wiadomości? – żartowali koledzy.

Ubogi student machnął ręką i pomyślał:

– Żartujecie sobie, a ja co wiem, to wiem...

Gdy zaś przyszedł do zdrowia, nie tylko nie narzekał na swoją biedę, ale owszem cieszył się z niej. A ile razy spotkała go ciężka zgryzota, przypominał sobie promienie światła wytryskujące z granitowej bryły pod ciosami Cierpienia i mówił, że w takiej chwili dusza mu się rozrasta.

Bolesław Prus „Sen" (w:) Bolesław Prus, „Sen. Cienie", Spółdzielnia Wydawnicza „Książka", Warszawa 1948, wybór ze stron 19-24.

Przygotował **Andrzej Niewiadowski**

Adam Elbanowski jest adiunktem w Katedrze Iberystyki Uniwersytetu Warszawskiego. W 1985 r. obronił pracę doktorską na temat fantastyki Cortazara. Od wielu lat współpracuje z „Literaturą na Świecie", ma w swoim dorobku artykuły poświęcone współczesnej prozie iberoamerykańskiej, a także przekłady (m.in. Borgesa i Cortazara). Dla „Fantastyki" napisał esej „Cortazara poczucie fantastyczności" (nr 7/84). Tekst, który zamieszczamy tym razem został wygłoszony w marcu br. na warszawskim seminarium „Kontynuatorzy czy kontestatorzy".

(an)

Wehikuł czasu w Nowym Świecie:

Borges, Bioy Casares, Carpentier, Cortazar

Adam Elbanowski

W eseju „Kwiat Coleridge'a" rozważa Borges ideę jedności literatury. Owa jedność polega na założeniu, że wszystkie dzieła przeszłości, teraźniejszości i przyszłości zdają się być fragmentem jednej, nieskończonej księgi. Albo inaczej *(...) niemal nieskończona literatura mieści się w jednym tylko człowieku*, a *wszyscy autorzy są jednym autorem*[1]. Borges głosi panteistyczną wizję literatury, ukazując w jaki sposób jeden wybrany motyw literacki – kwiat pochodzący z innego wymiaru, symbol wehikułu czasu, wędrówek po labiryntach czasu – niemal w identycznej wersji powraca w utworach trzech różnych autorów – Coleridge'a, Wellsa i Henry'ego Jamesa. Niejako rozwinięciem tej refleksji nad ciągłością literatury i powtarzalnością jej tematów jest zdanie z innego eseju Borgesa: *Być może historia powszechna* (dodajmy – literatury) *jest historią odmiennych intonacji paru metafor*[2]. W przytoczonym stwierdzeniu obok idei ciągłości pojawi się także inny czynnik – zmienność i ewolucja. „Wehikuł czasu", jedna z takich tradycyjnych metafor, również podlega temu procesowi. Tym samym jest figurą, w której zbiega się tradycja i nowatorstwo; jest powielaniem wzorów, ale jednocześnie przełamywaniem konwencji i schematów fabularnych.

Ową dwoistość widać szczególnie wyraźnie we współczesnej prozie iberoamerykańskiej, która często sięga po motyw „wehikułu czasu", odsłaniając różne wymiary tej metafory, odmienne jej intonacje. Fascynacja czasem obecna jest w twórczości Borgesa, Cortazara, Garci Márqueza, Carpentiera, Juana Rulfo, Bioy Casaresa, Fuentesa. Proza iberoamerykańska, zwłaszcza jej nurt fantastyczny, stwarza wyjątkowo dogodną perspektywę analizy wspomnianego przez Borgesa zjawiska. Proza Ameryki Łacińskiej, która jakże długo oscylowała między naśladownictwem literatury europejskiej a wąsko pojmowanym regionalizmem, która była jedynie kopią obcych wzorów literackich, egzotycznych krajobrazów i lokalnych problemów, kilkadziesiąt lat temu przybrała własne, niepowtarzalne oblicze, a teraz stopniowo ukazuje literaturze światowej nowe kierunki. Najpierw Borges ze swoją *grą niestrudzonej inteligencji i radosnej wyobraźni* (określenie Bioy Casaresa)[3], potem García Márquez ze swoją mityczną rzeczywistością Macondo, wskazali „literaturze wyczerpania" z jednej strony – szansę poszerzenia zakresu fikcji literackiej (Borges), z drugiej – szansę wskrzeszenia zapomnianej jakby sztuki opowiadania (García Márquez).

Odnajdujemy zatem w fantastyce iberoamerykańskiej nieustanną, niemal obsesyjną refleksję nad problemem czasu, której źródła sięgają powieści Prousta, Joyce'a i Tomasza Manna. Od tych pisarzy twórcy fantastyki latynoskiej, i nie tylko oni, przejmą model prozy czasu, zabiegi narracyjne związane z konstruowaniem czasu. Przejmą gotowy wzorzec i zmodyfikują go, posuwając coraz dalej eksperymenty w obrębie struktury czasowej tekstu. Nowe techniki narracyjne, zastosowane w prozie iberoamerykańskiej – nie tylko do „wehikułu czasu", ale i do innych tradycyjnych motywów fantastycznych – umożliwiają stworzenie oryginalnego dyskursu fantastycznego. Tak oto dokonuje się, jak stwierdza Irène Bessière, *odnowienie fantastyki*; rodzi się, dodaje Jean Baptiste Baronian, *nowa fantastyka*[5]. Znaczący jest fakt, że wspomniani francuscy teoretycy fantastyki wskazują przede wszystkim na dwóch Argentyńczyków – Borgesa i Cortazara.

Przełom dokona się nie tylko w odniesieniu do środków formalnych. Obejmuje swoim zasięgiem również konwencje i schematy gatunkowe. Tradycyjne gatunki literackie przybiorą w prozie latynoskiej nową postać. Borges stworzy własną odmianę opowiadania fantastycznego – *fantazję metafizyczną*[6] – także specyficzne formy opowieści kryminalnej, paraboli, szkicu filozoficznego, fikcyjnej recenzji, biografii, a wszystkie te odmiany nasyci fantastycznością. Bioy Casares sięgnie po gatunki z pogranicza science fiction, powieści sensacyjnej i filozoficznej. García Márquez napisze sagę rodzinną, splatając ją z wątkami baśniowymi i biblijnymi. Carpentier zapoczątkuje swoistą odmianę powieści mityczno-historycznej, a w nowelistyce – podobnie jak Cortázar – wykorzysta elementy surrealizmu, tworząc oryginalne formy opowiadania fantastycznego.

Powracający w tej prozie temat czasu jest nie tylko źródłem poszukiwań formalnych i nowych odmian gatunkowych. Sam „wehikuł czasu" zmienia swój kształt. Tradycyjny motyw wędrówki w czasie, wpisany w iberoamerykański kontekst, wzbogaca się o nowe treści. Wyraża ideę cofania się w przeszłość lub nakładania się przeszłości na teraźniejszość, ideę trwania i zawieszenia czasu, skończoność i wieczność, czasu cyklicznego i progresywnego, czasów równoległych i rozgałęziających się. „Wehikuł czasu" jest już czymś więcej niż symbolem wędrówki po kwiat z przyszłości. Jest punktem odniesienia dla nowej wizji rzeczywistości, odmiennej u każdego z twórców. Tym samym omawiany motyw nie jest wyłącznie kategorią, w której łączy się tradycja (powtarzalność wątków) i nowatorstwo: ten sam motyw w utworach poszczególnych pisarzy iberoamerykańskich odsyła do odmiennych znaczeń, poetyk, światopoglądów.

Spośród rozmaitych tematów związanych z „wehikułem czasu" w prozie Ameryki Łacińskiej jeden wydaje się szczególnie interesujący w kontekście rozważanych zagadnień: motyw równoczesnych czasów, równoległych płaszczyzn czasowych. Przyjrzyjmy się temu jednemu tylko wątkowi w jego czterech wersjach, na przykładzie wybranych opowiadań Borgesa, Bioy Casaresa, Carpentiera i Cortazara. Warto na marginesie zaznaczyć, że wybrane teksty, charakterystyczne dla twórczości wszystkich czterech autorów, są w pewnym sensie reprezentatywne dla całej fantastyki iberoamerykańskiej.

W opowiadaniu Borgesa „Ogród o rozwidlających się ścieżkach" (1941) koncepcja czasów równoległych wpisana jest w sensacyjno-szpiegowską fabułę. Kluczem do rozwiązania zagadki jest księga chińskiego autora Ts'ui Pena; powieść o czasie i rozwijająca się w czasie, przy czym słowo to nigdy w niej nie pada; powieść, będąca chaosem sprzecznych wątków, niekończących się sekwencji czasowych, które *zbliżają się, rozwidlają, przecinają*[7]. Księga labirynt

(tytułowy „ogród o rozwidlających się ścieżkach") jest zarazem wyzwaniem rzuconym wszelkim konwencjom literackim: *we wszystkich narracjach za każdym razem, gdy człowiek ma do czynienia z rozmaitymi możliwościami wybiera jedną i wyklucza inne; w narracji nierozwikłanego Ts'ui Pena – równocześnie – wszystkie. Tworzy w ten sposób rozmaite przyszłości, rozmaite czasy, które również mnożą się i rozwidlają. Stąd sprzeczność w powieści*[8]. „Ogród o rozwidlających się ścieżkach" jest rodzajem „antyopowiadania", bowiem podważa samą logikę fabuły, a wreszcie, mnożąc linie czasowe, unicestwia sam akt narracji[9].

U Borgesa układ rozgałęziających się czasów nieprzypadkowo przybiera kształt metafikcji. Służy nie tyle dociekaniom nad naturą czasu, ile raczej rozważeniu wszelkich możliwości, jakie stwarza ta kategoria w świecie fikcji literackiej. Przykład ten można rozszerzyć na inne motywy związane z czasem, które przewijają się w opowiadaniach ze zbioru „Alef" i „Fikcje", a także w esejach Borgesa, jak np. „Nowa refutacja czasu" czy „Historia wieczności". W prozie Borgesa takie pojęcia, jak wieczność, nieśmiertelność, idea wiecznego powrotu, cykliczność czasu, trwanie – pozbawione filozoficznej powagi – funkcjonują jako elementy fikcyjnych gier i kombinacji. Podstawowe, jak się wydaje, nieporozumienie związane z interpretacją twórczości Borgesa polega na założeniu, że Borges tworzy swoje imaginacyjne światy, wyznając określone doktryny filozoficzne. *Nie jestem metafizykiem* – przestrzega Borges – *choć tego żałuję. Sądzę, że jestem kimś, kto wykorzystuje literackie możliwości metafizyki*[10]. W innym miejscu autor użyje wymownego określenia *fantastyczne inwencje filozofii*[11]. Borges nie jest filozofem, jest twórcą w najszerszym tego słowa znaczeniu, a ściślej jest f a b u l a t o r e m, poszukującym ukrytych związków między rzeczywistością, która jest fikcją i fikcją, która jest rzeczywistością[12].

Spróbujmy odnaleźć te związki w opowiadaniu „Ogród o rozwidlających się ścieżkach". Równoległe czasy w tej antyopowieści są początkowo nićmi szpiegowskiej intrygi. Potem stają się także wyobrażeniem księgi-labiryntu, odsyłającej do obrazu świata pojmowanego jako labirynt. Są oryginalnym pomysłem literackim, a wreszcie motywem fantastycznym na równi – sugeruje Borges – z ideą wiecznego powrotu Nietzschego czy negacją czasu u Berkeleya i Hume'a. Są ponadto komentarzem i rozwiązaniem założeń, które dwadzieścia pięć lat później sformułuje Roland Barthes w swoim „Wstępie do analizy strukturalnej opowiadań"[13].

„Ogród o rozwidlających się ścieżkach" znajduje swoje lustrzane odbicie w innym opowiadaniu Borgesa – „Analiza twórczości Herberta Quaina" – zmyślonym omówieniu dzieła fikcyjnego pisarza. Herbert Quain tworzy, podobnie jak Ts'ui Pen, *powieść regresywną, rozgałęzioną* gdzie narracja, wychodząc z określonego punktu-wydarzenia, cofa się w przeszłość i rozgałęzia na kolejne opowiadania, z których *jedno ma charakter symboliczny; inne – nadprzyrodzony; inne – kryminalny; inne – psychologiczny; inne – komunistyczny; inne – antykomunistyczny*[14]. Z „Analizy twórczości Herberta Quaina" dalsze ścieżki prowadzą do innych tekstów Borgesa: do opowiadania „Pierre Menard, autor Don Kichota", a wreszcie do opowiadania „Koliste ruiny", które jest plagiatem – przyznaje Borges – pewnego utworu Herberta Quaina. Parę lat temu jedno z rozgałęzień borgesowskich serii czasowych dotarło do kolejnego tekstu – „Palimpsestu" Gérarda Genette'a – tworząc podstawę współczesnych teorii intertekstualności[15].

Tym samym „wehikuł czasu" z prozy Borgesa pojwił się jako nowoczesny eksponat w poetykach strukturalno-semiotycznych.

Istnieje pewien związek między opowiadaniami Borgesa a prozą Bioy Casaresa. Podobieństwa dotyczą zarówno kompozycji utworów, jak i niektórych pomysłów fabularnych. Swoistym potwierdzeniem tych związków jest dzieło Suareza Lyncha i Bustosa Domecq (pseudonimy spółki literackiej Borges-Bioy Casares), a ponadto wielce pochlebny wstęp Borgesa do powieści Bioy Casaresa „Wynalazek Morela", dedykowanej właśnie Borgesowi. Nasuwa się jednak nieodparty wniosek, że układ literackiej równowagi i wzajemności jest tu pozorny. Wbrew kurtuazyjnym opiniom Borgesa, on właśnie może być nazwany mistrzem, a w cieniu jego fikcji znalazła się proza Bioy Casaresa.

Jedno z opowiadań Bioy Casaresa „Klucz do tajemnicy jest w niebie" (1948), to kolejny wariant motywu równoległych czasów, jeden z wielu w twórczości tego pisarza, obok „Wynalazku Morela" czy „Snu o bohaterach". Wspomniane opowiadanie, jak zawsze u Bioy Casaresa precyzyjnie skonstruowane, jest na pierwszy rzut oka modelowym wręcz opowiadaniem fantastycznym, do którego można zastosować wszystkie wyznaczniki gatunkowe określone przez Tzvetana Todorova[16]. A zatem zastosowana jest kompozycja ramowa, jest nota i komentarz autora, narrator-świadek i wreszcie sam bohater przeżywający niezwykłe zdarzenie. Pojawi się oczywiście nieodłączne „wahanie czytelnika", oscylacja między dziwnością a cudownością. Opowiadanie Bioy Casaresa przedstawia perypetie argentyńskiego lotnika wojskowego, który w trakcie ćwiczebnego lotu przedostaje się do innej czasoprzestrzeni, lądując w hipotetycznym Buenos Aires, kopii „prawdziwego" miasta, ale kopii gdzie niektóre szczegóły uległy pewnemu odkształceniu. Z drugiego, równoległego świata przywozi bohater (oskarżony notabene i tu i tam o szpiegostwo) dowód swej bytności w innym wymiarze czasu i przestrzeni: wprawdzie nie kwiat z przyszłości, ale pierścień z wizerunkiem kartagińskiej bogini – sugestia, iż dzieje tamtego świata toczyły się nieco innymi drogami. Klucz do tajemnicy tkwi w pewnym traktacie filozoficznym, gdzie czytamy: *Istnieje nieskończona liczba światów jednakowych, nieskończona liczba światów nieznacznie się różniących, nieskończona liczba światów odmiennych*[17].

Czy zatem utwór Bioy Casaresa jest tylko powtórzeniem tradycyjnego wątku równoległych płaszczyzn czasowych, przy zastosowaniu schematu „klasycznego" opowiadania fantastycznego? Zakończenie utworu kieruje konkretyzację tekstu na inne tory. W komentarzu odautorskim Bioy Casares próbuje dokonać racjonalnej „eksplikacji nadnaturalności" powołując się na autorytet Cycerona, aby potem wyrazić zrozumienie dla wątpliwości czytelników: *Mogą oni zadać pytanie, dlaczego podróżnicy spadają zawsze w Buenos Aires, a nie w innych stronach, na morzu czy na pustyni*[18]. Ironiczny podtekst zakończenia nadaje idei czasów równoległych czysto parodystyczny wydźwięk. Opowiadanie Bioy Casaresa nieoczekiwanie przekształca się w parodię motywu, a częściowo konwencji science ficiotn, podobnie jak liczne teksty współautorstwa Bioy Casaresa – „Ci co kochają, nienawidzą" (z Silviną Ocampo) i „Sześć zagadek dla don Isidro Parodi" (z Borgesem) – są w rzeczywistości parodią powieści kryminalnych. Opowiadanie „Klucz do tajemnicy jest w niebie", powracając do związków literackich między Borgesem a Bioy Casaresem, kontynuuje kilka wątków z opowiadania Borgesa „Tlon, Uqbar, Orbis Tertius". Efekt parodystyczny i w tym miejscu nie jest wykluczony, jako że sam Bioy Casares figuruje jako jedna z postaci we wspomnianym opowiadaniu Borgesa.

Wszystkie utwory Alejo Carpentiera – drugiego obok Borgesa klasyka prozy iberoamerykańskiej – są w istocie wariacjami na jeden temat: kim jest człowiek wobec historii i wobec upływającego czasu? Pojawi się to pytanie w takich powieściach Carpentiera, jak „Królestwo z tego świata", „Eksplozja w katedrze" czy „Szaleństwo i metoda" – rozdziałach z dziejów Ameryki Łacińskiej, gdzie mit Syzyfa splata się kolejno: z magiczną rzeczywistością, ideą wiecznego powrotu i logiką kartezjańską *à rebours*. Pojawi się także w utworach, które w całości poświęcone są refleksji nad różnymi wymiarami czasu (opowiadania z tomu „Wojna czasu", powieści „Podróż do źródeł czasu" i „Koncert barokowy").

Wątek równoległych sekwencji czasowych jest osią trzech najbardziej znanych opowiadań Carpentiera z tomu „Wojna Czasu". Pierwsze z nich, „Po-







Andrzej Brzezicki

dobny do nocy" (1949), jest parabolą dziejów świata. Ten utwór – zachowujący rygorystycznie jedność czasu, miejsca i akcji – jest, co paradoksalne, wędrówką po odległych miejscach i epokach historycznych. Obrazuje jeden motyw – przygotowania bezimiennego bohatera do wyprawy wojennej. Bohater ów – wojownik achajski w przededniu wojny trojańskiej – niepostrzeżenie przeistacza się w hiszpańskiego konkwistadora, potem we francuskiego kolonizatora, dalej – jakby cofając się w przeszłość – w rycerza Wypraw Krzyżowych; ten zaś wciela się w żołnierza, uczestnika Inwazji Normandzkiej z 1944 roku, który na koniec ponownie przywdzieje zbroję achajskiego wojownika. Wszystkie te linie czasowe wyznaczają w tekście jeden zamknięty cykl: cykl historii człowieka, która jest w istocie historią jednej i tej samej absurdalnej wojny.

Opowiadanie „Pole gwiazd" (1954) tworzy układ dwóch połączonych spirali czasu i dwóch światów – Nowego i Starego. Juan-Pielgrzym udający się do sanktuarium Santiago de Campostela nigdy nie dotrze do celu. W drodze spotyka swoje *alter ego* – Juana z Indii – a ten namawia go na wyprawę do Nowego Świata. Juan – jednocześnie pielgrzym i kolonizator – na próżno usiłuje odnaleźć swoją zagubioną w wirze czasu tożsamość. Zawieszony między dwiema czasoprzestrzeniami, cyklem Nowego i Starego Świata, w kółko podążać będzie własnymi śladami, które wiodą z Hiszpanii do Ameryki i z Ameryki do Hiszpanii.

Najbardziej oryginalnym wariantem czasów równoległych jest trzecie opowiadanie ze wspomnianego zbioru – „Powrót do ziarnka" (1944) – obrazujące koncepcję dwóch czasów: realnego, progresywnego i mitycznego, regresywnego. Pierwsza sekwencja tekstu jest opisem rozbiórki starego pałacu, siedziby don Marciala, markiza Kapelanii. O zmierzchu, gdy plac pustoszeje, zjawia się zagadkowa postać: stary Murzyn, ongiś sługa Markiza. Wykonuje laską rytualny gest i od tej chwili czas zaczyna się cofać: *Czarne i białe kwadraty marmuru wzleciały na piętra, tworząc podłogi. Kamienie w celnych skokach zasłoniły wyrwy w murach*[19]. Wskrzeszony pałac wypełnia się domownikami. Tak zaczyna się historia domu i życia don Marciala, która od śmierci bohatera, poprzez jego chorobę, starość, dojrzałość, młodość i narodziny zawraca do źródeł, do łona matki i dalej, do pierwotnego błota prapoczątków. Zamykająca całe opowiadanie rama jest przywróceniem czasu linearnego: *Gdy robotnicy wrócili nazajutrz do pracy przy rozbiórce, zastali robotę skończoną*[20]. W utworze kubańskiego pisarza nie tylko dokona się rozdzielenie czasu na dwa przeciwstawne sobie nurty – czas realny i mityczny. Carpentier stosuje tutaj chwyt odwracający w rzeczywistości nie czas opowiadany, czas fabularny, ale czas opowiadania, samego dyskursu[21]. To nie fabuła cofa się w czasie, lecz narracją, niczym w filmie puszczanym do tyłu. Odwrócenie czasu dyskursu narusza w rezultacie początek przyczyny i skutku, a mimo to w tekście konsekwentnie utrzymana jest logika narracji. Oto jeden z opisów, przedstawiający ślub don Marciala: *Gdy minął świt, przedłużony zimnym uściskiem, pojednani, wolni od wzajemnych urazów i żalów, powrócili oboje do miasta. Markiza zmieniła podróżny kostium na suknię ślubną, i zgodnie z obyczajem małżonkowie udali się do kościoła, by odzyskać wolność. Zwrócono podarunki krewnych i przyjaciół (...), zaniesiono do złotnika obrączki, aby zatrzeć grawiury*[22].

Opowiadanie „Powrót do ziarnka" (ślad fascynacji autora rytuałem afrokubańskim) nawiązuje – obok „Królestwa z tego świata" i „Podróży do źródeł czasu" – do znanej teorii Carpentiera o „amerykańskiej rzeczywistości cudownej" *(lo real maravilloso americano)*. Cudowność w ujęciu Carpentiera nie jest, jak u surrealistów, chwytem retorycznym, tworem wyobraźni, ale kategorią bytu, immanentną cechą rzeczywistości Ameryki Łacińskiej, jej dziejów, krajobrazów, wierzeń. Bo *czymże jest więc* – zapytuje Carpentier – *historia całej Ameryki, jeśli nie kroniką rzeczywistości cudownej?*[23] „Lo maravilloso" u Carpentiera przekształca się w pojęcie jednocześnie ontologiczne i estetyczne: *(...) Cudowność zaczyna być cudownością w sposób nie budzący wątpliwości, kiedy powstaje z nieoczekiwanej przemiany rzeczywistości (cud), z uprzywilejowanego objawiania tejże, z natchnienia niezwykłego lub osobliwie sprzyjającego zauważeniu bogactwa rzeczywistości, rozszerzaniu jej zakresów i kategorii (...)*[24]. Równoległe czasy tworzą jeden z wymiarów tej rzeczywistości cudownej: *Zobaczyłem* – wyznaje pisarz – *możliwość ustalenia pewnych synchronicznych zależności amerykańskich występujących ponadczasowo dzięki łączeniu zjawisk, przeszłości z teraźniejszością*[25].

Gest czarnego maga z „Powrotu do ziarnka" – rozdzielający i cofający czas – jest wprowadzeniem do wizji rzeczywistości latynoamerykańskiej i zarazem źródłem oryginalnej techniki narracyjnej w prozie Carpentiera.

Odmienną postać „wehikułu czasu" odnajdujemy w nowelistyce Julio Cortazara. Argetyński pisarz posługuje się różnymi zabiegami narracyjnymi, aby rozdzielić płaszczyzny czasowe w swoich utworach fantastycznych. W opowiadanich „Daleka" (1951), „Inne niebo" (1966) i „W nocy, twarzą ku niebu" (1964) efekt równoległych czasów jest uzyskany przez fragmentację osobowości bohatera. W pierwszym utworze obydwa poziomy czasowo-przestrzenne

łączą się w chwili, gdy bohaterka odnajduje „daleką", swoje *alter ego*. W „Innym niebie" postać żyje równocześnie w dwóch światach: współczesnym Buenos Aires (codzienność) i dziewiętnastowiecznym Paryżu (świat wyobraźni), przy czym obie te płaszczyzny nigdy nie przecinają się. W opowiadaniu „W nocy, twarzą ku niebu" dochodzi do zatarcia granic między koszmarem sennym a rzeczywistością, między przeszłością (epoka prekolumbijska) i teraźniejszością. W zakończeniu nastąpi charakterystyczne dla prozy Cortazara odwrócenie przyjętych reguł: założona w tekście rzeczywistość jest podważona i unicestwiona, a niezwykłość zyskuje status realności.

W przytoczonych utworach stosuje Cortazar gry czasowe w obrębie fabuły: dwie linie czasu przedstawionego biegną równolegle albo przecinają się, powodując nagłe zetknięcie się fikcyjnej teraźniejszości ze światem onirycznym, światem imaginacji lub odległej przeszłości.

Z kolei w opowiadaniu „Dla wszystkich ten sam ogień" (1966) oba początki czasowe nie są już wpisane w fabułę, ale wyodrębniają się wyłącznie na poziomie dyskursu narracyjnego. Dwa różne układy zdarzeń – niejako dwie niezależne fabuły – są przez narratora celowo zestawione i przedstawione jednocześnie. W opowiadaniu tym rządzi zasada symetrii i ciągłości. Precyzyjnie tkana przez autora nić wiąże postaci z antycznego Rzymu i współczesnego Paryża. Jak w lustrzanym odbiciu podwaja się te same namiętności: miłość, zazdrość, nienawiść. Obie płaszczyzny czasowe nachodzą na siebie, często w obrębie jednej sekwencji, gdy np. opis walki rzymskiego gladiatora nieoczekiwanie splata się z rozmową telefoniczną, prowadzoną w paryskim mieszkaniu: *Cisza w słuchawce napina się niby łuk, aż ją przecina sucho jakaś daleka cyfra, dziewięćset cztery (...). Przed odłożeniem słuchawki słyszy jeszcze trzask na drugim końcu, łuk wysyłający swą niewinną strzałę. Sparaliżowany, niezdolny do uniknięcia sieci, która za chwilę go zagarnie, Marco stawia czoło gigantycznemu Nubijczykowi, zbyt krótki sztylet jest niby nieruchome przedłużenie wyciągniętego ramienia*[26].

W zakończeniu, ogień, który wybucha na rzymskiej arenie niejako w samym akcie narracji przeniesiony jest do współczesnego mieszkania. Opowiadanie „Dla wszystkich ten sam ogień" przypomina inny utwór Cortazara, mikronowelę „Ciągłość parków", gdzie świat czytelnika (fabuła) skonfrontowany jest ze światem czytanej przez niego powieści kryminalnej (metafabuła). Wrażenie ciągłości obu poziomów tekstu jest uzyskane przez niespodziewane wtargnięcie postaci metafabularnej do świata fabularnego. Tym samym czas fikcji nakłada się na czas lektury.

W opowiadaniu „Dla wszystkich ten sam ogień" motyw czasów równoległych jest elementem pojęcia zwanego przez Cortazara „figurą", które pisarz zastosował nie tylko w nowelistyce, ale także w powieściach: „Wielkie wygrane" i „Gra w klasy". „Figura" jest w ujęciu Cortazara zabiegiem, dzięki któremu zwykłe relacje międzyosobowe bohaterów są zastąpione *rodzajem superakcji figur utworzonych przez konstelacje postaci*[27]. Działania postaci łączą się i krzyżują, tworząc – jak mówi autor – „nadstrukturę", to znaczy nowy układ związków osobowych, niewidocznych dla samych uczestników akcji. „Figura", opisując sieć możliwych powiązań i odniesień łączących indywidualne losy ludzkie, staje się kategorią filozoficzną objawiającą ciągłość i jedność rzeczywistości. Ukazuje, na kształt surrealistycznego prawa „powszechnej analogii", możliwość zespolenia, poza współrzędnymi czasowymi i przestrzennymi, wszystkich aspektów rzeczywistości.

„Figura" wyraża u Cortazara pragnienie przekroczenia racjonalistycznej wizji rzeczywistości i odkrycia poza zbiorem praw rządzących tą rzeczywistością innego, ukrytego systemu, gdzie panują odmienne, bardziej elastyczne reguły. Koncepcja ta jest w pewnym sensie kwintesencją teorii fantastyki u Cortazara: wyraża w skrótowej formie wszystkie te idee, które składają się na fantastyczne wizje rzeczywistości. Jest, podsumowując, ujawnieniem swoistego zorganizowania rzeczywistości; w sytuacjach pozornie zwykłych i codziennych odkrywa niecodzienność i niezwykłość.

Motyw równoległych czasów, ilustrowany przykładami opowiadań Borgesa, Bioy Casaresa, Carpentiera i Cortazara, można by rozszerzyć na inne utwory, przenieść na twórczość innych autorów iberoamerykańskich. Ale wydaje się, że przytoczone teksty są przekonującym dowodem ciągłości tematów literackich i ich ewolucji, nieustannych powrotów motywów, które przyoblekają się w nowe techniki narracyjne, nowe formy literackie, idee. Zmieniają się i różnicują, dopasowane do poetyk poszczególnych pisarzy. Interesująca byłaby próba analizy innych wątków tematycznych w prozie iberoamerykańskiej, zestawienie ich w układzie synchronicznym (na tle różnych nurtów tej prozy), a także diachronicznym (ze wskazaniem źródeł literackich). Tego typu analiza porównawcza mogłaby wykazać, że autorzy latynoamerykańscy przejmują najbardziej klasyczne, czasem wręcz obiegowe, motywy fantastyki, tworząc na ich kanwie oryginalne opowiadania i powieści. W wielu wypadkach dzięki temu zabiegowi zaciera się granica między literaturą popularną, masową a „literaturą wysoką". Dokonał tego García Márquez w „Stu latach samotności", włączając do swojej zadziwiającej powieści banalny motyw duchów i zjaw rodem z „ghost stories". Ten sam motyw, rozumiany jak najbardziej dosłownie, wykorzystał także Cortazar w swoich opowiadaniach (np. „Wstęga Moebiusa" z tomu „Tango raz jeszcze"), a wreszcie Juan Rulfo w powieści „Pedro Paramo" czy Isabel Allende w „Nawiedzonym domu" (La casa de los espiritus, 1982).

Jakie są więc granice inwencji pisarza, albo – jak mówi Borges – skala *odmiennych intonacji paru metafor?* Przypomnijmy regułę współczesnych poetyk: *Każdy tekst nabiera kształtu jako mozaika cytatów; każdy tekst wchłania i przekształca inne teksty*[28].

Adam Elbanowski

Przypisy:

[1] Jorge Luis Borges, „La flor de Coleridge", (w:) J.L. Borges, *Prosa completa*, Bruguera, Barcelona 1980, tom II, s. 140 i 141.

[2] J.L. Borges, „La esfera de Pascal" (w:) J.L. Borges, *Prosa*..., op. cit., tom II, s 137.

[3] Adolfo Bioy Casares, Wstęp do: Jorge Luis Borges, Silvina Ocampo, Adolfo Bioy Casares, *Antologia de la literatura fantastica*, Sudamericana, Buenos Aires 1976, s. 13.

[4] Por. Irene Bessiere, *Le recit fanstatique*, Larousse, Paris 1974, zob. rozdz. „Renouvellement du fantastique".

[5] Por. Jean Baptiste Baronian, *Un noveau fantastique*, L'Age d'Homme, Lausanne 1977. Zob. rozdz. „Le fantastique borgesien".

[6] Określenie A. Bioy Casaresa. Zob. A. Bioy Casares, op. cit., s. 12.

[7] J.L. Borges, *Opowiadania*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1978, s. 89 (przeł. A. Sobol-Jurczykowski).

[8] Ibidem, s 86-86

[9] Por. Seymour Chatman, *Story and Discourse*, Cornell University Press, Ithaca and London 1978, s. 56-57.

[10] Esteben Peicovich, *Borges, el Palabrista*, Ed Letra Viva, Madrid 1980, s. 92.

[11] J.L. Borges, *Prosa completa*, op. cit., tom II, s. 174.

[12] Por. Robert Scholes, *Fabulation and Metafiction*, University of Illinois Press, Urbana 1980, s. 8.

[13] Por. Roland Barthes, „Wstęp do analizy strukturalnej opowiadań" (w zbiorze:) *Studia z teorii literatury. Archiwum przekładów „Pamiętnika Literackiego"*. I, Ossolineum, Wrocław-Warszawa-Kraków-Gdańsk 1977, s. 165-166.

[14] J.L. Borges, *Opowiadania*, op. cit., s. 65 (przeł. A. Sobol-Jurczykowski).

[15] Gérard Genette, *Palimpsestes. La littérature au second degré*, Éditions du Seuil, Paris 1982, Por. np. s. 294-297, s. 365-366, s. 445-446, s. 449-453.

[16] Zob. Tzvetan Todorov, *Introduction á la littérature fantastique*, Éditions du Seuil, Paris 1970.

[17] A. Bioy Casares, „Klucz do tajemnicy jest w niebie" (w:) *W zaczarowanym zwierciadle. Opowiadania fantastyczne Ameryki Łacińskiej*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1977, s. 30 (przeł. J. Kühn).

[18] Ibidem, s. 35.

[19] Alejo Carpentier, *Wojna czasu*, Czytelnik, Warszawa 1974, s. 62 (przeł. K. Wojciechowska).

[20] Ibidem., s. 81

[21] Termin „dyskurs" i „czas dyskursu" za: G. Genettem. Por. G. Genette, *Figures III*, Éditions du Seuil, Paris 1972, s. 72 i nast. zob. także S. Chatman, op. cit., s. 62.

[22] A. Carpentier, op. cit., s. 67.

[23] A. Carpentier, „O amerykańskiej rzeczywistości cudownej", *Przedtakty i wariacje*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1982, s. 131, (przeł. J. Petry-Mroczkowska).

[24] Ibidem, s. 127-128.

[25] Ibidem, s. 125.

[26] Julio Cortazar, *Opowiadania zebrane*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1975, s. 273 (przeł. Z. Chądzyńska).

[27] Luis Harss, *Los nuestros*, Sudamericana, Buenos Aires 1973, s. 288-289.

[28] Julia Kristeva, *Semeiotikè*, Paris 1969, (cyt. za:) Jonathan Culler, „Konwencja i oswojenie", (w zbiorze:) *Znak, styl, konwencja*, Czytelnik, Warszawa 1977, s. 159 (przeł. I. Sieradzki).

Tuż przed nowym rokiem w Rydze odbyło się w VI Wszechzwiązkowe seminarium młodych pisarzy-fantastów. Brał w nim udział m.in. Borys Sztern (Ukraina), który przeprowadził wywiad z kierownikiem seminarium Witalijem Babienką

A książek jeszcze nie wydałem...

z Witalijem Babienką rozmawia Borys Sztern

Borys Sztern: – *Niedawno w „Litieraturnoj gazietie" pojawiła się notatka: we Francji, na kolejnym kongresie Europejskiego Stowarzyszenia Pisarzy i Miłośników SF (EUROCON) przyznano międzynarodowe nagrody za 1987 rok, Wśród nagrodzonyh – kosmonauta Gieorgij Grieczko – za cykl audycji telewizyjnych „Ten fantastyczny świat", Arkadij i Borys Strugaccy, Witalij Babienko za... Witaliju Timofiejewiczu, która z pańskich książek została wyróżniona nagrodą Euroconu?*

Witalij Babienko – Myli się pan – nie wydałem jeszcze żadnej książki.

– *Dziwne... szewc bez butów?*

– Otóż to, szewc bez butów, a pisarz bez książek. Ja, podobnie jak wielu młodych pisarzy-fantastów, nie mam opublikowanej jeszcze ani jednej książki. Nasze nowele i opowiadania są czasami publikowane w czasopismach i almanachach, ale propozycje składane wydawnictwom najczęściej są odrzucane.

– *A za co otrzymał pan nagrodę Euroconu?*

– Za nowelę „Igoreczek, Złota Rybka" opublikowaną przez czasopismo „Litieraturnaja uczoba" w 1985 roku. W noweli tej, nawiasem mówiąc, próbowałem przedstawić w artystycznej formie „fantastyczną" sytuację w naszej fantastyce.

– *Mimo wszystko, to dziwne... laureat literackiej nagrody Euroconu nie wydał żadnej książki.*

– Nie ma się czemu dziwić. Wśród fantastów, nawet uznanych, wielu jest takich, którzy nie wydali jeszcze swoich książek. Na przykład laureat Nagrody Państwowej RSFR imienia braci Wasiliewych, leningradczyk Wiaczesław Rybakow – jeden z autorów scenariusza filmu „Listy martwego człowieka". Rybakow napisał pięć lub sześć powieści, nowele, opowiadania... ale książki wciąż nie ma. Moskwianin Aleksander Silieckij, jako szesnastoletni uczeń w 1963 roku otrzymał międzynarodową nagrodę – książka jednak się nie ukazała, choć Sileckij tworzył przez cały ten czas. Fantasta Andriej Łazarczuk z Krasnojarska otrzymał w 1985 roku nagrodę na konkursie w Bułgarii – o książce tylko marzy. Opowiadanie Władimira Pokrowskiego „Najostatniejsza wojna na świecie" – jest jednym z najostrzejszych utworów antywojennych jakie powstały w ostatnim dziesięcioleciu, inne opowiadania Pokrowskiego są tłumaczone za granicą – ale cóż z tego? Wreszcie jeden z największych paradoksów – nowela Eduarda Geworkiana „Zasady gry bez zasad", opublikowana w radzieckim almanachu, była za pośrednictwem WAAP-u wydana za granicą jako oddzielna książka...

Mają co proponować czytelnikom także młodzi pisarze. Czytałem praktycznie rzecz biorąc prawie wszystkie rękopisy sześciu wszechzwiązkowych seminariów – prawie 700 arkuszy autorskich i znalazłem wśród nich wspaniałe powieści, nowele i opowiadania.

– *Czemu tak się dzieje?*

– To pytanie powinien pan zadać sobie. Znamy się 12 lat, ale pierwsza pańska książka ukazała się dopiero w 1987 roku w kijowskim wydawnictwie „Mołod", któremu należy za to podziękować...

– *Tak też zrobiłem.*

– W „Mołodi" sprawa z publikowaniem fantastyki wygląda nieco lepiej, choć wina za takie potraktowanie SF obciąża przede wszystkim naszą politykę wydawniczą. Stosunek do fantastyki w poszczególnych redakcjach wynika z inercji i tradycji, zresztą tradycji nie najlepszych. Za fantastykę naukową przyjęto u nas uważać teksty, w których wykorzystywane są elementy nauki. Teksty te istnieją jakby poza głównym kierunkiem literatury, często z nauką nie mają nic wspólnego, czasem są jawną chałturą kryjącą się pod maską SF.

Literatura staje się chałturą wtedy, kiedy pisarz zasiada za biurkiem pragnąc zrealizować jakiś „temat" w jakimś „gatunku". Na przykład: „Ech, napiszę sobie dziś fantastyczne opowiadanie o Atlantydzie..." Pisać trzeba o ludziach i dla ludzi, i tylko wtedy, gdy dusza boli.

– *Wspomniał pan Atlantydę. Jeszcze o niej piszą? Nie znudziło się?*

– Piszą, piszą! Zapewne nie czyta pan współczesnej biblioteki SF wydawnictwa „Młoda Gwardia". Autorzy tego wydawnictwa kanwą swych fantazji czynią przede wszystkim nauki historyczne i humanistyczne (to zrozumiałe, o fizyce jądrowej bez specjalistycznej wiedzy nie da się specjalnie pofantazjować). Nazwiska tych „fantastów" są wystarczająco dobrze znane.

– *Jak więc poprawić sytuację?*

– Należy drukować autorów, którzy poszukują w fantastyce nowych dróg, piszą o ludziach i dla ludzi. Stworzyć redakcje fantastyki i to we wszystkich dużych wydawnictwach. Zupełnie realne jest również zorganizowanie samodzielnego wydawnictwa „Fantastyka" i choćby jednego wyspecjalizowanego czasopisma. Czasopisma SF istnieją na Węgrzech, w Polsce, Bułgarii, Jugosławii. Niedawno powstało takie czasopismo w Chinach. Książki fantastyczno-naukowe praktycznie rzecz biorąc we wszystkich krajach socjalistycznych są wydawane w masowych nakładach, które są w stanie zaspokoić popyt. W USA istnieje około 10 czasopism SF, publikuje się około półtora tysiąca tytułów rocznie. A u nas? 150 tytułów, włączając w to liczne wznowienia dla dzieci (Jules Verne, Bielajew, Tołstoj, Grin, Wells), nowych zaś wydań – około piętnastu rocznie w całym kraju!

„Fantastyka" w Bratysławie

Coraz serdeczniejsze, wręcz przyjacielskie stają się spotkania z naszymi południowymi sąsiadami – mieszkańcami niedalekiej Słowacji. W ubiegłym roku, na zaproszenie słowackiego edytora „Smena" gościli w Bratysławie Adam Hollanek i Andrzej Niewiadowski, którzy dla wspomnianego wydawnictwa przygotowali antologię polskiej fantastyki naukowej lat 1945-1985. Sygnalne egzemplarze antologii – jak się dowiedzieliśmy – schodzą już z maszyn drukarskich; całość nakładu (pod względem edytorskim bez zarzutu: doskonały papier, twarde okładki) ukaże się na przełomie lat 1988/89. Będzie to finał pierwszej z wielu wspólnych inicjatyw wydawniczych, o następnych – za chwilę.

W czerwcu br. gościła ponownie w Bratysławie delegacja naszego miesięcznika w składzie: Adam Hollanek (red. naczelny), Andrzej Niewiadowski (z-ca red. nacz.), Maciej Parowski (kierownik działu literatury polskiej) i Darosław J. Toruń (redaktor działu literatury zagranicznej). Tym razem wyjechaliśmy na zaproszenie Ośrodka Informacji i Kultury Polskiej w Bratysławie oraz Instytutu Słowackiej Akademii Nauk. Uczestniczyliśmy w seminarium na temat literatury fantastycznej. Przywieźliśmy też wystawę malarstwa i grafiki science fiction.

Kilka dni spędzonych w Bratysławie należało do szczególnie udanych. Nie sposób zapomnieć serdecznego przyjęcia, jakie zgotowały nam tamtejsze kręgi polonijne oraz władze ośrodka w osobach I sekretarza ambasady PRL – dyrektora ośrodka – Henryka Zejdlera i kierowniczki imprezy pani mgr. Danuty Meyzy-Marušiakovej. W seminarium uczestniczyli licznie nie tylko mieszkańcy Bratysławy, ale także z całej Czechosłowacji (do stolicy Słowacji przyjechali tłumacze z Pragi, fanowie z Ostravy, graficy z różnych stron Czech)! Przy wypełnionej sali odczytywali swoje referaty: Adam Hollanek (mówił o kierunkach rozwoju współczesnej fantastyki), Maciej Parowski (przedstawił aktualne tendencje zmian polskiego kina SF) oraz Andrzej Niewiadowski (opowiadał o fantastyce XIX stulecia). Po referatach rozgorzała dyskusja, o skali zainteresowania może świadczyć fakt, że teksty wygłoszonych referatów zostały natychmiast „zakupione" przez uczestniczących w seminarium dziennikarzy, a wywiadom, spotkaniom kuluarowym, rozmowom prowadzonym w holu ośrodka nie było końca. Dużym zainteresowaniem cieszyła się także wystawa „Fantastyki" (którą szczęśliwie dowiózł do Bratysławy Darosław J. Toruń). Wpisy do księgi pamiątkowej były pełne uznania dla przedstawianych prac M. Gołędzinowskiego, M. Korusiewicz oraz grafików „Fantastyki": Andrzeja Brzezickiego i Marka Zalejskiego. Prawdziwą furorę zrobiły także – prezentowane po raz pierwszy w Czechosłowacji – nowe dodatki kwartalne „Fantastyki" („Komiks-Fantastyka" i „Mała Fantastyka"). Jak się dowiedzieliśmy popyt na nasz miesięcznik jest wprost niewyobrażalny: egzemplarze sprzedawane w ośrodku, mimo wysokiej ceny, rozchodzą się błyskawicznie (po-

– Teraz o seminarium, o przedstawicielach naszej republiki...

– Kierowali grupami znani pisarze-fantaści Siergiej Sniegow, Władimir Michajłow, Giennadij Praszkiewicz. Kolejno omawiane były prace każdego z 36 uczestników. Spotkania, lektury, dyskusje... Oczywiście, nikogo nie można nauczyć pisać, ale głównym celem seminarium jest rozwijanie literackich uzdolnień.

Z Ukrainy przybyli Natalia Astachowa z Symferopola, Wasil Gorwat z miasta Bieriegowo, Aleksander Koczetkow z Dniepropietrowska, Lew Wierszynin i Anatolij Glanc z Odessy, a z Melitopola – młody robotnik Aleksander Tarasienko. W sumie, w sześciu seminariach uczestniczyło ponad czterdziestu młodych autorów z Ukrainy. Wam jest łatwiej. Wydawnictwa „Mołod'" i „Wiesiełka" idą wam ostatnio na rękę. Wydano pierwsze książki L. Kozieniec, J. Prigornickiego, również i pańską. Przygotowuje się do druku książki W. Zabirko i S. Bojarina. Przyjęto do Związku Pisarzy W. Zajca. Zwracam uwagę wydawnictw na młodych pisarzy A. Tarasienkę i W. Gorwata.

– Jakie są pańskie nadzieje?

– Dwa lata temu opublikowałem w „Literaturnoj gazietie" na wpół fantastyczny artykuł o pracy przyszłego wyspecjalizowanego wydawnictwa „Fantastyka". W dalszym ciągu wierzę, że przyszłość ta nie jest odległa.

– Niektóre z pańskich przepowiedni już zaczęły się sprawdzać. Na Syberii, dzięki staraniom nowosybirskiego komitetu okręgowego Komsomołu począwszy od bieżącego roku zacznie wychodzić almanach fantastyki – sześć solidnych tomów rocznie. Jeden z kierowników młodzieżowego seminarium, Giennadij Praszkiewicz wchodzi w skład kolegium redakcyjnego almanachu...

– Dlaczegóż by nie stworzyć podobnego almanachu (albo czasopisma) na Ukrainie? Przecież macie gdzie wydawać i macie co wydawać. A więc, powodzenia, koledzy!...

„Komsomolskoje znamja", Kijów, 15 marca 1988 r.

Przełożył **S.K.**

---

dobnie jest w innych krajach – o czym przekonaliśmy się w ubiegłym roku goszcząc w Budapeszcie na zaproszeniie wydawnictwa „Mora Ferenc Ifjasagi").

Prawdziwą niespodziankę przygotowało dla nas wydawnictwo „Smena". Zastępca redaktora naczelnego Jozef Gerbóe wystąpił z propozycją wspólnego redagowania mutacji „Fantastyki" w języku słowackim. Bratysławska „Fantastyka" byłaby na razie kwartalnikiem, w. zytówką polskiej literatury za granicą; druk pierwszych numerów został zapowiedziany na rok 1989. Dyrektor Gerbóe zwrócił się do nas z prośbą o pomoc w redagowaniu kolejnych tomów polskiej fantastyki (w przygotowaniu znajdują się pozycje A. Hollanka oraz autorów spod znaku „czwartej generacji SF"). Do wydawnictwa „Smena" zostaliśmy zaproszeni na wiosnę przyszłego roku, odbędzie się wtedy premiera antologii Adama Hollanka i Andrzeja Niewiadowskiego, a także rozmowy na temat edycji wspólnego tomu opowiadań polsko-słowackich (stronę polską reprezentować będzie „Książka i Wiedza" publikująca serię Biblioteka „Fantastyki"). ■

1981 (dokończenie)

Futurologia (F):

1637. FICHT Georg: *Odwaga utopii.* Wybór, przedm. i tłum. [z niem.] Krzysztof Malina. Wstęp Bogdan Suchodolski. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 345, nlb. 3. 10 000 egz. – Biblioteka Myśli Współczesnej – Str. 5-231 dotyczą futurologii.
1638. JUNGK Robert: *Człowieka tysiąclecia – wiadomości z warsztatów, w których rodzi się nowe społeczeństwo.* Tłum. [z niem.] Anna Danuta Tauszyńska. Wstęp Wiktor Osiatyński. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 394, nlb. 2. 20 000 egz. – Biblioteka Myśli Współczesnej.
1639. KOPECKI Kazimierz: *Jutro energetyczne Polski.* Warszawa. Wiedza Powszechna. 16° ss. 297, nlb. 1. 5 000 egz. – Omega.
1640. *PROGNOZA ostrzegawcza „Lata najbliższe", opracowania szczegółowe i aneks metodyczny.* Aut.: Janusz Dąbrowski [i in.]. Red. Janusz Dąbrowski. Warszawa. Komitet Badań i Prognoz „Polska 2000" przy Prezydium PAN. 8° ss. 188, wykr. 5 000 egz.

1982

SF dla dorosłych (ASF):

1641. [ABRAMOV Alěksandr. ABRAMOV Sěrgěj]: *Wszystko dozwolone.* Tłum. [z ros.] Sławomir Kędzierski. Warszawa. Iskry. 8° ss. 215, nlb.5. 30 000 egz. – Fantastyka, Przygoda. – Na k.tyt. aut.: Aleksander Abramow, Siergiej Abramow
1642. FIAŁKOWSKI Konrad: *Kosmodrom.* Wyd. II. Warszawa. Iskry. 8° ss. 382, nlb. 2. 40 000 egz. – Fantastyka, Przygoda.
1643. FILAR Dariusz: *We własnej skórze. Inne miejsce.* Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 89, nlb.3. 40 000 egz. – Stało Się Jutro – opowiadań fantastycznych zbiór dwudziesty drugi.
1644. GŁOWACKI Ryszard: *Raport z rezerwatu.* Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 133, nlb. 11. 100 000 egz. – Fantazja – Przygoda – Rozrywka.
1645. GÓRSKA Gabriela: *Kontakt.* Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 4 ss. 61, nlb. 3. 70 000 egz.
GRZESZCZYK W.: *I stało się!* – zob. U.
1646. HARRISON Harry: *Planeta śmierci.* Tłum. [z ang.] Wacław Niepokólczycki. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 280, nlb. 3. 50 000 egz. – Seria Fantastyczno-Naukowa (z „kosmonautą") – W metryczce rok wyd. mylnie 1981.
1647. JABŁOŃSKI Mirosław P[iotr]: *Kryptonim „Psima".* Warszawa. Iskry. 16° ss. 211, nlb. 1. 20 000 egz.
1648. KRZEPKOWSKI Andrzej: *Kreks.* Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 203, nlb. 5. 100 000 egz. – Fantazja – Przygoda – Rozrywka.
1649. KRZEPKOWSKI Andrzej: *Śpiew kryształu.* Lublin. Wyd. Lubelskie. 16° ss. 175, nlb. 1. 40 000 egz.
1650. KURTA Henryk: *Dzień Czerwonego Giganta,* Warszawa, Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 170, nlb. 6, 100 000 egz. – Fantazja – Przygoda – Rozrywka.
1651. *LĄDOWANIE w Andach.* Tekst według Ericha von Daenikena Arnold Mostowicz i Alfred Górny. Rys. B[ogusław] Polch. Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 4° ss. 47, nlb. 1. 100 000 egz. – Komiks.
1652. LEM Stanisław: *Dzienniki gwiazdowe.* Wyd. rozszerzone. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 520, nlb. 4. 50 000 egz. – Dzieła. T. III. – Zestaw ten sam, co w wyd. poprz., uzupełniony opow. „Profesor A. Dońda", ale bez rysunków.
LEM S.: *Katar.* W: *Śledztwo. Katar.* – zob. AF.
1653. LEM Stanisław: *Niezwyciężony.* Wyd. IV, osobne I. Warszawa. Iskry. 16° ss. 217, nlb. 3. 50 000 egz. – Fantastyka, Przygoda.
1654. LEM Stanisław: *Solaris.* Wyd. VI. Warszawa. Iskry. 16° ss. 247, nlb. 1. 50 000 egz. – Fantastyka, Przygoda.
1655. LEM Stanisław: *Wizja lokalna.* Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss.314, nlb. 2. 50 000 egz.
1656. LENGYEL Peter: *Druga planeta słońca Ogg.* Tłum. [z węg.] Tomasz Kulisiewicz. Warszawa. Iskry. 8° ss. 164, nlb. 4. 40 000 egz. – Fantastyka, Przygoda.
1657. MARKOWSKI Michał: *Ocean niespokojny.* Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 4° ss. 72, 100 000 egz. – Fantazja – Przygoda – Rozrywka (seria zeszytowa).
1658. MARKOWSKI Tadeusz: *Tak bardzo chciał być człowiekiem.* Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 181, nlb. 11. 150 000 egz. – Fantazja – Przygoda – Rozrywka.
1659. MERCIK Andrzej: *Mgła.* Kraków. Wyd. Literackie. 8° ss. 122, nlb. 2. 10 000 egz.
ORAMUS M.: *Senni...* – zob. 1983 [antydat.].
1660. PETECKI Bohdan: *„Rubin" przerywa milczenie.* [Wyd. II]. Katowice. Wyd. „Śląsk". 16° ss. 189, nlb. 3. 50 000 egz.
1661. POŁOM Stefan: *Straże gwiazd.* W: *Wzgórze jasnowłosej.* Olsztyn. Pojezierze. 8° s. 103-195. 10 000 egz. – ASF/AF – Drugi utwór pt. „Katedra" – surrealistyczny.
1662. PROSTAK Zbigniew: *Planeta zielonych widm.* Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 191, nlb. 1. 100 000 egz. – Fantazja – Przygoda – Rozrywka.
SADZIEWICZ M.: *Bez...* – zob. AF.
1663. SAWASZKIEWICZ Jacek: *Eskapizm.* Poznań. Wyd. Poznańskie. 16° ss. 148, nlb. 4. 40 000 egz. – SF.
1664. SAWASZKIEWICZ Jacek: *Kronika Akaszy.* T. II: *Skorupa Astralna.* Poznań. Wyd. Poznańskie. 16° ss. 215, nlb. 1. 30 000 egz. – SF.
1665. SŁYK Marek: *W rosole powikłań.* Warszawa. Iskry. 16° ss. 413, nlb. 3. 10 000 egz. – ASF/AF – Fantastyka głównie na str. 214-265, reszta właśc. surrealistyczna.
1666. *SPOSÓB na Wszechświat.* Antologia opowiadań fantastycznych i SF. Aut.: Andrzej Augustynek [i in.]. Red., przedm. i oprac. Piotr Kasprowski. Katowice. Śląski Klub Fantastyki. 8° ss. 111, nlb. 1. 1000 egz.
1667. *SPOTKANIE w przestworzach 1. Antologia młodych '79.* Aut.: Andrzej Drzewiński [i in.]. Red.. przedm. i oprac. Andrzej Wójcik. Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 317, nlb. 3. 100 000 egz.
1668. *SPOTKANIE w przestworzach 2. Antologia młodych '79.* Aut.: Andrzej Milczarek [i in.]. Red. i oprac. Andrzej Wójcik. Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 348, nlb. 4. 100 000 egz.
STRZELEWICZ K.: *Krzywe...* – zob. AF.
SULIMA-KAMIŃSKI J.: *Jak ryby...* W. *Patriarcha.* – zob. U.
1669. *USKOK w czasie.* Antologia opowiadań fantastyczno-naukowych pisarzy rumuńskich. Aut.: Tudor Arghezi [i in.]. Red.: Ion Hobana i Danuta Bułkowska. Wstęp Danuta Bieńkowska. Posłowie i noty o autorach Ion Hobana. [Tłum. z rum. Danuta Bieńkowska i Dorota Kurkowska]. Poznań. Wyd. Poznańskie. 16° ss. 333, nlb. 3. 20 000 egz. – SF.

cdn.

Przygotował **Jacek Izworski**

Czy życie – najbardziej zdumiewające zjawisko we Wszechświecie – jest logicznym, koniecznym rezultatem ewolucji tegoż właśnie Wszechświata? Czy też może jest efektem niesłychanego ciągu wydarzeń przypadkowych, wynikiem zbiegu okoliczności tak niezwykłych, że wydarzyć się mogły raz tylko właśnie TU (na Ziemi) i WTEDY (przed kilkoma miliardami lat)?

Oba te pytania są bardzo stare, choć w ciągu wieków formułowano je w różny sposób. Jakkolwiek by jednak je formułować, istotą rzeczy pozostaje dylemat: konieczność czy przypadek, program czy rzut kostką?

Z tamtej stony lustra

Wielki szlem

Maciej Iłowiecki

Oba te pytania mają wielką wagę, nie tylko z punktu widzenia czysto naukowego (to znaczy dlatego, że chcielibyśmy po prostu wiedzieć, jaka jest przyroda). Odpowiedź na te pytania ma znaczenie dla naszego losu i naszego „czucia się w świecie", ponieważ my, gatunek Homo sapiens, jesteśmy z kolei produktem ewolucji materii żywej, tak jak życie miałoby być produktem ewolucji materii martwej. Zatem różnica między dwiema możliwościami – koniecznością lub przypadkiem – nie dotyczy tylko sprawy „technologii", wedle której toczą się w znanym nam świecie wszelkie procesy. Dotyczy przede wszystkim naszego w tym świecie miejsca i naszego stosunku do świata i do siebie samych. I to jest właśnie ważne – ponieważ mnie, istocie myślącej, nie jest obojętne, czy jestem produktem najzupełniej przypadkowych wydarzeń, które mogłyby wcale nie nastąpić, czy też jestem koniecznym stadium w rozwoju Wszechświata – i w tym sensie jego dzieckiem, nie zaś niechcianym bękartem.

Byłem kiedyś wśród przyrodników, którzy zastanawiali się nad tymi sprawami i jeden z fizyków powiedział wtedy: *dla mnie cały ten problem ma znaczenie wyłącznie poznawcze, intelektualne, chciałbym wiedzieć, jak jest. Ale najzupełniej jest dla mnie obojętne, czy moje istnienie zawdzięczam czystemu przypadkowi, czy też jakiemuś „programowi", zawartemu w prawach natury. To znaczy – czy ludzie istnieją, choć mogło ich w ogóle nie być, czy też są, bo pojawić się musieli...*

Wydawałoby się, iż fizyk ma racje, ponieważ właśnie istniejemy i to jest fakt dla nas ważny, zaś w gruncie rzeczy „droga dojścia" do stanu istnienia nie ma takiego znaczenia czy też ma znaczenie tylko dla zaspokojenia naszej ciekawości. Ja jednak myślę (nie tylko ja, tak sądzi wielu), że całkowita przypadkowość oznaczałaby swoisty rodzaj obojętności przyrody wobec nas, wobec życia w ogóle. Zrodzeni „z przypadku", bylibyśmy czymś – jeśli nie sprzecznym z normalnym stanem natury – to na pewno czymś w tej naturze obcym i samotnym. Inaczej mówiąc, życie jako byt przypadkowy oznacza jakiś rodzaj opozycji (przeciwstawności) między ludźmi a resztą świata, jest skazaniem na nieustanną walkę z przyrodą i zarazem jest potwierdzeniem bezsensu wszechrzeczy. Być może świat jest właśnie przypadkowy i bezsensowny, ale może jest także odwrotnie; jeśli jest odwrotnie, nie jesteśmy skazani na bezsens, zaś główną wartością i nadzieją staje się właściwie rozumiane współdziałanie z przyrodą, jedność ze światem, swoiste przymierze ze wszystkim, co istnieje i w czym nasze miejsce jest oczywiste i właściwe.

Jak wspomniałem, dyskusja na temat – powiedzmy – udziału przypadku i konieczności w naszym świecie toczy się od dawna i znaleziono bardzo wiele ważnych argumentów wspierających lub podważających obie koncepcje. Łatwo się domyślić, że większość myślicieli, zastanawiających się nad tymi sprawami, próbuje jakoś łączyć przypadek z koniecznością, program z losowością.

Istotę takiego ujęcia chyba najtrafniej i najprościej wyłożył Stanisław Lem („Rozmowy ze Stanisławem Lemem", Stanisław Bereś, Wyd. Literackie 1987, str. 296): *Nie jest wcale tak, że jeśli ktoś będzie przez miliardy lat grał w kosmicznego brydża, to w końcu doczeka się wielkiego szlema w postaci życia. Aby ten wielki szlem się w końcu złożył, muszą być przecież dane określone karty oraz muszą być przyjęte określone reguły gry. Wydaje się, że w tej grze karty były tak rozdane, a warunki gry tak „ustalone" w fizyce, jakby zdawała się uwzględniać możliwość zakiełkowania procesu biogenetycznego. Nazywam to wielką zagadką, której nie umiem rozwiązać (...)* Otóż to – g r a. Przyroda jako wielka gra! Ciekawe, że w końcu XX wieku koncepcja gry fascynowała zarówno wielkich fizyków (na przykład Richarda Feynmana, Amerykanina, Nobel 1965), jak i wielkich biologów (czy raczej biofizyków, jak Manfred Eigen, Niemiec, Nobel 1967). Teoria gier jest bardzo skomplikowana matematycznie, ale sama gra w najprostszym tego słowa znaczeniu (w takim, jak np. gra w piłkę), towarzyszyła ludziom od niepamiętnych czasów – jako zabawa, jako rodzaj stosunków z innymi (rodzaj zachowania), jako wreszcie najdoskonalsza metoda uczenia się różnych zachowań. Swoistą grę uprawia niemowlę z matką, chłopiec z dziewczyną, mąż z żoną, społeczeństwo z rządem... No, nie wszystko jest w życiu grą, chodziło mi o uprzytomnienie faktu, iż gra w naszym życiu odgrywa jednak większą rolę, niż moglibyśmy przypuszczać. Gra występuje tam, gdzie istnieją zarazem reguły i przypadek, zasady i los. I oczywiście partnerzy.

W świecie przyrody występują ścisłe reguły (prawa przyrody) i wydarzenia losowe, partnerami gry są wszelkie byty, wszystko, co istnieje.

Koncepcję przyrody jako swoistej gry wyłożył Manfred Eigen (razem ze swoją współpracownicą Ruthild Winkler-Oswatitsch) w książce „Das Spiel" („Gra"). Jest to książka w założeniu popularnonaukowa – w Polsce wyszła w Bibliotece Myśli Współczesnej PIW, w tłumaczeniu K. Wolickiego, w 1983 r. Nie ma jednak co ukrywać, jest to książka bardzo trudna, przy pozorach „lekkości" nawet wyjątkowo trudna, wymagająca przy czytaniu dużego wysiłku umysłowego, stałej koncentracji. Wysiłek ten wszakże bardzo się opłaca – rozległość horyzontów, które otwierają przed nami autorzy jest naprawdę imponująca.

Zanim trochę o koncepcji Eigena, najpierw o samym uczonym, który jest postacią niezwykłą. Miał 40 lat, kiedy w 1967 r. dostał Nagrodę Nobla. Ku zdziwieniu innych otrzymał ją w chemii za badania superszybkich reakcji chemicznych, chociaż wtedy już był twórcą niezwykłej teorii ewolucji struktur biologicznych. W naukach doświadczalnych 40-letni uczony jest jeszcze młody, osiągnięcie Nagrody Nobla w tym wieku jest wielkim sukcesem. Chemia, biologia, medycyna – to dziedziny, w których szczególnie długo zbiera się informacje, fakty; wszelkie uogólnienia, nowe teorie, wymagają lat żmudnego trudu i na ogół współpracy ogromnych zespołów.

Eigen miał (i ma do dziś) dwie cechy, które zwykle znamionują wielkich badaczy przyrody: intuicję, umożliwiającą wybranie w swojej dziedzinie tych właśnie problemów, których zbadanie pozwala dostrzec nowe horyzonty; i odwagę, potrzebną po to, by stawiać hipotezy niezwykłe i śmiało wyłamujące się z systemu obowiązujących poglądów. Intuicja wskazała Eigenowi obszar badań wyjątkowo mało rozpoznany (z powodu trudności metodycznych), a zarazem niesłychanie płodny. Chodziło bowiem o reakcje chemiczne, przebiegające w czasie tak krótkim, że w naszym normalnym świecie mogą być uznane za natychmiastowe. Niezmiernie skomplikowany i złożony z licznych etapów przebieg takiej reakcji trwa na przykład mikrosekundę (to znaczy – jedną milionową część sekundy) albo nawet nanosekundę (jedną miliardową część sekundy). Otóż Eigen wpadł na pomysł, jak można zbadać tak niewiarygodnie szybkie procesy.

Superszybkie reakcje chemiczne są charakterystyczne dla ustrojów żywych. Muszą być tak szybkie, skoro w żywej komórce w jednej chwili przebiegają jednocześnie miliony różnych reakcji; mogą być tak szybkie dlatego, że biorą w nich udział niezwykle „przyspieszacze", czyli biokatalizatory, czyli enzymy. Zatem Manfred Eigen stworzył cały nowy dział chemii – kinetykę szybkich reakcji, zwłaszcza kinetykę reakcji przyspieszanych przez enzymy, enzymatycznych, to znaczy tych właśnie, przez jakie realizują się procesy życiowe.

Zająwszy się procesami życiowymi, Eigen nie przestraszył się tego, czego obawiają się na ogół badacze z mniejszą wyobraźnią. Nie bał się mianowicie postawić od razu pytań zasadniczych: jak to się stało, że kiedyś w przyrodzie pojawiły się pierwsze reakcje enzymatyczne i powstało życie? Szukając na to odpowiedzi, uczony nie bał się również wyjść poza swoją specjalność, co zwykle nie bywa dobrze widziane. Eigen zlekceważył jednak wiele rzeczy przyjętych w dobrym towarzystwie naukowym – nigdy nie zrobił habilitacji, nie zabiegał o tytuł profesora, nader śmiało wkraczał w dziedziny nie będące jego specjalnością. Tak więc, próbując znaleźć odpowiedź na pytanie jak powstało życie, trafnie przewidywał, iż odpowiedzi takiej nie znajdzie w zakresie jednej tylko dziedziny badań. Dlatego zajął się – obok chemii – także biologią, fizyką, matematyką, informatyką, teorią systemów i teorią gier. W poszukiwaniach tych mniej mu chodziło o dokładne ustalenie pierwszych stadiów ewolucji, to jest o pytanie JAK z materii nieorganicznej wyłaniało się życie. Interesował się przede wszystkim pytaniem DLACZEGO tak się mogło stać, iż w pewnym momencie martwe substancje przekształciły się w systemy, zdolne do pełnienia funkcji życiowych, czyli po prostu żywe.

Już przed miliardami lat, kiedy trzecia planeta od Słońca Ziemia nie przypominała prawie wcale Ziemi dzisiejszej, na jej powierzchni zaczęły tworzyć się złożone związki organiczne, polimery. Były to peptydy (proste białka) i polinukleotydy (to one później staną się podstawą przekazu informacji genetycznej).

Ale pierwotne polimery nie tworzyły się zupełnie przypadkowo – ich powstaniem sterowały reguły chemiczne i fizyczne, które właśnie regulowały dobór cząsteczek w łańcuchach polimerów. Dzięki temu tworzyły się takie białka i takie nukleotydy, jakie niosły w sobie potencjalną możliwość życia. Ale – uwaga – ta możliwość mogła się ujawnić dopiero we wspólnocie, po połączeniu, w systemie złożonym zarówno z białek, jak i z nukleotydów. I tego właśnie dowodzi Manfred Eigen.

W 1971 r. uczony przedstawił matematyczny model powstawania i naturalnej ewolucji makromolekuł (związków wielkocząstkowych), które przy pewnym stopniu złożoności stały się nośnikiem życia. W pracy „O samoorganizowaniu się materii i ewolucji makrocząsteczek biologicznych" podjął próbę odpowiedzi, jaki układ w przyrodzie zdolny jest do samoorganizacji i samorozwoju i dlaczego. Teorię swą rozwinął następnie w kolejnej pracy: „Hipercykle. Zasada naturalnej samoorganizacji". Nie jest możliwe przedstawienie tutaj koncepcji Eigena. W ogromnym uproszczeniu można tylko powiedzieć, że hipercyklami uczony nazwał pewne dynamiczne systemy, złożone właśnie ze sprzęgniętych cząsteczek kwasów nukleinowych i białek. Pominę tu drogę, jaką przechodzą związki chemiczne aż do utworzenia owych systemów. W każdym razie na pewnym etapie, w określonym stadium złożoności, systemy te przekraczają jakby rodzaj progu. To znaczy w pewnym momencie samorzutnie stają się zdolne do funkcjonalnego wykorzystywania zawartych w swej strukturze informacji (to jest do przejawiania funkcji życiowych) i równocześnie do odtwarzania tej informacji (to jest do reprodukcji samych siebie). Z punktu widzenia struktury chemicznej hipercykle mogą być różne – przetrwają jednak tylko te, w których mechanizmy wykorzystywania i odtwarzania informacji są po prostu najsprawniejsze. W ten sposób powstanie struktur żywych ściśle wiąże się z selekcją, a selekcja i dobór „lepiej przystosowalnego" to już ewolucja.

Jest oczywiste, iż w pojęciu „cyklu" mieści się pewien ciąg zdarzeń, proces – i właśnie o to chodzi. Hipercykle nie są bowiem wyłącznie systemem uporządkowanej struktury – są przede wszystkim złożonym ciągiem reakcji, przebiegających bezustannie w uporządkowanym układzie materialnym.

Tak więc bardzo złożony układ, który można nazwać „samoinstruującym hipercyklem katalitycznym", jest pierwszą żywą istotą, ponieważ cechą żywych istot jest ogromna pojemność, informacyjna, którą wykorzystuje się do samosterowania – i zarazem możność przekazu tej informacji systemom potomnym. Zresztą, nie jest przecież konieczne zrozumienie dla laika, czym jest hipercykl, wystarczy, jeśli zapamiętamy, że jest to taki układ cząsteczek chemicznych, który w ściśle określonych warunkach zaczyna wykazywać cechy życia – swoistą samoorganizację.

Trudno jest to wszystko wyłożyć w sposób prosty, wszakże trzeba uwierzyć na słowo, iż z matematycznego modelu hipercykli wynika, że życie musiało się pojawić skokowo, nagle, i że początkowy jego rozwój ewolucyjny przebiegał bardzo szybko. W uproszczeniu można powiedzieć, że sprzęgnięcie się istniejących w środowisku i powstałych abiotycznie (tj. bez udziału życia) białek i kwasów nukleinowych było owym rewolucyjnym progiem, początkiem życia. Przypomnę, iż wedle panujących dotąd teorii było raczej odwrotnie – pierwotne makromolekuły rozwijały się (komplikowały) stopniowo, w nader długim czasie, i bardzo trudno było wyróżnić moment pojawienia się życia.

Dochodzimy teraz do sedna sprawy. Model hipercykli – jeśli wolno wyrazić to w sposób uproszczony – zawiera w sobie jakby po równi przypadek i konieczność.

W ujęciu Eigena owa samoorganizacja materii, ewolucja od systemów prostszych do bardziej złożonych nie daje się przewidzieć, nie jest zdeterminowana. Ale zarazem jest nieunikniona, konieczna. Jest, jakby powiedzieli filozofowie, immanentną cechą materii.

W ciągu wydarzeń, prowadzących do stadium hipercykli, odegrało rolę wiele wydarzeń przypadkowych. Ale na pewnym etapie złożoności makrocząsteczki niejako m u s i a ł y zacząć żyć.

Zrozumienie modelu Eigena jest chyba równie trudne, jak zrozumienie teorii względności czy mechaniki kwantowej, ale nie ma na to rady. Coraz więcej będzie się pojawiać podobnych teorii w miarę, jak będą wykrywane coraz głębsze „poziomy" rzeczywistości. Naturalnie, trzeba też pamiętać, że atrakcyjny z wielu względów model hipercykli jest ciągle jeszcze tylko jednym z modeli rozwoju życia w początkowych fazach jego wyłaniania się z materii nieożywionej. Model oznacza, iż tak być mogło, ale mogło też być inaczej...

W każdym razie Manfred Eigen próbuje pogodzić dwie całkowicie odmienne koncepcje świata i życia. W takim ujęciu, w którym coś się dzieje wedle określonych reguł i zarazem przebiega przypadkowo, przyroda staje się bowiem rodzajem gry. Reguły każdej gry narzucają pewien sposób postępowania, działania się, ale w ramach tego sposobu dają się realizować nieprzeliczone możliwości rozgrywek (przypomnijmy sobie szachy).

„Wszystko, co dzieje się w naszym świecie, podobne jest do wielkiej gry, ustalone zaś są w niej z góry jedynie reguły. I tylko one są dostępne obiektywnemu poznaniu. Sama gra nie jest tożsama ani ze zbiorem swych reguł, ani też z łańcuchem przypadków, które kształtują każdy poszczególny jej przebieg. Nie jest ona ani tym, ani tamtym, ponieważ jest zarazem jednym i drugim i ma nieskończenie wiele aspektów, tyle mianowicie, ile można na nią rzutować w formie pytań. Oto credo niezwykłej koncepcji Eigena. I dalej: *Gra jest fenomenem przyrodniczym, który od samego zarania kierował biegiem świata: ukształtowaniem materii, jej zorganizowaniem w struktury żywe i także społecznym zachowaniem ludzi* (cytat z książki „Gra"). W pojęciu gry Eigen, jak widać, mieści wszystko. We wspomnianej książce zajmuje się więc ewolucją Wszechświata i życia, strategią współżycia i konkurencji, istotą uczenia się, językiem i przepływem informacji, „myślącymi maszynami", pamięcią, metodyką badań naukowych, czyli stawianiem pytań przyrodzie, w końcu wreszcie sztuką i prawdą.

Wszystko w kategoriach gry i na przykładach różnych konkretnych gier. Właśnie takich gier, w jakie grywają dziś dzieci i niektórzy dorośli...

Jest to spojrzenie na rzeczywistość naprawdę niezwykłe! Można się naturalnie spierać, czy jest właściwe, ale na pewno nie można nie przyznać takiemu spojrzeniu jednego: że w pole naszej wyobraźni włącza łańcuch zupełnie nowych, fascynujących skojarzeń. Przeczuwam intuicyjnie, że idee Eigena zostaną w pełni docenione dopiero w przyszłości, zaś jego praca spełni podobną rolę, jaką na przykład spełniła swego czasu książka Norberta Wienoera „Cybernetyka, czyli sterowanie i łączność w zwierzęciu i w maszynie" (w sensie nowego spojrzenia na stare problemy i płodność nowych idei).

Zatem Manfred Eigen podjął dzieło niebywałe – spróbował ustalić fundamentalne reguły rządzące przyrodą!

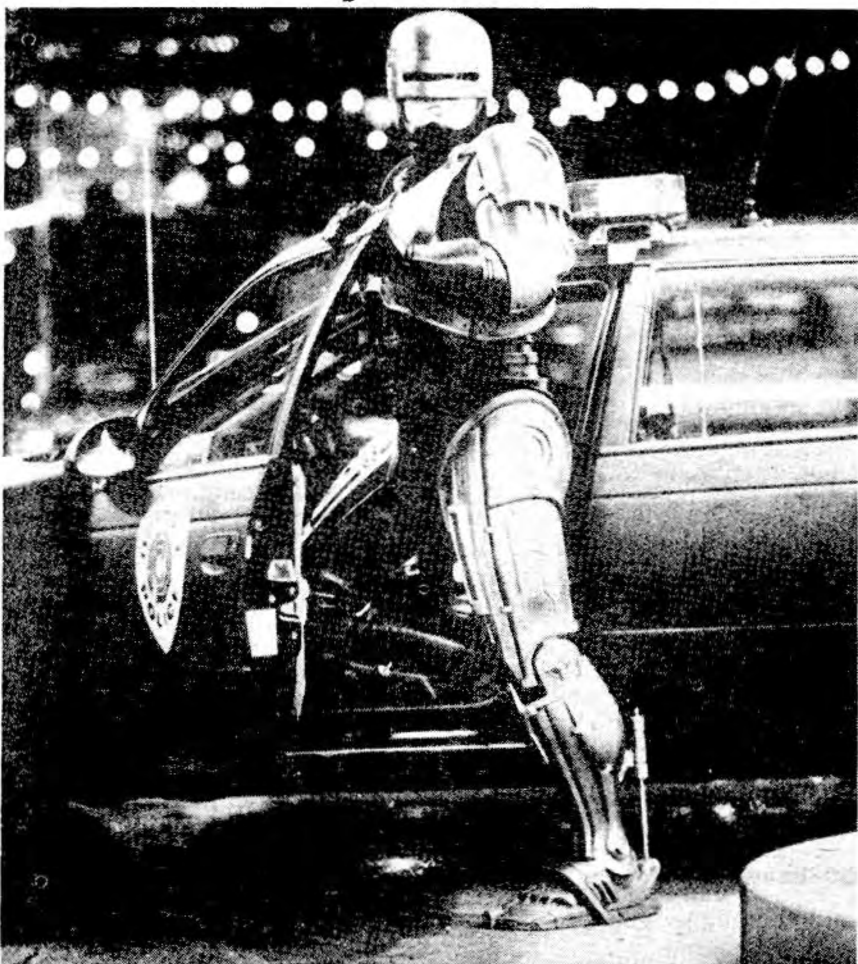
Oczywiście model gry, choć tak przekonująco dopasowany do rzeczywistości, nie może nas chyba zadowolić ostatecznie. Bo skoro w owej „grze" ustalone są z góry reguły, nieuchronnie przychodzi na myśl pytanie: KTO owe reguły ustalił? Czy znowu mamy uspokoić się odpowiedzią, że po prostu taka jest przyroda? Że przyroda jest po prostu grą?

Znakomity amerykański fizyk, również laureat Nobla, wspomniany Richard Feynman napisał w swoich słynnych „Feynmana wykładach z fizyki" (PWN, 1974, t.I): *Jeśli umiecie grać w szachy, wiecie dobrze, że łatwo jest nauczyć się wszystkich prawideł, natomiast często trudno jest wybrać najkorzystniejszy ruch lub odgadnąć z ruchów partnera, jakie ma zamiary. Podobnie jest z przyrodą, tylko na większą skalę. Może jednak uda nam się przynajmniej poznać prawidła gry.*

Przyroda jako gra – to naprawdę ciekawy i nowy punkt widzenia. Ale nie sposób nie zadać kolejnych znowu pytań: zgoda, przyroda jest grą i zaczynamy poznawać pierwsze jej reguły. Ale nadal nie wiemy, kto gra, czym gra i właściwie – o co idzie cała gra? Są to pytania – odpowiedzą fizycy – nienaukowe, nauka na nie odpowiedzieć nie może i nie musi. No dobrze, tylko co nam po takiej nauce?

Marek K. Zalejski





Co to jest „policyjny gliniarz"?

Polski rynek wideo jest jeszcze ciągle tworem niestabilnym. Gwałtownie rozwijającym się, ale od początku obciążonym chorobą przewagi popytu nad podażą. Produkt, który trafia do widzów często bywa niestety kiepskiej jakości. Skutkiem przeświadczenia, że „i tak wszystko pójdzie" jest na przykład niestaranność opracowań polskich wersji językowych. W kinach dopiero od niedawna istnieje zwyczaj podawania nazwiska tłumacza, a więc osoby odpowiedzialnej za słyszany czy też czytany przez nas tekst. Praktyka ta nie została jeszcze przyjęta przez firmy opracowujące filmy wideo. A szkoda. Co prawda tekst oryginalny jest zazwyczaj na tyle wyciszony, że trudno nam sprawdzić wierność przekładu, ale niekiedy się to udaje. Bywa też często, że zdania po prostu nie mają ani sensu, ani związku z oglądaną akcją, albo co chyba najczęstsze, rażą nieznajomością poprawnego języka polskiego. Czasami daje to efekty wręcz zabawne – na przykład w filmie „Innerspace" Joe'ego Dantego bohater pije zdrowie „na c z e ś c i kosmonautów". Być może to błąd lektora, ale takie pomyłki irytują. Zdarza się również, że polski widz traci sporo informacji, które po prostu zostały pominięte.

Idealnym przykładem lekceważenia widza jest opracowanie filmu „Robocop" Paula Verhoevena. Język angielski dopuszcza zbitki rzeczowników, umożliwiając tworzenie nowych słów (zabieg często stosowany w literaturze science fiction). Tak jest też w przypadku tytułu tego filmu. „Robo" to skrót od słowa robot, „cop" znaczy to samo, co po polsku gliniarz. A więc Robocop to Robot-gliniarz, czy też, jeżeli połączymy rzeczowniki na modłę angielską: Robogliniarz. Natomiast autor polskiego tłumaczenia proponuje nam tytuł „Policyjny gliniarz", co po prostu nie ma sensu. Włos się jeży kiedy pomyślimy, jak została zmieniona treść filmu. W skrajnym przypadku może się na przykład okazać, że widzowie w Polsce oglądali co innego niż w Ameryce!

Akcja „Robocopa" rozgrywa się w niedalekiej przyszłości. Rozpoczyna się fragmentem dziennika telewizyjnego (bardzo dobra forma wprowadzenia widza w realia pokazywanego świata). Afryka Południowa ma bombę atomową. Terroryści nadal okupują port lotniczy Acapulco. Jednak najwięcej miejsca w wiadomościach zajmują opisy zbrodni popełnianych w USA. Najwyższy poziom przestępczości ma Stare Detroit, gdzie od chwili gdy firma Security Concepts, Inc. (zajmująca się produkcją wszelkiego rodzaju zabezpieczeń) przejęła kontrolę nad departamentem policji, zginęło już trzydziestu stróżów prawa.

Projektanci zatrudnieni w koncernie uważają, że znaleźli wyjście z sytuacji. Postanowili wprowadzić do wyposażenia policji robota dysponującego niesamowitą wprost siłą ognia. W czasie pokazu okazuje się jednak, że prototyp jest jeszcze daleki od doskonałości. Potrzeba, i to szybko, czegoś nowego. Czegoś takiego jak robogliniarz! To znaczy cyborga będącego połączeniem maszyny z tym, co pozostało z zamordowanego policjanta Murphy'ego.

Fabuła filmu jest bardzo prosta. Widz ani przez moment nie musi się zastanawiać, po której stronie stanąć. To co białe jest białe, to co czarne – czarne. Żadnego przenikania, żadnych wątpliwości. Obrazy tego typu mają za zadanie wzmacniać w nas wiarę w zwycięstwo słusznej sprawy, w istnienie sił, które obronią nas przed złem. Postacie supermenów i Murphych nie różnią się zbytnio od mitologicznych herosów. Film zajął miejsce dawnych opowieści ludowych czy baśni. Zmieniła się tylko technika przekazu. Stylistyce science fiction bardzo odpowiada wykorzystanie archetypów. Reżyser, Paul Verhoeven, którego poprzedni film „Flesh + Blood" (Ciało + Krew) opowiadał o kupcach w czasach średniowiecznej, zniszczonej plagami Europy mówi, że *są dwa rodzaje mitu, które napędzają kino: heroiczna przeszłość lub wizjonerska przyszłość. W przeszłości jest się prowadzonym przez historię, służącą za ramę, w którą wpisuje się opowieść. Ale przyszłość nie zna zasad. Trzeba nie tylko wyobrazić sobie przygody, ale też prawdopodobną rzeczywistość, w której można je umieścić. To właśnie podobało mi się w scenariuszu „Robocopa". Stworzono dla mnie nowy świat.*

Cóż, ci, którzy widzieli parę filmów SF stwierdzą zapewne, że akurat tym razem pokazany nam świat przyszłości, niewiele różni się od naszego. Nie jest też na tyle oryginalny, żeby mogła nas zainteresować jego odmienność. Wbrew temu, co mówi reżyser, w jego filmie ważna jest przede wszystkim akcja. A ta toczy się wartko, niekiedy nawet zbyt wartko. Można zarzucić scenariuszowi, że nie pozwala nam poznać i polubić bohatera, uniemożliwia nam identyfikowanie się z nim. Autorzy postanowili jak najszybciej uśmiercić Murphy'ego, żeby przejść do pomysłu z cyborgiem. A potem akcja napędza się już sama – trzeba dopaść złych i ich pokonać. Żeby widz mógł złapać oddech dodano tylko parę scen z dziewczyną, która jest chyba jedyną naprawdę sympatyczną postacią w całym filmie.

Ponieważ twórcy „Robocopa" nie mieli nam za wiele do powiedzenia, starali się ten brak zastąpić dużą liczbą gwałtownych, brutalnych scen, w których przestajemy szukać logiki i sensu. Ostatnio zapanowała w kinie akcji moda, że jeżeli się strzela, to co najmniej używając rakiety. Czasy eleganckich rewolwerów odpływają w zamierzchłą przeszłość. Są jednak widzowie, wyznający zasadę, że brutalność powinna być uzasadniona.

W filmach tego typu co „Robocop" otrzymujemy niezamierzony (chyba?) efekt, że obraz sprzeciwiający się zbrodni epatuje nią, a więc równocześnie uczy gwałtu, oswaja z nim widza.

Moda na tradycyjne filmy science fiction przemija. Fantastyka kieruje się obecnie, podobnie jak nauka, w rejony przez lata zaniedbywane. Odrzuca technikę, żeby zająć się raczej problemami ducha. Takich filmów jak „Robocop" nie powstaje teraz wiele. Może to jest więc powód, żeby go zobaczyć.

Dorota Malinowska

ROBOCOP. Reżyseria: Paul Verhoeven. Scenariusz: Edward Neumeier i Michael Miner. Zdjęcia: Jost Vocano. Projekt i wykonanie robogliniarza: Rob Bottin. Obsada: Peter Weller, Nancy Allen, Daniel O'Herling, Ronny Cox. USA 1987.



Marek Rygielski

Wieczorami
rozkoszne metyski
w przeźroczystych peniuarach
przechadzają się po księżycu
kipiącym
mglistym pyłem

biały kapłan słońca
zapala prastare oazy
odeszli bogowie
z upadłych świątyń
jak fakirzy o zreumatyzo-
wanych
stawach
pośpiesznie opuszczają
gwiezdne wozy

porywa w tan rytm
heavymetal-rocka

wino tłoczy się w głąb ciał

nastaje ciemność
płoną pochodnie wolności

Wieczorami
wypatruję
w czerwonym zakolu chmur
horyzontu

przybyszy zza słońca
długie łodzie wikingów
wynurzają się szeregiem
z bladych oparów wody
z ruf
spadają
cumy
i na pokładach
tysiące wiosłujących ramion
gwałtownych sięgnięć
miłość, rozkosz, łup

ale chłód skrapla opary
wiatr rozwiewa wizje

Wieczorami
hermetyczne konie
snują po gwieździstej
czerni
bucha ogień
dyszą metafizyczne ciała
Ziemia toczy się
jednostajnie
i pod srebrnym globem
z luksusowych wnętrz
nieznane istoty
niczym karnawałowi goście
opadają w świat cyfr

kipiące łuny
sensacyjnie penetrują
gigantyczny cień
jakby
cofnięci
w czasie
powielali o życiu sen

Marek Rygielski urodził się w 1956 r. Debiutował w 1980 r. w konkursie poetyckim o tematyce ludowej, na którym zajął trzecie miejsce. Jest członkiem Elbląskiego Towarzystwa Kulturalnego i Wojskowego Koła Literackiego przy ZP POW. Autor wierszy publikowanych w prasie, w almanachach poetyckich „Jestem" i „Próba czasu" oraz w Polskim Radiu.